



MITOŚĆ
i inne ZADANIA
NA DZIŚ

KASIE WEST

Feeria
young

MIŁOŚĆ
i inne ZADANIA
NA DZIŚ

KASIE WEST

**PRZEKŁAD:
JAROŚŁAW IRZYKOWSKI**



*Mojej Abby, która całą siebie wkłada i w pracę, i w śmiech.
Radości mojego życia, kocham Cię!*

Rozdział 1

Upał czy ziąb?

– Upał. Nienawidzę zimna. Wiesz przecież.

Na samą myśl zatrzęsło mnie, chociaż był środek lata, i prawdopodobnie to skłoniło Coopera do zadania pytania. Bo było gorąco. Taka spiekota, że w zgięciach kolan zbierał mi się pot. Już od dwudziestu minut staliśmy w kolejce do plażowego kina i nie mogłam się doczekać chwili, gdy zajdzie słońce i zerwie się wiatr.

Pokręcił głową.

– To wiem, chodziło mi o to, czy wolałabyś zamarznąć na śmierć, czy umrzeć z przegrzania?

– Oba warianty koszarne. – Wydęłam wargi. – Ale masz rację, to inna bajka. Słyszałam, że z zimna umiera się błogo.

– Od kogo niby? Nawiedzają cię duchy tych, którzy zamarli?

– Pewnie. Dzień w dzień. A skoro o tym mowa, wolałabyś, żeby spotkało cię przekleństwo widzenia duchów czy zombiaków?

– Przekleństwo? Przekleństwo? – Złapał mnie za ramię i potrząsnął. – Według mnie żadna z tych możliwości nie podchodzi pod tę kategorię. Totalny odlot. Kupuję obie opcje.

– To wbrew przepisom. Musisz wybrać.

– Duchy. W nadziei, że wyjawią mi moją przyszłość.

– Duchy nie znają przyszłości – powiedziałam, gdy przesunęliśmy się w kolejce nieznacznie bliżej stoiska z biletami. Między stopę a kłapek dostał mi się piasek, więc go wytrząsnęłam.

– Kto tak twierdzi?

– Wszyscy, Cooper. Jeśli już, to duchy znają przeszłość.

– Może twoje, Abby, bo moje przepowiadają przyszłość. Będzie niesamowita.

Dziewczyna stojąca przed nami odwróciła się i uśmiechnęła do Coopera. Zapewne uznała, że jest uroczy. Bo taki był. A ona była mniej więcej w naszym wieku. Włosy miała zebrane celowo w niesforny koczek, znowu więc zastanowiło mnie, jak osiągnąć taki efekt, aby fryzura wyglądała na celowo ułożoną, a nie na zwykły bałagan na głowie.

– Hej – zwrócił się do niej. – Jak tam?

– Teraz lepiej. – Zachichotała, po czym się odwróciła.

Pokręciłam głową.

– Mną się nie przejmuj. No wiesz, tą dziewczyną obok chłopaka, z którym flirtujesz.

Byłam pewna, że poznała po tonie, iż żartuję, ale Cooper mimo to zakrył mi usta dłonią i oznajmił:

– Obok którego stoi jego najlepsza przyjaciółka. Po prostu przyjaciółka. Ten chłopak jest totalnie do wzięcia.

Wyswobodziłam się i parsknęłam śmiechem, chociaż ten tekst o „po prostu przyjaciółce” wcale mi się nie spodobał. W tym akurat miesiącu mijał dokładnie rok od dnia, gdy wyznałam miłość Cooperowi Wellсовi. Jego reakcja jednoznacznie dała mi do zrozumienia, że nie odwzajemnia tych uczuć. Musiałam całą sprawę obrócić w żart. W dowcip, na który przystał bardziej niż ochoczo. A ja się na to zgodziłam, bo nie chciałam stracić go jako przyjaciela. Lepszego nikt by nie znalazł.

– To aż prosi się o pytanie, czy wolałabyś wyskoczyć na jeszcze jeden wieczór z najlepszymi przyjaciółmi, czy zarwaćnockę na pakowanie się przed wycieczką, na którą rodzice wyciągają cię na całe lato – dobiegło z naszych pleców.

Obróciłam się gwałtownie, cała rozpromieniona.

– Rachel, nie mów „prosi się”. Tego sformułowania używa mój osiemdziesięcioletni dziadek – powiedziałam.

Bo to Rachel tam stała, trzymając się pod boki, jej ciemne oczy błyszczały.

– Właśnie od niego to podłapałam. Poza tym ma tylko sześćdziesiąt osiem lat.

Strzeliłam ją biodrem, a potem uściskałam.

– Skąd wiedziałaś, że gramy w Co wolisz?

– A grywamy w coś innego?

– Myślałam, że dzisiaj się nie wyrwiesz – stwierdziłam.

Nasza zgrana ekipa składała się z czterech osób: Coopera, Rachel, Justina i mnie. Justin wyjechał w zeszłym tygodniu i lato miał spędzić ze swoim Kościołem na misji w Ameryce Południowej. Rachel miała następnego dnia ruszyć z rodzicami na wycieczkę po Europie. Zanosilo się więc na to, że resztę lata spędzę tylko z Cooperem.

– Ja też. Wróćmy do mojego pytania, o które się prosiło – odparła Rachel.

– Pakowanie czy przyjaciele?

– Ciężki wybór, Rach – odrzekł Cooper. – Pewnie pakowanie.

Szturchnęła go w ramię.

– Bardzo śmieszne.

Dotarliśmy w końcu na początek kolejki. Cooper podszedł do przykrytego obrusem stolika, we wszystkie letnie piątkowe wieczory robiącego za kasę biletową. Koleś stojący za kasetką z pieniędzmi zapytał:

– Ty jesteś Cooper?

– Taak – przyznał ostrożnie Cooper.

– Tamta dziewczyna zapłaciła za ciebie. – Koleś ruchem głowy wskazał Niesforny Koczek, stojącą przedtem przed nami, a teraz kierującą się do wejścia. Musiała usłyszeć, jak zwracam się do Coopera po imieniu.

– A za nas? – zawołałam do niej, biorąc Rachel pod rękę.

Dziewczyna posłała nam uśmiech i jeszcze pomachała.

– Ty cholero – zwróciłam się do Coopera. – Gdzie się podziewają ludzie gotowi zafundować mnie piątkową rozrywkę? – Grzebałam w swojej torbie plażowej, aż wreszcie pod ręcznikami i swetrem znalazłam portfel. Wręczyłam kasjerowi pieniądze i odebrałam bilet. Rachel zrobiła to samo.

– Musisz jeszcze popracować nad urokiem osobistym – zauważył Cooper.

– Przecież jestem tu najbardziej uroczą osobą. – Zarzuciłam torbę na ramię tak zamasyście, że zakołysała się jak wahadło. – Cała ociekam urokiem.

– Fuj – stwierdził. – Źle się do tego zabierasz.

– Chłopaki, można się załapać na ociekający urok! – ogłosiłam wszystkim stojącym za nami.

– Idź pociekać gdzie indziej – odkrzyknął ktoś z tyłu.

Rachel wyciągnęła mnie z kolejki, chyba zażenowana.

Cooper skierował się w lewo, do budki z jedzeniem tuż za barierkami.

– Robimy sobie dzisiaj wypasioną ucztę? – zapytałam.

– Wpadło mi chyba trochę kasy do przepuszczenia. Pozwolę sobie na popcorn za dziesięć dolców.

– Nie znoszę cię. Zjem ci wszystko – zapowiedziałam.

Zaśmiał się.

– Rzeczywiście ociekasz urokiem, Abby Turner. Hektolitrami.

Posłałam mu całusa.

– My zaklepujemy miejsce. Ty załatwiasz jedzenie.

– Się robi.

Już odchodziłyśmy z Rachel, kiedy zauważyłam w kolejce do food trucka dziewczynę, która zafundowała Cooperowi bilet. Prawie gotowa byłam się rozmyślić i posłać Rachel, żeby sama zajęła nam miejsce, umożliwiając mi dołączenie do chłopaka. Zrezygnowałam. Nie miałam ochoty być świadkiem tego flirtowania. Dosyć się już napatrzyłam.

– Nigdy nie zgadniesz, co postanowili moi rodzice – powiedziała Rachel, gdy wyciągałam z torby ręczniki, żebyśmy mogły je rozłożyć na naszym miejscu pod barierkami z prawej strony.

– Że nie musisz z nimi jechać i zostaniesz ze mną na całe lato? – zaryzykowałam.

– Chciałabym.

– Wiesz, jak to wygląda, kiedy się żalisz, że czeka cię dziewięć tygodni podróży po Europie?

– Z rodzicami. Z moimi rodzicami. To nie będzie kumpelska włóczęga po hostelach. Czeką nas odwiedzanie grobów przodków i bliżej nieokreślonych spłachetków ziemi, na które ich zdaniem odlał się kiedyś brat mojego prapradziadka, czy coś w ten deseń.

– Czekaj, twoi przodkowie pochodzą z Europy?

– Niektórzy. Wydaje ci się, że w Europie nie ma czarnoskórych? Abby, pomyśl.

– Nie o to mi chodziło... Masz rację, durnota ze mnie. To co w końcu postanowili twoi rodzice?

– Że to będzie wycieczka zerotechnologiczna.

– Czyli co? – Usiadłam na ręczniku i zsunęłam klapki. – Zero map Google?

– Zero komórek.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Nie wolno ci wziąć telefonu?

– „Detoks”, tak to nazwali.

– To jakaś masakra.

– Zgadza się! – Klapnęła obok mnie. – Tego lata nie wolno ci robić nic fajnego, skoro nie będę mogła się o tym dowiedzieć.

– Spokojna głowa. Wrócisz do domu i wszystko będzie dokładnie po staremu – zapewniłam. – Dokładnie. Po. Staremu.

– Lepiej, żeby tak było.

Z palcami u nóg zagrzebanymi w piachu patrzyłam, jak Cooper idzie do

nas z popcornem i butelką wody. W jego lekko falujących jasnych włosach odbijały się resztki promieni słonecznych, otaczając głowę czymś w rodzaju aureoli. Spojrzenie niebieskich oczu rozjaśnionych uśmiechem spotkało się z moim i ja również nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Jak było pod objazdową jadłodajnią? – zapytałam.

– Objazdową? I ty wytykasz, że Rachel gada jak osiemdziesięciolatek?

– Bla, bla, bla.

Usiadł na ręczniku w żółte i białe pasy, po mojej prawej, podając mi butelkę.

– Co to za badziew? Potrzebuję kofeiny.

– Nie dalej jak wczoraj wyznałaś mi, że rzucasz napoje gazowane. Powiedziałaś to tonem dość dramatycznym. A potem dodałaś: Cooper, trzymaj mnie za słowo.

– Co? – zdziwiła się Rachel, po mojej lewej. – Zeszłego wieczoru wytrąbiłaś u mnie w domu prawie półtora litra mountain dew.

– Ćśśś. – Przycisnęłam jej wargi palcem. – Nie o tym rozmawiamy.

Cooper skrzywił się, a Rachel odsunęła moją rękę.

– Za kogo wy mnie uważacie? Za Wonder Woman? Też coś. – Zdjęłam nakrętkę i się napiłam.

– Na imię ma Iris – oznajmił Cooper, ruchem głowy wskazując food trucka i dziewczynę, która zafundowała mu bilet.

– O nie – westchnęła Rachel.

Ja udałam współczucie.

– Pocałunek śmierci. Imię, którego nie da się zdrobnić. Chyba nawet nie podejrzewała, że z chwilą gdy ci je podała, było już pozamiatane.

– Bo Iris nijak nie da się zdrobnić. Mam ją nazywać I? – oburzył się Cooper.

– Mógłbyś raz przemóc swoje lenistwo i używać czyjegoś pełnego imienia.

– Lenistwo nie ma nic do rzeczy. Tu chodzi o priorytety w związku. Chcę móc zdrobnić imię mojej dziewczyny, kiedy się do niej zwracam.

Prychnęłam.

– Wiem, że według ciebie to bardziej seksowne, ale tak wcale nie jest.

Nabrał garść popcornu i wzruszył ramionami.

– Nieważne.

Chwilę się zastanawiałam.

– Co powiesz na Ris? – Nie byłam pewna, czemu właściwie usiłuję mu

pomóc w kontaktach z tą nową dziewczyną, bo jedyne, co dzięki temu osiągałam, to dławienie własnych uczuć. Tych, o których nie wiedział nikt poza mną... i moją mamą... i może jeszcze Cooperem, choć byłam zdania, że tamtego lata udało mi się go przekonać, że tylko żartowałam.

– Ris brzmi słodko – przyznała Rachel, też biorąc z wiaderka Coopera garść popcornu.

– Hm. – Zastanowił się. – To mogłoby się sprawdzić. Dobrze, że dała mi numer.

– Mnie też powinna postawić kino. Właśnie ocaliłam jej szansę. – Przyglądałam się, jak słońce siada na skraju oceanu, by zaraz się w nim schować.

– A jak to jest u was? – zaciekawiał się Cooper. – Jakie stawiacie sobie cele, jeśli chodzi o związki?

– Moim najbliższym celem – oznajmiła Rachel – będzie jakiś Włoch o długich falujących włosach i akcencie tak ciężkim, że nie skumam, o czym mówi, ale przy tym tak wybitnie całujący, że tamto nie będzie mieć znaczenia.

Roześmiałam się.

– To będzie przed tym, jak znajdziecie z rodzicami działkę, na której odlał się twój praszczur, czy potem?

– Zdecydowanie przedtem... potem zresztą też. A jak u ciebie, Abby? – zapytała Rachel. – Upatrzony cel związku?

Przekręciłam się na brzuch i zaczęłam rysować coś palcem na piasku.

– Na pewno jakiś artysta. Ktoś znający się na malowaniu, rysowaniu czy czymś takim.

– A jeśli okaże się lepszy od ciebie? Czemu miałabyś chcieć kogoś z tym samym zestawem talentów? – dociekała Rachel.

– Właśnie – zawtórował jej Cooper. – To groziłoby rywalizacją.

– To że u ciebie, Coop, wszystko przechodzi w rywalizację, nie oznacza jeszcze, że wszyscy tak mają.

– Sama widzisz, ja mam idealne imię. Efekt zdrabniania go jest epicki.

– Czy epicki, to nie wiem, ale uroczy – przyznałam.

– To akurat coś mi przypomniało – wtrąciła Rachel. – Ostatnio ktoś pytał o jedną z twoich prac. Zwrócił na nią uwagę w sali plastycznej pod koniec roku szkolnego i dotąd nie może jej sobie wybić z głowy.

– Kto taki?

– Nie znam go. Zagadnął mnie w Starbucksie. Chyba wiedział, że się

przyjaźnimy.

– Super – powiedział Cooper.

Zagryzłam wargę i się uśmiechnęłam. Miałam ochotę wrzasnąć: „Widzisz, Cooper, jednak coś we mnie jest. Nie ma się co śmiać, jestem artystką”.

– Wracając do sprawy celów – odezwała się Rachel. – Czy docenianie twojego talentu sprawdziłoby się równie dobrze, jak bycie artystą? Bo jeśli tak, powinnaś się umówić z tym tajemniczym chłopakiem.

– Tak! Zdecydowanie powinnaś – przyznał Cooper.

– Docenianie talentu plasuje się tuż za byciem artystą. Świetnie, Rachel, że dostarczyłaś tak szczegółowych danych o tym kimś.

– Drobnie uchybienie.

Na wielkim ekranie przed nami zaczął lecieć film, z głośników zagrziała muzyka.

Rachel nachyliła się do mojego ucha.

– Muszę do łazienki. Zaraz wracam. – Zmyła się.

Cooper położył się na brzuchu, tuż obok mnie, tak że stykaliśmy się ramionami. Zaczął rysować koło mojego dzieła jakieś ludziki.

– Tego lata, mała, tylko ty i ja – powiedział.

Na te słowa serce mi mocniej zabiło. Już go przeboleliśmy, więc upomniałam je. Ale to i tak jeden z najlepszych przyjaciół. Lato tylko z Cooperem Wellsem da się przecież przeżyć.

– No. – Wyciągnęłam rękę i dorobiłam jednemu z jego ludzików kółka. –

W tym tygodniu ścigasz się na wydmach? – Cooper brał udział w wyścigach quadów w lokalnej amatorskiej lidze, utworzonej przez kilku maniaków tych pojazdów.

– W środę. Oczekuję, że się stawisz z wielkim transparentem: „Cooper pierwszy na pudle”.

– A co, jeśli przyjedziesz drugi? Wtedy to będzie głupio wyglądało.

Szturchnął mnie ramieniem.

– Przyjdę. Czy kiedyś mnie nie było?

– Zwykle jednak przychodziłaś z Rachel i Justinem, więc nie byłem pewien.

– Przez większość czasu przecież bywałam tam bez nich. – Coopera poznałam jako pierwszego, jeszcze w ósmej klasie. Już wtedy się zaprzyjaźniliśmy. Rachel i Justin dołączyli do nas w ogólniaku.

– To prawda. A skoro uznałem, że przynosisz mi szczęście, pozostaje ci

kibicowanie po wsze czasy.

– Tak będzie. – Pozostanę fanką Coopera po sam kres wieczności. Ta żalosna myśl niemal skłoniła mnie do tego, by natychmiast się stamtąd wynieść w celu odzyskania choć odrobiny godności. Ale wtedy on się do mnie uśmiechnął.

Rozdział 2

Latem zwykle sypiałam tak długo, jak się dało. Następnego ranka jednak przez częściowo podniesione żaluzje wkradł się do mojego pokoju promyk słońca i za nic nie chciał się wynieść. Wstałam, poszłam pod okno i całkiem zaciągnęłam żaluzje. Ponownie wgramoliłam się pod kołdrę, naciągając ją po uszy. Nie uchroniło mnie to jednak przed brzęczeniem telefonu dobiegającym z szafki obok mnie. Pomyślałam, czy by go nie zignorować, ale kiedy znów się rozdzwonił, nie mogłam oprzeć się ciekawości. Na wyświetlaczu ukazała się wiadomość od Rachel.

„To będzie ostatni SMS ode mnie na następne 9 tygodni”.

Po nim przyszło:

„Jak sobie poradzisz beze mnie?”.

„Pewnie się wyśpię”.

„Dobra. Ja też. A jeśli mi się spodoba życie bez telefonu? Nie. Mowy nie ma. Nawet gdyby mi przypasowało, nie powiedziałabym rodzicom. Za bardzo by ich to ucieszyło”.

Uśmiechnęłam się i potarłam oczy.

„Będę tęskniła! Nie zapomnij o mnie przez jakichś włoskich przystojniaków”.

„I vice versa!”

„Mnie w najbliższej przyszłości na pewno nie grozi zabijanie się we włoskich przystojniakach”.

„Bardzo śmieszne. Miałam na myśli tęsknotę”.

„Wiem. Bezpiecznej podróży. Zadzwoń do mnie z budki, jeśli będzie okazja. Jak myślisz, istnieją jeszcze budki telefoniczne?”

„Nie wiem. Przekonamy się”.

Popatrzyłam na komórkę, ale nie było już nic do powiedzenia, więc tylko leżała sobie cicho w mojej dłoni. Bez Rachel i Justina to lato naprawdę będzie się dłużyć. Mój palec, jakby wiedziony jakimś własnym rozumem, przejechał po ekranie, wywołując stronę, którą miałam w Ulubionych. Aplikację zimowego programu Instytutu Sztuk WishStar. Mojego wymarzonego. Warsztatów, które według mojej nauczycielki plastyki wzmocnią moje papiery na studia i ułatwią mi dostanie się do naprawdę

porządnej szkoły plastycznej. Zwłaszcza że chodziło o WishStar. Mieli tam fenomenalnych instruktorów i marzyłam o spędzeniu części ferii zimowych w towarzystwie innych artystów. Przez całe dwa tygodnie uczylibyśmy się nowych technik, poznawali wszelkie rodzaje warsztatów i inspirowali się opowieściami prelegentów o ich osiągnięciach. Marzyło mi się poznanie prawdziwych profesjonalistów z tej dziedziny, a ten kurs, równoległe z doskonaleniem moich własnych umiejętności, miał mi w tym pomóc.

Ponownie przestudiowałam tę stronę, po raz milionowy w ciągu ostatniego półrocza. Wczytałam się w wymagania, które pozostawały niezmiennie. Wiek, doświadczenie, rekomendacje, historia wystaw/sprzedaży. Wreszcie mogłam się załapać. Przyjmowali tylko uczniów ostatnich klas i starszych. Jesienią będę się kwalifikowała. Słyszałam, że z programu korzystali głównie studenci i nawet starsze osoby, ale się tym nie przejmowałam. Miałam swój dorobek – mogłabym przedstawić całą tekę prac. Wiedziałam też, kto mógłby napisać dla mnie list polecający. Przed wysłaniem podania musiałam zająć się jeszcze tylko jednym: kwestiami wystaw i sprzedaży. Żadnej swojej pracy nigdy nie pokazywałam poza szkołą. Dotąd nie sprzedałam też ani jednego obrazu. Ale miałam plan. Uśmiechnęłam się, ponownie podekscytowana tą myślą, i odrzuciłam kołdrę.

Podreptałam przez korytarz do łazienki, a tam o mało nie potknęłam się o mamę, leżącą na podłodze. Szafki były otwarte na oścież, a podłogę wokół niej zajmowały butelki szamponu, opakowania lakieru do włosów i płynu do mycia szyb. Mama w jednej ręce trzymała latarkę, kierując światło pod umywalkę, a w drugiej packę na muchy.

– Oo. Co robisz? – zapytałam.

– Wiesz, co to jest pustelnik brunatny?

– Taki pająk?

– Tak. Właśnie się upewniałam, że nie zagnieździł się pod umywalką.

– Natrafiłaś na pajęczynę? A może na wyssanego do sucha trupka myszy?

– Przykucnęłam, żeby lepiej widzieć, przewracając butelkę odżywki.

– Nie, ale przeczytałam historię nastolatki, którą taki pustelnik brunatny potwornie oszpecił, kiedy sięgnęła pod umywalkę w poszukiwaniu szamponu Herbal Essences. I wtedy mi się przypomniało, gdzie ty trzymasz zapasowe kosmetyki. Pomyślałam, że warto sprawdzić.

– Mamo. – Wzięłam z podłogi butelki i zaczęłam z powrotem upychać je pod szafką. – Skończ już z czytaniem tych internetowych horrorów i natychmiastowym odnoszeniem ich do naszego życia. Jeśli czeka mnie

potworne oszpeccenie, zadbam, żeby doszło do niego na mój własny, oryginalny sposób.

Siadła prosto i przyjrzała mi się surowo.

– Abigail, nawet tak nie żartuj. – Ciemne włosy okalały jej twarz szalonymi falami, jakby do mojej łazienki wparowała prosto z łóżka.

Wyłączyłam jej latarkę i przyłożyłam sobie do ust niczym mikrofon.

– Mogę teraz odzyskać łazienkę? Jest mi potrzebna.

Mama westchnęła i się podniosła.

– I tak muszę sprawdzić pozostałe.

Zamknęłam za nią drzwi i puściłam wodę z prysznica. Mój wzrok sam powędrował w stronę szafki. Otworzyłam drzwiczki, zajrzałam, potem szybko je zatrasnęłam. Przewróciłam oczami. W łazience nie było żadnych pajaków.

Po szybkim prysznicu włożyłam mój standardowy letni ubiór, czyli zrobione z dżinsów szorty i koszulkę na ramiączkach. Swoje jasne fale związałam w koński ogon i poszłam do kuchni. Owsianka stała na górnej półce spizarki, wspięłam się więc na palce i wyjęłam z pudełka dwie saszetki. Przesypałam ich zawartość do plastikowej miski i zalałam wodą. Akurat gdy owsianka się zagrzała i usłyszałam pikanie timera, obudził się dziadek. Słysząc było szuranie jego stóp po płytkach podłogowych, bo idąc, nie za bardzo podnosił nogi.

– A to co? – zapytał, wchodząc do kuchni. – Księżniczce niepotrzebny dzisiaj sen upiększający?

– Bardzo dowcipne, dziadku.

– Twoja babcia uważała mnie za dowcipnego. Potem nie mówiła już tak o mnie żadna inna kobieta. Tragiczne.

– Jej śmierć czy to, że nikt nie uważał cię za dowcipnego?

– Mała mądralińska.

Babcia umarła na raka trzy miesiące po moich narodzinach, a więc dosłownie szmat życia temu. Nie znając jej, nie mogłam za bardzo odczuwać jej braku. Wiedziałam, że dziadek za nią tęsknił, nawet gdy z tego żartował. Wprowadził się do nas po jej śmierci.

– Chcesz owsianki? – spytałam dziadka, podsuwając moją miskę, bo jeszcze nie zaczęłam jeść.

– Nie, chcę czegoś z masą cukru.

– Tu na pewno jest go mnóstwo. Dałam dwie saszetki cynamonowo-

korzennej.

– Tyle że to coś wygląda jak zdrowe, a tego darować nie mogę. – Wziął sobie miskę, a ze spiżarki pudło płatków.

– Dziadku, jak dociągnąłeś do osiemdziesiątki, tak źle się odżywiają?

– Do osiemdziesiątki mi daleko. Czemu zawsze dodajesz mi lat? Zupełnie, jakbyś starała się mnie pozbyć.

Wyjęłam z szuflady łyżkę i usiadłam przy stole. Podwinęłam pod siebie bose stopy i zjadłam wielką łychę, czego od razu pożałowałam, bo zaczął mnie palić język. Wciągnęłam do ust powietrze.

– Natychmiastowa zemsta losu – stwierdził dziadek.

– Jesteś wredny – wymamrotałam z pełnymi ustami.

Dołączyła do nas mama.

– Nasz dom jest wolny od pajaków.

– Poświęciłaś ranek na to, żeby je wytłuc? – zdziwił się dziadek.

– Nie żeby na nie zapolować – wyjaśniłam. – Takie szaleństwo internetowe.

Położyła na blacie swój rynsztunek łowiecki.

Dziadek westchnął.

– Powinnaś dać sobie spokój z czytaniem tych historii z internetu.

Zignorowała jego apel.

– Co jemy? – Zajrzała najpierw do mojej miski, potem do dziadkowej.

– Owsiankę – powiedziałam.

Spojrzała na dziadka, unosząc brwi.

– To nie jest owsianka.

– Nie mówiłem, że jest. Twoja córka je owsiankę. Ja mam kakaowe crispies.

– Tato.

– Co znowu?

– To za wiele cukru jak na stan przedcukrzycowy.

– To jeśli zaczniesz bywać w sklepie, żeby zapełniać nasze półki produktami, które uznasz za właściwe, daj mi znać.

Mamie zrzęda mina. Nie znosiła robienia zakupów. W ogóle nienawidziła wychodzenia poza swoją strefę komfortu. Zwłaszcza pod nieobecność taty, akurat teraz oddelegowanego na Bliski Wschód aż do końca sierpnia. A to jeszcze jedenaście tygodni. Tyle będziemy musiały jeszcze znieść. Mamie zawsze służyło, gdy był w pobliżu. Kiedyś tak nie było. Wszędzie, gdzie się przeprowadzaliśmy (pięć różnych miast, licząc od

mojej pierwszej klasy podstawówki do siódmej) utrzymywała ścisłą więź z innymi żonami żołnierzy, co wyraźnie ułatwiało jej adaptację. Cztery lata temu uznała jednak, że chce zapewnić mi bardziej stabilne warunki, i dlatego po przeniesieniu się na środek kalifornijskiego wybrzeża kupiliśmy dom z dala od osiedla wojskowego, jak powiedziała mama, na stałe. Ogromnie mnie to uszczęśliwiło. Po raz pierwszy miałam przyjaciół, których nie będę musiała opuścić. Mama jednak borykała się sama z tymi wszystkimi myślami. Z dnia na dzień coraz bardziej.

– Racja. Sklep. – Mama zniknęła w spizarce, a ja spojrzałam krzywo na dziadka.

– No co? – zapytał.

– Wredota – szepnęłam. Potem zawołałam do mamy: – Kiedy tata będzie znowu na wideoczacie? – Rozmawialiśmy z nim w zeszłym tygodniu, prawdopodobnie więc nie powinnam pytać. To mogło ją jeszcze bardziej przygnębić. Kiedy jednak moja mama wpadała w obsesję na punkcie opowieści z internetu i przestawała wychodzić, zawsze przychodził mi na myśl tata i moje marzenia, by tak często nie wyjeżdżał. Wiedziałam, że gdyby miał wybór, nie robiłby tego, ale łatwo się wini nieobecnych.

– Prawdopodobnie za kilka tygodni – odparła, wychodząc z pudełkiem poduszczyk z pełnoziarnistej pszenicy. Postawiła je na stole, potem wyjęła z kredensu czystą miskę i starannie przepłukała pod gorącą wodą. – Co dzisiaj w planach?

– Niewiele – odpowiedziałam. – Jestem zapisana na pracę w muzeum. Pan Wallace każe mi wysprzątać magazyn. Jeden koszmar. Prawie taki, jakby zarządzała nim gromadka wyjątkowo kreatywnych osób.

– Pan Wallace pozwoli ci zaprezentować twoje obrazy na lipcowej wystawie?

Zagryzłam wargę, żeby stłumić uśmiech. W końcu udało mi się uporządkować moje prace, zrobić zdjęcia i złożyć w teczkę, którą mu pokażę.

– Nie wiem, zobaczymy.

Mama pocałowała mnie w czubek głowy.

– Jak mógłby odmówić? Jesteś taka utalentowana.

– Załączyłaś mój ulubiony obraz? – upewnił się dziadek. – Pola kwiatów?

– Załączyłam.

– To masz to jak w banku – stwierdził.

Komórka, którą zostawiłam na stole, zabrzęczała. To był SMS od Coopera.

„Nie zostawiłem u ciebie biało-zielonych szortów?”

Poszłam do swojego pokoju sprawdzić. I oczywiście szorty do surfingu leżały wraz z jedną z koszulek Coopera na krześle w kącie pokoju. Musiał je zostawić po tym, jak w zeszłym tygodniu poszliśmy pływać. Podniosłam tę koszulkę i niewiele myśląc, przytknęłam do nosa. Pachniała jego plażowymi aromatami – pomadką ochronną do ust o smaku wiśni i kremem z filtrem.

„Tak, są, ale jadę do muzeum, więc dostaniesz je później”.

„Zapytasz pana Wallace’a o wystawę?”

„Jasne!”

„Trzymam kciuki!”

Doroczna wystawa, dzięki której pan Wallace zbierał fundusze na muzeum, dostarczała doskonałej okazji, by nie tylko pokazać moje obrazy, ale też, jeśli szczęście dopisze, któryś sprzedać. Problem był jeden: wymóg ukończenia osiemnastu lat. Na moją korzyść jednak przemawiały moje prace, mój dar przekonywania i to, że pan Wallace mnie lubił. Miałam to jak w banku.

Rozdział 3

Problemem naszego muzealnego magazynu było to, że pan Wallace to nałogowy zbieracz, ale sam o tym nie wiedział. Nie wyrzucał niczego. Żadnej tabliczki informacyjnej, żadnego katalogu, nawet najmniejszej pamiątki po minionych wystawach i prezentacjach. Pokój pękał w szwach. Pracowałam w muzeum od jakiegoś roku (zgłosiłam się tam z miłości do sztuki), a nigdy jeszcze nie miałam okazji sprzątać magazynu. Sądząc z wyglądu pomieszczenia, nie robili tego też inni pracownicy. Nie żeby się do tego kwapili. To mnie jako najmłodszej stażem przypadała czarna robota. Przewodnicy oprowadzali wycieczki, Tina głównie sprzedawała bilety, a Ralph, pracownik ochrony, w życiu nie zamieniłby swojego identyfikatora na mop. Dlatego magazyn miał za sobą prawdopodobnie całe lata zaniedbywania.

Po zamknięciu muzeum wyniosłam do holu pudło papierów i zaczęłam je segregować.

Zdążyłam już zrobić trzy sterty: „zdecydowanie do wywalenia”, „być może”, i „zostawić”.

Przechodząc, zwrócił na mnie uwagę pan Wallace, a ja natychmiast zamarzyłam, by sobie poszedł, bo inaczej moja sarta „zdecydowanie do wywalenia” musiałaby zmaleć.

– O co tu chodzi? – zapytał. Pan Wallace w niczym nie odpowiadał mojemu wyobrażeniu kuratora sztuki. Nie żeby mi zaprzętała sobie głowę tego rodzaju wizjami, ale jeśli już, to takiego kuratora w moich wyobrażeniach cechowało wycucie mody i styl. Pan Wallace zaś wyglądał na sprzedawcę używanych samochodów, w tanim, nieco za dużym garniturze i ze szcieszoną do tyłu siwizną. Ale był miły i znał się na sztuce, choć niekoniecznie na tej dotyczącej ubioru.

– Takie sterty – wyjaśniłam, gdy stanął nade mną. – Właśnie robię porządki.

– Dlaczego są trzy?

Podniosłam kilka papierów ze sterty na przemiał.

– Proszę spojrzeć, na tych plakatach są daty. Nie uświetni pan żadnego wydarzenia w tym roku czymś z datą sprzed pięciu lat, prawda? Dlatego te

trafiły na stos „Zdecydowanie do wywalenia”. Ten tutaj oznacza „być może”.
– Wskazałam środkowy. – A tamten rzeczy „do zachowania”.

Wskazał butem papiery do wyrzucenia.

– Nie planowałem ich ponownego wykorzystania, ale trzymałem, żeby móc przypomnieć sobie pomysł. Bo był dobry.

Wyciągnęłam komórkę.

– To możemy je sfotografować i w ten sposób zachować. – Pstryknęłam zdjęcie. – Może pan mieć w swoim telefonie lub na komputerze folder z pomysłami na wystawy.

Kiwnął głową.

– Świetny pomysł, Abby. Wiedziałem, że po coś cię tu trzymam.

– Bardzo zabawne. Lepiej, żeby się pan tego trzymał, bo jak zgłoszę pana nazwisko do tego programu o nałogowych zbieraczach, będą problemy.

– Nie zgłosiłabyś.

Uśmiechnęłam się, a on sobie poszedł. Na dzisiejszy wieczór grafik przewidywał tylko obecność pana Wallace’a, Ralpa, Tiny i moją. Tina zmyła się zaraz po zamknięciu, miałam więc cały hol dla siebie.

Odkąd dostałam pozwolenie na robienie zdjęć i wyrzucanie papierów, stos na przemiał rósł z każdą sekundą.

Między jedną a drugą fotką dostałam SMS-a: „Gdzie jesteś?”

To był Cooper. „Mówiłam ci. W muzeum”.

„Jeszcze?!”

„Dopiero zaczęłam. A ty gdzie jesteś?”

„Czekam, żeby odebrać siostrzyczkę z lekcji muzyki”.

„Wiem, kim jest dla ciebie Amelia. A czternaście lat to już nie taka siostrzyczka”.

„Wiem. Mała dorasta. Zapytałaś go?”

„Za chwilę. Jeśli jeszcze posprzątam, będzie bardziej zadowolony”.

„Nie musisz się wkupywać, żeby wystawić swój obraz. Twoje prace bronią się same. Są genialne”.

„Małe przekupstwo nie zaszkodzi”.

„Zapytaj go!”

„Zapytać go. Zapytać”, powtarzałam sobie, pakując stertę na przemiał do dwóch wielkich worów na śmieci. I gdy je wynosiłam do kontenera na tyłach. Trzeba zapytać. Wracając, zatrzymałam się przy swoim samochodzie i wyciągnęłam tę pokazną tekę. Zawierała głównie zdjęcia moich prac, bo same płótna byłyby za duże. Zabrałam też jednak kilka mniejszych

obrazków. Pierwszym z nich był ten ulubiony dziadka, którego oglądanie zawsze mnie cieszyło.

Pan Wallace był w swoim biurze, zapisywał coś w notatniku. Pokój miał niemal równie okropny jak magazyn – stosy papierów na biurku, pod ścianą sterta sztalug pilnie wymagających naprawy, w kącie przepelniony kosz na śmieci. Kiedy się zatrzymałam w drzwiach, pan Wallace podniósł wzrok.

– Zbierasz się do domu?

– Tak, ale najpierw chciałabym zapytać pana o tę wystawę pod koniec lipca.

Jego spojrzenie powędrowało ku trzymanej przeze mnie teczce.

– Przyniosłam kilka próbek, żeby panu pokazać. – Rozłożyłam swoje portfolio na jego biurku.

– Abby, przestrzeń jest ograniczona, a zgłoszenia sypią się zewsząd. – Otworzył szufladę i wyciągnął z niej plik papierów, na wypadek gdybym nie uwierzyła.

– Też chciałabym wejść do gry.

– Wymagane jest ukończenie osiemnastu lat. – Wskazał przypadkowe miejsce na którymś ze zgłoszeń.

Nadszedł czas na moją przemyślaną przemowę.

– Proszę pana, jestem przekonana, że sztuka nie zna ograniczeń wiekowych. Michał Anioł wyrzeźbił *Madonnę przy schodach* jako szesnastolatek. Picasso został przyjęty do prestiżowej akademii sztuki w wieku lat czternastu. Piętnastoletni Salvador Dali miał już swoją pierwszą publiczną wystawę. Nie mówię, że jestem tak utalentowana jak oni, wskazuję tylko, że nie wiek świadczy o umiejętnościach.

– Słyszę, że dobrze odrobiłaś lekcje.

Jeszcze bliżej podsunęłam mu teczkę.

– Proszę tylko o szansę.

Z westchnieniem sięgnął po moje portfolio. Z ulgą zajęłam krzesło naprzeciw niego. Najtrudniejsze za mną. Teraz przemawiały moje obrazy. Powoli je kartkował. Większość powiększyłam przynajmniej do formatu A3. Uważnie przyglądał się każdemu. Upłynęła cała wieczność, zanim zamknął teczkę i podniósł wzrok na mnie.

Uśmiechnęłam się triumfalnie.

– Abby, będziesz idealnie nadawać się na wystawę, gdy spełnisz wymagania wiekowe. To już za rok?

– Zaraz, co takiego?

– Za rok osiągniesz odpowiedni wiek. – Poklepał zamkniętą już teczkę. –
Przynies mi wtedy więcej próbek.

Uśmiech spelzł mi z twarzy.

– Tak. Ale czemu? Widziałam prace, które pan pokazuje na wystawach amatorów. Moje są równie dobre. Naprawdę chce mnie pan przyblokować dlatego, że jeszcze nie skończyłam osiemnastu lat?

– Nie tylko o twój wiek chodzi.

– A o co?

– Miejsca mamy mało, a żeby utrzymać tę placówkę, muszę mieć sprzedaż. To moja jedyna w całym roku okazja do gromadzenia funduszy. Jesteśmy muzeum, a nie galerią, nie mogę więc podejmować takich akcji przy każdej okazji.

Przesunęłam się na skraj niewygodnego nagle krzesła.

– A jeśli sprzedam kilka obrazów, które pan dopuści? To by pomogło, prawda?

Przesunął teczkę w moją stronę.

– Nie sprzedasz.

– Czemu nie?

– Bo nie jesteś jeszcze gotowa. Twoje obrazy na razie nie są wystarczająco dobre.

Całe powietrze uszło mi z płuc tak szybko, jakby ktoś rąbnął mnie w brzuch. Nie odzywałam się, więc mówił dalej:

– Mam podstawy wierzyć, że takie będą, ale jeszcze nie osiągnęłaś tego etapu.

– Co pan przez to rozumie? Czego brakuje moim obrazom?

Przyjrzał się mojej zamkniętej tezcze.

– Przeżyć... Serca.

– Serca?

– Technicznie są dobre, ale sprawiają wrażenie kopii obrazów. Patrząc na twoje malarstwo, chcę coś poczuć. Brakuje mu pewnej głębi, to zresztą zrozumiałe. Jesteś jeszcze młoda. Nie doświadczyłaś w swym życiu wystarczająco wiele. Ale to przyjdzie z czasem. W swoim rozwoju artystycznym jesteś właśnie na tym etapie, na którym powinnaś być. Po prostu nadal idź tą drogą. Osiągniesz cel.

Tępo pokiwałam głową. Po tym, gdy przez lata nauczyciele plastyki, rodzice i dziadek powtarzali mi, że mam talent daleko przekraczający mój wiek, ciężko było tego słuchać. Podniosłam się i wepchnęłam teczkę pod

pachę.

– Przykro mi – powiedział, gdy wychodziłam.

Zdecydowałam się na tylne wyjście, żeby uniknąć Ralpha. Nie chciałam, żeby wypytywał mnie o wielką tekę, którą dzwigam. Nie marzyło mi się wyjaśnianie mu, do czego była mi potrzebna.

Muzeum miało dziedziniec, na którym akurat teraz prezentowane były dzieła recyklingowe. Ich autor zbierał śmieci i zamieniał je w sztukę. Przeszłam obok drzewa o gałęziach z żelaznych profili i liściach z barwionych na zielono butelek, potem wyminęłam dwa stare rowery, połączone ze sobą. Balansując na jednym kole, zdawały się przeczyć grawitacji. Ostatnim eksponatem, który mijałam, by dojść do bocznej bramy, była zardzewiała maska volkswagena garbusa. Na wypukłej powierzchni wyryte zostało koślawe serce. Stałam jak wryta.

To wszystko składało się na objazdową wystawę, którą dostaliśmy tylko na dwa tygodnie. W przyszłym tygodniu zapakujemy ją do drewnianych skrzyń z pociętym papierem i wyślemy w głąb wybrzeża, do Pismo Beach, Santa Cruz czy jakiegoś innego nadmorskiego siedliska sztuki, podobnego do naszego. Mnóstwo czasu spędzałam tu na podziwianiu tych dzieł. Kochałam sztukę. Najróżniejszą. A jednak teraz ta stara pordzewiała maska z banalnym sercem wydała mi się niedorzeczna. Coś takiego pan Wallace uważał za dzieło, a moje obrazy nie? To miałyby być o wiele lepsze od wszystkiego, co mu pokazałam? Może więc nie miałam pojęcia, o co chodzi w sztuce. Możliwe też, że nie miałam nic do zaoferowania.

Rozdział 4

Widział ktoś mój ścięty pędzel? – krzyknęłam w głąb korytarza. Byłam szczęściarą. Wiedziałam o tym. Rodzice, w pełni wspierając moje malowanie, zamienili jeden z wolnych pokoi w pracownię dla mnie. Miałam tam sztalugi i płótna, kasetę pełną farb i pędzli oraz najlepsze oświetlenie w całym domu.

Mama stanęła w drzwiach, trzymając mój pędzel.

– Był w twoim słoiku do płukania przy umywalce.

– Dziękuję. – Nikomu jeszcze nie powiedziałam, co usłyszałam od pana Wallace’a w sobotę wieczorem. Pytania z ręcznie zbywałam odpowiedziami w stylu: „Bierze mnie pod uwagę”. Nie uzupełniając tego zdania o jego dalszy ciąg: „na przyszły rok”. Udawałam, że niczego takiego nie powiedział. Wolałam to zignorować. Nie zależało mi na jego wystawie. Istnieli przecież inni, do których mogłabym się zwrócić. Nikt taki nie przychodził mi teraz do głowy, ale należało to sprawdzić.

– Co malujesz? Coś niezwykłego... – Przyjrzała się tablicy reklamowej, którą miałam na sztalugach. – Choć właściwie nie tak bardzo.

– A ja myślę, że ten plakat jest całkiem fajny.

– Musisz na każdy wyścig robić Cooperowi nowy plakat? Masz coś przeciwko recyklingowi?

– W tym cały jego urok, mamo. Bo to jest stary plakat. Po prostu za każdym razem nanoszę kolejną warstwę.

– Plakat jest w porządku – przyznała. – Miałam jednak na myśli farbę. Strasznie jej dużo.

Zamalowałam dolną połowę dawniejszego pomarańczowego tła i teraz widniały tam różne odcienie niebieskiego, przenikające się tak, by tworzyły wrażenie łuku. Na górze dodałam słowa zachęty.

Wyjęłam mamie z ręki ścięty pędzel.

– Mamo, malarz musi malować.

Podeszła do okna i otworzyła je.

– Wydawało mi się, że rozmawialiśmy o wietrzeniu podczas malowania. Musisz mieć tu lepszą wentylację. Te opary nie służą twoim płucom.

– Nic nie czuję.

- Bo już się na nie znieczuliłaś.
- Mamo, malarze całe stulecia malowali, nie mając dobrej wentylacji.
- I pewnie wszyscy dorobili się raka płuc.

Czasem bez sensu było się z nią spierać.

– Okej, będę otwierała okna. A jeśli narażę się na wyziębienie organizmu?

Wesoło poklepała mnie po plecach, a potem spojrzała na zegarek.

– Myślałam, że wyścig zaczyna się o drugiej.

– Bo tak jest. Zaczekaj. Która godzina?

– Pierwsza czterdzieści pięć.

– Co? Kurczę. – Uzupełniłam to, co już napisałam, o ostatnie słowa i zdjęłam tablicę ze sztalug. – Mogę wziąć samochód, prawda? Nie masz żadnych wielkich planów na to popołudnie?

Na mój sarkazm odpowiedziała małym szturchańcem.

– Wyślij SMS-a, kiedy tam dojedziesz. I kiedy będziesz wracać.

– A nie wystarczy, jak napiszę, jeśli będzie się coś działo?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Dobra, wyślę.

– Dziękuję.

– Posprzątam po powrocie – zawołałam przez ramię.

– Balsam! – wrzasnęła.

Zawróciłam, na moment zrobiłam sobie postój w kuchni przy szufladzie z balsamami z filtrem, złapałam pierwszą lepszą z dwudziestu buteleczek i wyleciałam z domu. Ostrożnie ułożyłam plakat w bagażniku, mając nadzieję, że upał pomoże mu wyschnąć w czasie jazdy, po czym wsiadłam do auta.

Nadal miałam na sobie koszulę malarską z kołnierzykiem, o długich rękawach i zapinaną na guziki, pokrytą starymi bryzgami we wszelkich kolorach, a pod nią koszulkę na ramiączkach i szorty. Wytarłam dłonie w koszulę i zapaliłam silnik. Miałam nadzieję, że Cooper nie będzie się ścigał jako pierwszy.

Wiwatowałam jak szalona ze swojego miejsca w pobliżu linii mety. Gdy przyjechałam, już się zaczęło, nie miałam więc czasu szukać jego rodziców ani siostry, ale byłam pewna, że gdzieś tam są. Elegancko trzymałam swoją tablicę w górze. Cooper w jasnozielonym kasku pokonywał wydmy z obłądną szybkością. Podczas wyścigów zawsze się o niego bałam, on

jednak stale powtarzał, że nie ma strachu, bo przecież urodził się na tych wydmach. Na co ja nieodmiennie odpowiadałam: „Fuj, wcale nie”. Wiedziałam jednak, o co mu chodziło – że jeździł od małego. I to było widać. Wygrywał prawie wszystkie wyścigi, tym razem też nie było inaczej.

Gdy jako pierwszy przekroczył linię mety, wstał i uniósł dłoń zaciśniętą w pięść. Przepchnęłam się przez tłum widzów, złożony głównie z turystów, do przyczepy, w której trzymał quada. Cooper i jego rodzina dotarli tam już wcześniej. Stał z kaskiem pod pachą i na mój widok uśmiechnął się szeroko.

– Abby! Tutaj!

Zamachałam i podeszłam do niego.

– Cześć.

– Witaj, Abby – powiedziała jego mama. Tata mi pomachał. Jego siostra Amelia uściskała mnie. W życiu nie spotkałam rodziny, której członkowie byliby tak do siebie podobni, jak ci od Coopera. Wysocy, szczupli i jasnowłosi.

– Dzień dobry wszystkim. Świetny wyścig, Coop.

Amelia popatrzyła na moją tablicę. Cooper też się jej teraz przyglądał. Przeczytał głośno:

– „Cooper pierwszy na pudle”. Zgadza się.

Wskazałam część, którą pominął. Wypisane mniejszymi literami w nawiasie. „Albo drugi”.

Szturchnął mnie w ramię.

– Drugi nie byłem.

– Wołałam się przygotować.

– Jak widzę, wołałaś się też umazać farbą.

Przyjrzałam się swojemu ubraniu, upewniając się, czy rzeczywiście zdjęłam koszulę malarską.

– Mam farbę na twarzy?

– Zgadza się. – Przesunął palcem po mojej prawej skroni, potem po lewym policzku, a mnie przeszedł dreszcz. Mimo to się otrząsnęłam.

– Ledwie się dziś wyrobiłaś? – zapytał.

– Dałam radę – odparłam, wycierając twarz. – Widziałam cały twój wyścig i jeszcze przywiozłam tablicę.

Tata poklepał go po plecach.

– Dobrze się dzisiaj spisałeś, synu.

Rodzice Coopera nie od początku wspierali to jego ściganie się, ale kiedy do nich dotarło, jak je uwielbia, zaczęli nawet bywać na zawodach.

– Dzięki, tato.

– Nie powinniśmy załadować twojego quada na przyczepę?

– Owszem. – Skinął głową w moją stronę i poklepał siedzenie. – No, Abby, chcesz się przejechać?

– Odpada, nie mam zamiaru pakować się w tę śmiertelną pułapkę. Jego siostra się roześmiała.

– Ja z nim jeździłam.

– Widocznie bardziej ufasz twojemu bratu niż ja.

– Abby to straszny cykor – stwierdził Cooper scenicznym szeptem, osłaniając usta dłonią.

– Zignoruję ten komentarz, a nawet zaproszę cię na burgera z bekonem dla uczczenia twojego zwycięstwa – oświadczyłam.

– Tym razem rodzice zabierają mnie na świętowanie, ale jedź z nami. Może tak być, mamó? – zapytał.

Jego mama uśmiechnęła się, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy szczerze.

– Ależ tak, oczywiście.

Nie żebym uważała, że rodzice Coopera mnie nie trawią. W sumie, podobnie jak on, lubili mnie jako jego przyjaciółkę. Wiedziałam jednak też, że cieszy ich, iż nie jesteśmy parą. Chcieli dla Coopera czegoś innego. Lepszego. Nie dziewczyny z ręcznie malowanymi tablicami, mamą dziwaczką i wiecznie nieobecny tata. Cooper nigdy nie opowiadał mi o odczuciach swoich rodziców, ale poznawałam to po ich reakcjach na opowieści o moim życiu, mojej sztuce, mojej mamie.

– Okej – powiedziałam, nie będąc pewna, czy powinnam przyjąć zaproszenie, ale i przagnąc uczyć z nim ten dzień.

– O piątej w Cheesecake Factory – oświadczyła jego mama. – Będziemy mieli więc dość czasu, by wrócić do domu i doprowadzić się do ładu.

Chodziło o to, że ja będę miała dość czasu. Ale miała rację. Nie wypadało się pokazywać w restauracji z farbą na twarzy.

– Tak, okej... Tam się spotkamy. – Już się oddalałam, ale Cooper mnie dogonił.

– Co jest?

– Co jest z czym?

– Masz smutną minę. Co się stało?

– Nic. Do zobaczenia wkrótce.

– Niech ci będzie. Możesz nie mówić. – Ruszył biegiem w stronę rodziny.

– Nie bądź taki dzieciak – zawołałam jeszcze.

– Przecież uwielbiam zgrywać dzieciaka.

Wiedziałam, że powinnam mu powiedzieć, co usłyszałam od pana Wallace’a, ale chwila tuż po wyścigu nie wydawała mi się odpowiednią porą. Może po kolacji.

Rozdział 5

A może nigdy nie powiem Cooperowi o panu Wallasie. Zanegowanie tego też było jakimś wyjściem.

Włożyłam najładniejszą sukienkę. Swoje rozjaśnione od słońca włosy spłotłam w luźny warkocz i umalowałam się, chociaż latem rzadko sobie pozwalałam nawet na więcej tuszu. Było na to zbyt gorąco.

Kiedy się pojawiłam przy stole, mama Coopera ucałowała mnie w policzek, a jego siostra poklepała puste krzesło pomiędzy nią a Cooperem.

– Uwielbiam, kiedy się przebierasz dla moich rodziców – szepnął Cooper, kiedy siadałam.

– Zamknij się – mruknęłam.

Cooper ubrał się w szorty i wyblakłą niebieską koszulkę podkreślającą błękit jego oczu. Dzięki nieustannemu przebywaniu na powietrzu skórę miał opaloną na idealny brąz. Końcówki jasnych włosów, jeszcze lekko wilgotnych po niedawnym prysznicu, podwijały się. Był uroczy, jak to on. Ochrzaniłam siebie za takie skojarzenia. Potem otworzyłam menu, żeby spojrzeć, co tu dają.

Tłumienie w sobie myśli o urodzie Coopera poprzez przekopywanie jadłospisu tak mnie zaabsorbowało, że stojącą nade mną osobę zauważyłam dopiero, gdy usłyszałam:

– Hej, Abby.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam znajomego ze szkoły – Elliota Garcię.

– Cześć. Nie wiedziałam, że tu pracujesz.

– Tylko przez to lato – wyjaśnił.

– To super.

– Cześć – powiedział Cooper do Elliota. – Czemu ja cię nie znam?

Walnęłam go w ramię.

– Przecież nie można znać wszystkich.

– Wiesz przecież, o co mi chodzi – odparł. Rzeczywiście wiedziałam. Cooper i ja znaliśmy tych samych ludzi, a oni znali nas. Znali Coopera, Abby, Justina i Rachel. Albo Rachel, Coopera, Justina i Abby. Jakkolwiek na to spojrzeć, rzadko kto był znajomym tylko jednego z nas. Ale że uczyliśmy się w różnych grupach, zdarzało mi się, jak w przypadku Elliota, poznawać

osoby nieznane pozostałym, im zresztą też.

– Za to ja cię znam – oznajmił Elliot. – Jesteś Cooper Wells. Po prostu jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać.

– No to teraz mamy – odrzekł Cooper.

Podczas tej wymiany zdań przyglądałam się im obu. Elliot był fajny, ale w sposób niemal całkiem odmienny niż Cooper. Mój przyjaciel był niebieskooki, Elliot oczy miał brązowe. Cooper był blondynem, czupryna Elliota wydawała się prawie czarna. Cooper był wysoki i muskularny, Elliot szczupły i przeciętnego wzrostu. Gdy patrzyło się na nich obu, kontrast aż rzucał się w oczy.

– Sądzę, że możemy już złożyć zamówienie – oświadczył pan Wells, wrywając mnie z zamyślenia. Elliot się wyprostował.

– Państwa kelner za chwilę podejdzie. Ja tylko witam gości. Podam coś do picia. – Uśmiechnął się do mnie. – Zaraz wracam.

Już odchodził, kiedy odezwał się Cooper.

– Powinieneś się umówić z Abby.

Zamurowało mnie.

Elliot się odwrócił.

– Słucham?

– Nic, nic. Nie zwracaj na niego uwagi – poradziłam.

Cooper czasem bawił się w swata. Nie wychodziło mu to.

Jak tylko Elliot oddalił się od stołu, spojrzałam na Coopera tak krzywo, że bardziej się nie dało.

– Sorki – powiedział. – Ale ten gość na ciebie leci. To było widać, starałem się mu pomóc.

– Nawet flirtować musisz w moim imieniu?

– A więc to miał być flirt? Bo nigdy bym się nie domyślił.

Nie miałam głowy do flirtów. Akurat teraz nie interesował mnie ani Elliot, ani żaden inny facet. Niedawno dowiedziałam się czegoś okropnego na temat mojego malarstwa, a moje serce jeszcze nie zdążyło ochłoniąć po uśmiechu Coopera. Taki stan emocjonalny nie sprzyjał umawianiu się z chłopakiem.

Megasarkastyczne pytanie Coopera zbyłam, zadając mu inne.

– Masz jakieś wieści od Justina?

Wyjął komórkę i pokazał mi zdjęcie na wpół ukończonego kamiennego muru.

– Tobie też przysłał?

– Nie. Czemu właściwie do mnie nie pisze? – Przeczytałam dopisek do tej fotki: „Budujemy szkołę dla miejscowych dzieci”. Mogłam sobie wyobrazić Justina tam, mówiącego po hiszpańsku, językiem stale używanym w jego domu, i bawiącego się z dziećmi.

Wyciągnęłam telefon i wysłałam Justinowi pytanie: „A gdzie aktualne fotki dla mnie, gnojku?”.

– No. To na pewno skłoni go do natychmiastowego spełnienia życzeń – stwierdził Cooper, zaglądając mi przez ramię.

– W razie czego wystarczy mi, że poczuje się winny.

Cooper parsknął śmiechem.

Wrócił Elliot, z naszymi napojami, a za nim kelner, który przyjął zamówienia.

– Jak tam twoje malarstwo? – zapytał siedzący po drugiej stronie stołu pan Wells, ledwie tamten odszedł.

– Dobrze.

– Namalujesz coś dla mnie? – zapytała siostra Coopera.

– Oczywiście – odpowiedziałam, a jego mama w tej samej chwili rzekła:

– Amelio, nie wypada prosić o coś takiego.

– Dlaczego? – zdziwiła się Amelia.

– Ponieważ Abby nie ma na to czasu.

– To prawda, Amelio – potwierdził Cooper, prostując rękę za moimi plecami, by pociągnąć siostrę za włosy.

– Abby chce namalować pięć całkiem nowych obrazów, bo za sześć tygodni weźmie udział w wystawie.

– Wcale nie – zaprzeczyłam.

– Ależ tak mi powiedziałaś. Oświadczyłaś, że żaden z obrazów, które już masz, nie jest wystarczająco dobry.

– Bo nie jest – przyznałam. – Możemy nie omawiać tego teraz?

– Kompletnie się z tobą nie zgadzam. Są wspaniałe. Ale co tam, uparłaś się, więc namalujesz nowe.

– Nie namaluję – oznajmiłam.

– Czyli zamierzasz wystawić już namalowane? Które?

– Nie. Żadnych.

Całkiem się pogubił.

– Nie da się jednocześnie malować i nie malować – zauważył.

– Nie będzie wystawy.

– Odwołał ją?

– W moim przypadku. Nie będzie jej dla mnie.

– Myślałem, że się zastanawia. Że się zgodzi.

– Odmówił.

– Oo. – Z jego twarzy momentalnie zniknął uśmiech.

– Właśnie. Ale co tam, nic się nie stało. Wystawię się gdzie indziej. – Czułam, że policzki mnie palą, i pragnęłam jak najszybciej zakończyć ten temat. Przyciągnęłam do siebie szklankę z wodą i na jakiś czas zajęłam się piciem.

Rodzice Coopera popatrzyli po sobie, a potem znów na mnie. Któreś z nich zaraz poprosi o wyjaśnienie tego, co powiedziałam. Albo powie coś typu „Ależ stało się” lub „Przecież twoje obrazy powinny się znaleźć na tej wystawie”. Jego tata nawet chrząknął, jakby szykując się do przemowy. Wiedziałam, że jeśli powie choć słowo na ten temat, zaleję się łzami, zanim dokończy zdanie. Już teraz zbierało mi się na płacz, łzy miałam pod powiekami, oczy mnie szczypały. I wtedy Cooper stwierdził:

– Masz rację, to nic takiego. – Pod stołem ścisnął mnie za kolano. Potem opuścił rękę.

– Powiedz, czy nie byłem dziś niesamowity na wydmach?

Jego siostra pierwsza to podchwyciła, chyba równie dobrze jak Cooper rozumiejąc, że zależało mi na zmianie tematu.

– Nieźle wyskoczyłeś przy tym salcie w tył.

Ich rodzice nieco później zaskoczyli, mama spotkała się ze mną wzrokiem na długą chwilę i dopiero potem przeniosła uwagę na Coopera.

– No tak, przecież mamy uczcić twój wspaniały wyścig. Świętujmy więc.

Kiedy kelner wrócił z naszymi potrawami, nikt już nie przejmował się moim niepowodzeniem, bo wszyscy cieszyli się sukcesem Coopera. A ja byłam mu wdzięczna za to, że wiedział, iż dokładnie tego potrzebowałam.

– Abby mnie odwiezie – ogłosił Cooper pod koniec kolacji, kiedy rachunek był już zapłacony i wszyscy zbieraliśmy się do wyjścia.

– Ja? – zapytałam. Naprawdę marzył mi się powrót do domu i zagrzebanie się w łóżku. Przez ostatnie kilka dni udawało mi się spychać myśli o panu Wallasie i wystawie na samo dno pamięci (lub przynajmniej gdzieś blisko niego), ale ubranie tych faktów w słowa znów wszystko przywołało. Uwierzyłam temu, co i dlaczego powiedział, pomimo całej mojej złości i chęci zaprzeczenia.

– Tak, ty.

– Nie wróc za późno – pouczył Coopera tata, potem wziął żonę pod jedną rękę, a córkę pod drugą i ruszyli do wyjścia z restauracji.

– Cooper, jestem zmęczona. Moglibyśmy pogadać jutro? – spytałam, gdy byli w połowie drogi do drzwi.

– Odpada. Porozmawiać trzeba teraz. Widzę, że cię to gryzie. Śmiało. – Poprowadził mnie do wyjścia.

– Oczywiście, że gryzie, ale to nic. Dam sobie radę. Lepiej kupmy sobie sernik. – Zatrzymałam się przy podświetlonej gablocie, kontemplując pięknie wyeksponowane ciasta.

Cooper też przystanął.

– Zdaje się, że nie mają z białą czekoladą i malinami.

– Może chcę spróbować czegoś nowego.

– Nigdy nie szukasz odmian. Jak raz uznasz coś za najlepsze, już tylko tego chcesz.

– Święta prawda, Cooper, święta prawda.

Spojrzał na mnie z ukosa, jakby uznał, że nie o sernik mi teraz chodzi. Bo nie chodziło.

Pokręcił głową, śmiejąc się chrapliwie, chwycił mnie za rękę i wyciągnął na zewnątrz. Dłoń miał ciepłą i lekko poznaczoną odciskami. Według mnie idealnie wpasowującą się w moją. Samochód zaparkowałam przed restauracją, Cooper jednak wyminął go, idąc w stronę mola. Musiał dojść do wniosku, że i tak za nim pójdę, bo ku memu rozczarowaniu puścił moją dłoń.

Półtorej przecznicy dalej oświadczył:

– Mam coś dla ciebie.

– Naprawdę? Co? – Serce mi przyspieszyło, nie pytając mnie o zdanie.

Wyjął z kieszeni białą serwetkę i mi podał. Zapisano na niej numer telefonu. Zdusiłam w sobie rozczarowanie.

– Już mam twój numer – przypomniałam.

– Ha, ha. To numer Elliota. Zrób z niego użytek.

– Nadal widzisz się w roli swata?

– Jestem w niej świetny.

– Elliot dał mi swój numer pół roku temu, ale i tak dzięki. – Wiedziałam, że wtedy tamten chłopak był mną zainteresowany. W pewnym sensie go spławiłam, kończąc na kilku SMS-ach. Serwetkę wepchnęłam Cooperowi do kieszeni, potem wysforowałam się do przodu. Deski mola były wypaczone, po dojściu na nie musiałam więc zwolnić, żeby się nie potknąć. Cooper mnie dogonił.

- A zadzwoniłaś do niego?
- Trochę esemesowaliśmy. Cooper, nie jestem nim zainteresowana.
- Opowiadałaś mi o nim?
- Jestem pewna, że tak.
- Hm – mruknął.

Kiedy doszliśmy na koniec mola, oparłam się o drewnianą balustradę i zapatrzyłam w wodę. Nocą ocean na pierwszy rzut oka wydawał się czarny, ale pomiędzy linią widnokregu a brzegiem dostrzec można było takie różnicowanie barw i ruch, że zawsze korciło mnie, by chwycić za pędzel.

– Abigail, porozmawiaj ze mną. Nie znoszę, gdy się zamykasz w sobie. Co dokładnie się stało? Mówiłaś, że pan Wallace bierze cię pod uwagę. Co naprawdę powiedział?

- Że nie mam serca.
- Dał do zrozumienia, że jesteś androidem?

Położyłam ręce na poręczy i z jękiem oparłam o nie czoło. Owionął mnie zapach soli, ryb i wodorostów.

Cooper przejechał mi ręką po plecach.

- Powiedział, że nie masz serca? Co to niby miało znaczyć?
 - Stwierdził, że nie ma we mnie głębi. Że moje obrazy generalnie są jednowymiarowe. Że nic przy nich nie czuje.
 - Aha. Czyli to on jest androidem. Kumam.
- Jeszcze bardziej wtuliłam głowę w ramiona.

– A tak poważnie, on najwidoczniej nie wie, o czym mówi.

„Na pewno nie?” – miałam ochotę spytać. Ty odbierasz to tak samo. Tobie też czegoś we mnie brakuje; tego, co sprawiłoby, że coś czujesz.

Zwróciłam głowę w bok i spjrzałam na Coopera.

– Mam mamę cierpiącą na agorafobię i tatę w strefie wojny. – Do tego nie potrafiłam zapomnieć o nieodwzajemnionej miłości. – Ile jeszcze potrzeba tej głębi?

– Nie za dużo – zaśmiał się Cooper, wywołując w mojej piersi łomotanie serca.

Znowu jęknęłam i schowałam głowę. Gdy się znów odezwał, o pale mola uderzyły fale.

- Twoja mama nie ma agorafobii.
- Wiem. Mam jednak wrażenie, że usilnie się o nią stara. Pogarsza się jej.
- Jak bardzo?
- Kiedyś przynajmniej wychodziła. Teraz nie opuszcza domu. Nawet nie

pamiętam, kiedy ostatnio jej się to zdarzyło. Przydałyby się jej przyjaciółki. Przed przeprowadzką tutaj zawsze jej to pomagało.

– Prawdopodobnie udałoby mi się namówić mamę, żeby wyciągnęła ją gdzieś na kolację.

Nie musiałam nic mówić, wystarczyło samo moje spojrzenie, żeby pojął niedorzeczność tej sugestii.

– Masz rację – powiedział. – Nie pasowałyby do siebie.

– Nie jest źle. Nie będzie, kiedy tata w sierpniu wróci do domu.

– Twój tata wraca w sierpniu?

Uśmiechnęłam się na tę myśl. Ten termin był tuż-tuż.

– Tak, już się nie mogę doczekać. Ale na wystawę nie zdąży. To znaczy, nie zdążyłby. Teraz to już nieważne.

– Może źle zrozumiałaś pana Wallace’a?

– Nie. Jasno dał mi to do zrozumienia. Bardzo jasno. Użył dosłownie tych wszystkich określeń, które wymieniłam. Brak emocji, brak głębi, brak serca. Wszystko razem.

– Musiało boleć.

Bolało. Bycie malarką określało mnie. Tylko w tym czułam się dobra. Właśnie za to podziwiali mnie ludzie, łącznie z Cooperem. I oto nie miałam nawet tego.

W restauracji udało mi się zapanować nad łzami, teraz groziło, że się rozplączę.

– Abby, to tylko jedna opinia.

– On ma doktorat ze sztuk plastycznych. Jako kurator kieruje muzeum. I jest jedyną znaną mi osobą, która mogłaby wystawić moje obrazy. Potrzebowałam tego doświadczenia. – Gula w moim gardle z chwili na chwilę robiła się coraz większa, a przecież musiałam ją jakoś przełknąć.

– Jakież inne muzeum? Albo galeria?

– Rozglądałam się. To byłby daleki strzał. O udział w wystawach ubiegają się setki ludzi. Myślałam, że u pana Wallace’a mam to załatwione. A jeśli jemu nie podoba się moje malarstwo, naprawdę myślisz, że ktoś obcy by zaryzykował?

– Nie bierz go sobie tak do serca.

– Już tam siedzi. – Wraz z tymi słowami ku mojej rozpaczycy popłynęły łzy. Ze złością je starłam.

Cooper objął mnie mocno.

– Nie płacz. Nienawidzę, kiedy płaczesz. Nabieram ochoty, by kogoś

sprać.

– Dojdę do siebie.

– Wiem, że dojdiesz. I znajdziesz sposób, żeby mu dowieść, jak się myli. – Dłoń Coopera przesuwiała się po moich plecach, a ja coraz bardziej wtapiałam się w niego.

Chociaż słowa Coopera niosły pocieszenie, nie byłam pewna, jak miałabym dowieść panu Wallace'owi, że popełnił błąd. Wpływanie na odczucia innych ludzi nie bardzo mi wychodziło.

Rozdział 6

Wpatrywałam się w czyste płótno. Doświadczenie. Głębia. Cooper miał rację. Muszę udowodnić panu Wallace'owi, że się myli. Zakwalifikowałabym się na tę wystawę, przyjęliby mnie do programu i dowiodłabym panu Wallace'owi, Cooperowi i w ogóle wszystkim, że jestem prawdziwą artystką. Muszę namalować coś nowego. Innego niż przedtem. Ostateczne decyzje kwalifikujące podejmie dwa tygodnie przed wystawą. Musiałabym mu pokazać, że jest we mnie więcej niż to, co widział.

Miałam około czterech tygodni na namalowanie pięciu obrazów lepszych niż te, które stworzyłam dotąd. Jednak to nie termin sprawiał, że narastał we mnie paniczny lęk. Czas nie był tu problemem. Zależnie od rozmiaru, bogactwa szczegółów i od tego, jak wiele godzin ciągłej pracy mogłam poświęcić obrazowi, zajmował mi od jednego dnia do kilku. Jako że było lato, czasu miałam aż nadto. Ucisk w piersiach spowodowany był tym, że nie miałam pomysłu, co namalować. Nie miałam pojęcia, co mogłoby być tym czymś nowym, odmiennym czy też lepszym.

Przewertowałam album inspirujących fotografii i wydruków, zwykle użyteczny, gdy chodziło o czerpanie pomysłów. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. I czy nie chodziło o stworzenie czegoś zupełnie innego niż zazwyczaj?

Wsadziłam album z powrotem do kasy, a pędzel do słoika. Kiedy odwróciłam się, żeby wyjść z pokoju i się wykrzyczeć, zobaczyłam, że w drzwiach stoi mama.

- Wystraszyłaś mnie – powiedziałam.
- Nic nie namalowałaś.
- Wiem.
- Cooper powiedział mi, co usłyszałaś od pana Wallace'a.
- Co takiego? A to zdrajca. Kiedy ci powiedział?
- Przysłał SMS-a dziś rano.
- Już nie żyje.
- Chciałabym się dowiedzieć, czemu ty nic mi nie powiedziałaś.
- Sama nie wiem. Im więcej o tym mówię, tym mocniej w to wierzę. Cooperowi zresztą też nie zamierzałam powiedzieć. Wymusił to na mnie.

Pokręciła głową.

– Ten chłopiec nie musi uciekać się do wymuszania.

– Wiem. Łatwo to ze mnie wyciągnął. W jego przypadku moja siła woli nie działa, ale zachowaj to dla siebie.

Mama się uśmiechnęła. Wiedziała, jak to było ze mną i Cooperem. To jej się wyplakiwałam zeszłego lata po pamiętnym późnowieczornym spacerze po plaży, gdy wyjawiałam mu, co czuję, a on zbył to śmiechem.

Przecisnęłam się obok niej i uciekłam do dużego pokoju, gdzie na rozkładanym fotelu drzemał dziadek. Usiadłam na kanapie, zakładając, że skoro dziadek śpi, mama nie będzie wciągać mnie w rozmowę. Przeliczyłam się. Usiadła obok mnie.

Dziadek chrapnął tak, że go to obudziło.

– Ja nie spałem – zastrzegł się.

– Nic się nie stało, dziadku. W twoim wieku nic się na to nie poradzi.

– To powód, żebyś karała za mnie swoją córkę? – zapytał.

Mama się roześmiała.

– Rozmawiamy o panu Wallasie.

– Brak głębi, hę? – zauważył dziadek.

– Powiedziałaś mu? – Podniosłam rękę w geście rozpaczki.

– Miałem nie wiedzieć? – spytał dziadek, oburzony. – Od kiedy to nie wolno mi wiedzieć?

– Odkąd jestem bez serca – stwierdziłam.

Mama poklepała mnie po ramieniu.

– Masz serce, kruszynko. Pan Wallace odnosił to do twoich obrazów.

– A więc się z nim zgadzasz?

– Niczego takiego nie powiedziałam. Wiesz, że oboje z twoim ojcem uwielbiamy to, co robisz.

– Zaczekaj, to i tacie powiedziałaś? Nie musi się teraz tym zamartwiać.

– Lubi być na bieżąco.

Westchnęłam.

– Muszę zacząć wcześniej wstawać.

Mama gestem wskazała obrazy zajmujące ściany pokoju. Sprawiały wrażenie okien – choć nie wpuszczały słońca, dzięki nim to pomieszczenie wydawało się bezkresne. Na każdym widniał inny skrawek otaczającego nas świata. Malowałam miejsca tak rojne, jak Times Square oraz Strip w Las Vegas, ale i tchnące spokojem, jak choćby wiejskie rezydencje we Francji i zielone urwiska Irlandii. Nie żebym była kiedyś w którymkolwiek z tych

miejsc, ale znałam je z mnóstwa zdjęć. Malowałam jeden taki obraz po drugim, odkąd się tu sprowadziliśmy, licząc na to, że zainspirują mamę do większego otwarcia się na świat, ale nie byłam już pewna, czy cokolwiek pomagały. Może wręcz wywoływały w niej poczucie, że nigdzie nie musi się ruszać, skoro ma w swoim salonie cały świat.

– Sama zobacz, jaki masz talent – powiedziała mama.

Sceny na obrazach wyglądały prawie jak żywe. Czy nie o to „prawie” chodziło panu Wallace’owi? Nie niosły niczego wyjątkowego. Nie brały się ze mnie. Były kopiowaniem natury. Co czułam, patrząc na nie? Jedyne to, że miło byłoby te miejsca odwiedzić. Nie odczuwałam dotyku wiatru na twarzy, nie czułam smaku powietrza. Czy nie tak powinno się dziać w kontakcie z naprawdę dobrym malarstwem?

Może więc pan Wallace miał rację. Możliwe było też, że mogłabym coś z tym zrobić.

– Brak mi doświadczenia.

– Przecież malujesz, odkąd pamiętam – zadziwiła się mama.

– Miałam na myśli innego typu doświadczenia. Bo jakie pomogą mi odkryć we mnie głębie, odnaleźć w sobie serce? Przyszło mi do głowy, że powinnam czerpać inspirację z życia, nie z obrazów. I nie tylko inspirację, ale też emocje.

– Według mnie twojemu sercu nic nie brakuje – oznajmiła mama.

Przewróciłam oczami.

– Mówisz tak, bo jesteś moją mamą. Ja mówię poważnie. Muszę coś zrobić. Wygląda na to, że niemało. Tylko co?

– Jakie cechy chciałabyś w sobie rozwinąć? – zapytał dziadek.

Zadumałam się nad tym, postukując palcem w poręcz kanapy. Moje spojrzenie powędrowało ku dziadkowi, którego lubiłam jak mało kogo na tym świecie. Jakie cechy lubiłam w nim najbardziej?

– Odwagę. Podobną do twojej – zdecydowałam w końcu.

– Do mojej? – zdumiał się dziadek.

– Tak, bo ty mówisz, co czujesz, niezależnie od tego, co myśli twoje otoczenie. Wiesz, jak bronić swojego zdania. Jak się tego nauczyłeś?

– W koszarach, dzięki wrednemu sierżantowi od musztry.

– Czyli powinnam wstąpić do wojska? Pójść w ślady twoje oraz taty?

Kiwnął głową.

– Pewnie. Po ukończeniu osiemnastu lat powinno się tak zrobić. To zmieniło mnie w mężczyznę.

- Chcesz, bym wstąpiła do wojska i stała się mężczyzną?
- Aż jęknął.
- Przestań udawać, że bierzesz wszystko tak dosłownie.
- Do żadnego wojska nie pójdziesz, Abby – oznajmiła mama. – Dziadek mówi, że odwagi nauczył się, stawiając się komuś, choć było ciężko.
- W porządku. Nie mam pojęcia, jak to się robi.
- Dojdiesz do tego – powiedział dziadek.
- Co jeszcze? – spytała mama. – Jakie inne cechy podziwiasz?
- Podoba mi się, mammo, że ty o wszystkim coś wiesz.
- Zaśmiała się.
- Dałabym głowę, że tego nie znosisz.
- No, fanką opowieści o pustelnikach brunatnych akurat nie jestem.
- Chce powiedzieć, że nie przepada za twoimi paranooidalnymi lekturami
- wtrącił dziadek.
- Machnęłam ręką w jego stronę.
- Nie to powiedziałam.
- Mama poklepała mnie po nodze.
- Jakkolwiek by było, lektura to dobra sprawa. Powiedziałabym, że książki mogą dać ci nową perspektywę. Wiem, że czytasz, może zasugerowałabym więc sięgnięcie po coś spoza twojej strefy komfortu? Na przykład z klasyki.
- Chwileczkę. – Poderwałam się. – Pójdę po kartkę. Muszę to spisać. – Poszłam do kuchni i z szuflady ze szpargałami wyłowiłam długopis, a ze stojącej na blacie drukarki zgarnęłam kartkę papieru. Ze stolika na kawę wzięłam jakieś kolorowe pismo i ponownie usiadłam, podkładając je pod kartkę. U góry strony napisałam LISTA SERCA i dwukrotnie to podkreśliłam. – Okej, a więc postawić się komuś i przeczytać coś naprawdę starego.
- Mama przewróciła oczami, ale nie zaprotestowała.
- Jakie inne cechy są dla ciebie ważne?
- Tata zawsze trafia w jakieś nowe miejsce i stale robi coś innego. Sądzę, że właśnie to sprawiło, iż jest tym, kim jest. Osobą elastyczną i śmiałą.
- A więc spróbować czegoś nowego? – podsumował dziadek.
- Nie miał na myśli narkotyków – doprecyzowała mama.
- Przecież wiem.
- Niech to nie będzie tylko jedna nowa rzecz. Powiedzmy pięć. Spróbuj pięciu rzeczy, których nigdy jeszcze nie robiłaś – powiedział dziadek.

– Pięciu? Za kogo ty mnie uważasz? Za totalnego świeżaka? Pięć to dużo. Naprawdę znalazłoby się pięć rzeczy, których nie próbowałam?

Mama znów przewróciła oczami.

– Proszę cię. Setki rzeczy nie próbowałam.

– Okej, zgoda. Masz rację. – Zapisałam to. Moja lista liczyła trzy punkty. Za mało. Jeśli miałabym skrajnie zmienić sposób widzenia świata, w nadziei, że wpłynie to na sposób malowania, potrzebowałam większej liczby doświadczeń. Pomyślałam o moich przyjaciółkach i tym, co w nich podziwiałam. – Rachel do każdego odnosi się serdecznie. Sądzę, że wszyscy ją lubią. Jakie doświadczenie mogłoby mi zagwarantować tę cechę?

– Może poznanie historii kogoś nieznanego? – zasugerowała mama.

– Co masz na myśli? Tak podejść do przypadkowej osoby i zapytać, co tam u niej?

– Nie, na tyle zainteresować się czymś, co widzisz, że ktoś robi, żeby zapragnąć dowiedzieć się więcej o tej osobie. Żeby pozwolić temu, co usłyszysz, zmienić cię w jakiś sposób.

– Czyli poznać historię. – Uzupełniłam swoją listę. – Co jeszcze? – Długopis znieruchomiał, gotowa byłam chłonąć ich mądrość, mającą z całą pewnością przeistoczyć mnie w najlepszą malarkę świata jeszcze przed ostatecznym terminem rozpatrzenia zgłoszeń na wystawę.

– Ty nam powiedz – rzekł dziadek.

– Mój przyjaciel Justin przebywa teraz w Ameryce Południowej jako wolontariusz. Założę się, że to doświadczenie da mu więcej głębi, niż mogłabym sobie wymarzyć.

– Żeby się zająć wolontariatem, nie trzeba jechać do Ameryki Południowej – mruknął dziadek. – Na miejscu też jest mnóstwo okazji.

– Na przykład?

– Jestem przekonana, że coś znajdziesz – stwierdziła mama.

Dodałam do swojej listy „wolontariat”, dopisując przy nim imię „Justin”. Potem do innych pozycji dodałam imiona tych osób, które mnie zainspirowały. Miałam na niej dziadka, mamę, tatę, Rachel, Justina...

– Cooper – powiedziałam na głos.

– Co Cooper?

– Nie mam doświadczenia, do którego on mógłby być inspiracją.

– Co w Cooperze najbardziej ci się podoba? – zapytała mama.

Na moment zamknęłam oczy. Czy było w nim coś, co mi się nie podobało? Przez głowę przemknęły mi wszystkie chwile śmiechu i nasze

wspólne przeżycia. Ledwie się powstrzymałam przed stwierdzeniem „wszystko”.

– On jest nieustraszony. Niczego się nie boi. Może powinnam przewyciężyć jakieś swoje lęki.

– Jak? – zapytał dziadek.

– Mierząc się z jakimś.

– Niezbyt mi się to podoba – zauważyła mama.

– Nic niebezpiecznego.

– To jest dobre – uznał dziadek, więc zapisałam. – A może rzucenie złego nawyku – powiedział. – To zawsze kształtuje charakter.

– Dziadku, ja ani nie piję, ani nie palę.

– To jedyne złe nawyki na tym świecie? A ten twój okropny sarkazm? Przydałoby się go zdusić w zarodku.

– Nikt już nie mówi „zdusić w zarodku”. A z sarkazmem skończę, jak ty skończysz.

Zagryzł wargę.

– Możesz wybrać coś innego.

– Tak właśnie sobie pomyślałam. – Wpisałam na swoją listę „rzucić zły nawyk”.

– Skoro chodzi ci o kształtowanie charakteru, powinnaś dopisać do swojej listy zakochanie się – stwierdziła mama.

Kiedy to dodawałam, dziadek zapytał:

– A nie ma tego już za sobą?

Zamurowało mnie.

– Wygadałaś mu?

Mama spojrzała na dziadka, mrużąc oczy, ja swoimi przewróciłam.

– Czyli to jedno mogę odfajkować.

– Zakochanie się w kimś, kto to odwzajemni – doprecyzowała.

– Auć. To było wredne.

Poklepała mnie po nodze.

– To cię zmieni.

– Okej. Czyli dodam jeszcze do listy „mieć złamane serce”, bo już mogę to odfajkować.

– Szukasz teraz rzeczy, które już możesz wykreślić? – zdziwiła się mama.

– Nie. – Ale i tak to zapisałam, starannie stawiając obok tego ptaszka i uśmiezek.

Mama zaśmiała się ochryple.

- Może jeszcze... zobaczyć, jak rodzi się życie.
 - Hm... robi się dziwnie. Chcesz, żebym polatała po szpitalach? A tak w ogóle to fuj.
 - To zdanie można interpretować na różne sposoby, a ja zdecydowanie nie miałam na myśli uganiania się za kobietami w ciąży.
 - Okej, zapiszę, choć pojęcia nie mam, jak można to interpretować na inne sposoby niż ten oczywisty.
 - A może – dziadek zrobił dramatyczną pauzę – zobaczyć, jak życie żegna się z tym światem.
 - I tu następuje koniec mojej listy. Skoro zaczynacie rozmawiać o śmierci, to ja spadam.
 - To cię zmieni, dziecko.
 - Czegoś takiego wolałabym nie oglądać. Nawet jeśli miałyby mnie to pogłębić.
 - To zrozumiałe.
- Miałam zresztą wrażenie, że tę pozycję też mogłabym odfajkować. Chociaż nie widziałam, jak umierała babcia, czułam, że objawy bólu serca, który spowodowała jej śmierć, widywałam aż za często. Zapisałam i ten punkt, ale jednak nie odfajkowałam. Może i to dawało się interpretować na więcej niż jeden sposób. Miałam nadzieję, że ta lista poskutkuje. Bo jeśli nie, to może naprawdę nie nadaję się na malarkę. A jeśli to się okaże prawdą, to na kogo się nadaję?

Rozdział 7

Przeczytałam, raz i drugi, listę zrobioną poprzedniego dnia. Miałam nadzieję, że połączenie wymienionych na niej najlepszych cech osób ważnych w moim życiu przemieni mnie, na podobieństwo potwora Frankensteina, w jakąś wersję ich samych. Taką niestraszną. Na liście widniało jedenaście punktów. Praktycznie dziesięć, jeśli nie liczyć tego, które już odhaczyłam. Jak uzyskać głębię w dziesięciu krokach... co najwyżej. Liczyłam na to, że wystarczy mniej.

Możliwe, że organizatorzy tych zimowych warsztatów w instytucie sztuki wymagali historii sprzedaży właśnie dlatego, że wiedzieli, jak trudno przebić się do galerii przez tych, którzy ich strzegli. To znacząco zawężyło listę zgłoszeń. Z pojemniczka na biurku wyłowiłam pinezkę i znalazłam na ścianach odrobinę wolnej przestrzeni, pomiędzy cytatem o miłości a obrazem przedstawiającym dmuchawiec, z którego uleciały z wiatrem już wszystkie nasiona poza jednym. Od lat wieszałam na ścianie wszystko, co mogłoby stać się dla mnie inspiracją – obrazki, cytaty, wiersze, widoczki. Muzy mojego malarstwa. Wszystkie wypatrzyłam, kartkując kolorowe czasopisma lub przeglądając internet na telefonie – jedne trafiły do albumu, inne na ścianę. Trochę się pośmiałam, obracając się teraz, by to wszystko ogarnąć wzrokiem. Uświadomiłam sobie, że mam tutaj wyłącznie to, co kiedyś mnie poruszyło. Właśnie dlatego zostało tu poprzypinane. Co za ironia, że moje obrazy nie działały tak samo na innych.

Zrobiłam komórką zdjęcie listy i miałam je już z przyzwyczajenia wysłać w grupowej wiadomości do Rachel, Justina i Coopera, kiedy sobie przypominałam, że do Rachel nie dotrze, a Justina całkiem pochłania działalność charytatywną. Nie miałby głowy do oglądania moich prób poszukiwania głębi. Wysłałam więc tę fotkę tylko sobie, a potem siadłam do laptopa, żeby wyrzeźbić list do taty.

Hej, Tatuś,

w załączniku znajdziesz listę działań, które tak wzbogacą moje serce, że może mnie nie poznasz po powrocie. Ale skoro zawsze wyjeżdżasz na tak długo, że zapominam, jaki jesteś, tym razem pojedziemy na tym samym

wózku. Nie bój nic. Wymyśliłam też, co mógłbyś mi tym razem przywieźć. Marzy mi się kamyk w kształcie serca. Znajdź taki, choćbyś miał przeczesać pustynię. Tylko dzięki temu się dowiem, że naprawdę mnie kochasz i myślisz o mnie codziennie. Poza tym będzie on symbolizował moje serce, które zrobi się trzy rozmiary większe. Tak samo urósł Grinch? Nie jestem pewna. Pamiętasz, kiedy co święta oglądaliśmy ten film, mawiałeś, że o mało nie nazwałeś mnie Cindy Lou Who? Nadal jestem dozgonnie wdzięczna, że tego nie zrobiłeś (choć wiem już, że wcale tak nie było).

Calusy, Twoja odpowiednio nazwana córka

Podniosłam z biurka małą fiolkę piasku, którą tata na moje życzenie przywiózł ze swojej poprzedniej służby. Zawsze dawał mi jakiś prezent. Czasami było to coś, o co prosiłam, kiedy indziej coś, co według niego miało mi o nim przypominać, na przykład malowane koraliki lub jakiś szklany drobiazg. Przechylałam buteleczkę z boku na bok, tak że piasek się przesypanywał.

Od strony drzwi dobiegło pukanie, a potem głos Coopera:

– Jesteś oglądalna?

Odstawiłam fiolkę, wcisnęłam „Wyślij” i zatrzasnęłam laptop.

– Oglądalna? Chodzi ci o to, czy wyglądam porządnie?

– Na jedno wychodzi.

– Ponieważ jedno z tych określeń odnosi się do mnie, a drugie nie, więc chyba jednak nie na jedno.

Westchnął z tak przesadną ostentacją, że słyszałam to nawet przez zamknięte drzwi.

– Abby, jesteś ubrana?

– Tak.

Otworzył drzwi i wskoczył do mojego pokoju. Padł brzuchem na łóżko, a potem przetoczył się na bok.

– Cześć.

Skupił wzrok na liście, którą przypięłam do ściany.

– A to co?

– Moje dziesięć kroków do życiowej głębi.

– Wystarczy tylko dziesięć? Może więc i ja powinienem je przejść.

– Zdecydowanie tak. To może być nasze zadanie na lato.

Zerwał się z łóżka i podszedł do mnie, żeby przyjrzeć się liście. Pięknie pachniał. Wanilią i pomarańczami. Czyli tak jak zwykle. Choć czasem

pachniał potem i płynem do płukania tkanin, a kiedy indziej pastą do zębów i mydłem w płynie albo pomadką do ust o smaku wiśni i kremem z filtrem. Albo czekoladą. Albo... dość tego, upomniałam siebie. To w niczym nie pomaga.

– Porodów oglądać nie zamierzam – stwierdził.

Racja, lista. Skupiłam się na niej.

– Powiedziałam to samo. Moja mama zapewnia jednak, że narodziny życia można interpretować na różne sposoby, czy jakoś tak.

– Mnie do głowy przychodzi tylko jeden patent na podpatrywanie, jak rodzi się życie.

– Mnie tak samo. Mniejsza o to. Nie musimy zaliczać wszystkich punktów. Przeczuwam, że głębia objawi się po pięciu.

Parsknął śmiechem.

– I dobrze, bo nie chcę też nikogo zabijać.

Uśmiechnęłam się.

– Nie wydaje mi się, żeby dziadek to właśnie sugerował.

– Patrzę na punkt szósty.

– Na pewno? – Zerknęłam na listę, żeby przypomnieć sobie szóstkę. „Zmierz się z lękiem”. Oczywiście, że wybrał właśnie ten.

– Czemu jest przy nim moje imię? – zapytał.

– Ponieważ dla pewnych rzeczy tutaj inspiracją były niektóre osoby. – Wymierzyłam w niego palec. – Ty, mój nieustraszony przyjacielu, zainspirowałeś właśnie ten. I nie musisz wybierać, czego mam się bać. Sama się tym zajmę.

– Daj spokój. Wybierzesz sobie coś łatwego.

– A ty wybrałbyś mi coś niemożliwego.

– Ze wszystkim można sobie dać radę.

Czekałam na dalszy ciąg.

– O co chodzi? – spytał.

– Dokończysz tę myśl? Ze wszystkim można dać sobie radę...

– To tylko chciałem powiedzieć. Powinno być więcej?

– Po takim wstępie zawsze jest coś więcej. Ze wszystkim można sobie dać radę dzięki ciężkiej pracy albo dzięki uporowi, albo przez to, że nigdy się nie poddamy, czy też za sprawą Boga.

– Hm. Okej... ze wszystkim można dać sobie radę, jeśli będziesz ze mną.

Przewróciłam oczami.

– Moje opcje bardziej mi się podobały.

– No, ale teraz liczy się moja, bo teraz będziesz mierzyć się z lękiem. Przy mojej pomocy.

– W co ja się wpakowałam?

Kiedy wychodziliśmy z pokoju, zaśmiał się złowieszczo.

Wyciągnął w moją stronę czerwony kask.

– Nie. W żadnym wypadku. Powiedziałam ci, że będę tylko patrzeć. To twoja bajka. – Nad jego ramieniem widziałam, jak po wydmach śmigają inne quady i kilka ruraków. Słońce prażyło piach i sprawiało, że wszystko w oddali zdawało się falować, potęgując jeszcze mdłości, które odczuwałam na samą myśl, że do nich dołączę.

– Przystanie cię dręczyć, że się boisz. To już nie będzie twój problem.

– Nie boję się. Po prostu uważam, że to głupie. I niebezpieczne.

– Jesteś przerażona. Widać to w twoich oczach. Nie próbuj udawać, że nie jest to coś, czego się boisz. A jeśli rzeczywiście nie, będziesz mogła wstawić jeden ptaszek w rubryce „spróbować czegoś nowego”.

Naburmuszona, odebrałam od niego kask.

– Niech będzie. To budzi we mnie lęk. – Odkąd się ścigał, zbyt wiele widziałam wypadków i nie chciałam, żeby spotkało mnie coś takiego.

Uśmiechnął się szeroko i ruszył w kierunku swojego quada czekającego przy przyczepie. Któryś z jego kumpli, mijając nas, bo swoją przejażdżkę widocznie już zakończył, ostrzegł:

– Uważaj tam. W nocy nieźle powiało.

– Dzięki – odparł Cooper, a kiedy tamten nie mógł już nas słyszeć, dodał:

– Jakbym sam nie wiedział.

– Nie możemy teraz jechać – oznajmiłam, przyspieszając, by go dogonić.

– Wiem, co wiatr robi z wydmami. Wystarczająco wiele razy bywałam tutaj z tobą. Wiatr oznacza trzydziestometrowe przepaście wyżłobione w piasku. Oznacza, że jak się ni stąd, ni zowąd władujemy w coś takiego, to po wjeździe na górkę polecimy na łeb na szyję.

– Nie przejmuj się tym. Będzie dobrze. Urodziłem się na tych wydmach, zapomniałaś? – rzucił przez ramię.

– A teraz na nich umrzesz, umożliwiając mi odfajkowanie ostatniej pozycji z listy.

Zatrzymał się tak nagle, że prawie na niego wpadłam, i się odwrócił. Położył kask na piasku, między stopami, potem się wyprostował i oparł przedramiona na moich barkach, patrząc mi w oczy.

– Wiem, że dasz radę. Wiem też, że będziemy bezpieczni. Ale jeśli nie chcesz, nie musisz.

I to wystarczyło. Wymiękłam. Czyżby wiedział, jak na mnie działało to, że stał tak blisko, a jeszcze te jego oczy i ten głos? Nawet jeśli nie, to ja znałam swoją słabość, słyszałam w głowie głos apelujący: spójrz na niego; chce, żebyś to zrobiła, może potem się w tobie zabuja.

Niestety, świadomość własnych słabości i oparcie się im, to dwie kompletnie różne sprawy. Grr. Myślałam, że bardziej się na niego uodporniałam.

Kiwnęłam głową.

– Spróbuję.

– Tak? – upewnił się, znów z olśniewającym uśmiechem.

Chwyciłam go za przód koszulki.

– Tak. Ale potem stawiasz koktajl mleczny.

– O ile nie puścisz pawia – stwierdził, uwalniając się z mojego uchwytu, podnosząc kask i podchodząc do quada.

– Czekaj, co takiego?

Odebrał ode mnie kask, który wciąż trzymałam w rękach, i wsadził mi go na głowę.

– Au. – Przez tę jedyną osłonę chroniącą moją czaszkę przed rozłupaniem głos wydał mi się stłumiony.

Podniósł mi szybkę.

– Słucham?

– Nic, nic. Miejmy to już za sobą. – Już teraz ścisnęło mnie w żołądku i uświadomiłam sobie, że on może mieć rację. Możliwe, że nie będę miała potem ochoty na koktajl, bo raczej na pewno puszcze pawia.

Wskoczył na quada i zapalił silnik. Potem się odwrócił i poklepał miejsce za sobą. Opuściłam szybkę i wlałam na nie. Chwycił mnie za rękę i przyciągnął tak, że go obejmowałam.

– Mocno się trzymaj, okej?

Skinęłam głową. Do tego nie musiał mnie namawiać. Potem sam też włożył kask i ruszyliśmy.

Szkoda, że nie mogłam jechać sama. Gdyby nauczył mnie prowadzenia quadów, lepiej bym na tym wyszła. Ruszyłabym powoli, na spokojnie, a życie wydałoby mi się piękniejsze. Ale nie ja tu rządziłam. Siedziałam za Cooperem, kolesiem często ścigającym się na wydmach. Gościem, który się na nich urodził. Do tego takim, który nie szedł na łatwiznę. Żółc podeszła mi

do gardła. Krajobraz przed nami mógł przerazić. Piasek podziurawiły leje wyżłobione w skądinąd gładkiej powierzchni. Niektóre były płytkie i niegroźne. Cooper jednak lubił takie, gdzie się gnało dziesięć metrów w dół. Wydobyć się z nich wymagało impetu, więc przejeżdżał je z taką prędkością, że ścisnął go jeszcze mocniej. Może nawet cieszyłby mnie ten układ, gdybym nie była tak przerażona.

– Nienawidzę cię. Nienawidzę. Nienawidzę – oświadczyłam, kiedy zwiększał obroty silnika, byśmy jechali jeszcze szybciej. Nie mógł mnie słyszeć, ale echo tych słów, odbijające się wewnątrz kasku, podniosło mnie na duchu.

Pocieszające było to, że nieczęsto doznawałam tego rodzaju uczuć. Nie przypominałam sobie, kiedy ostatnio czułam tak paniczny lęk. Albo taki ogrom nienawiści wobec Coopera. Mogło mi więc to ułatwić przedstawienie emocji na płótnie.

Cooper wyhamował na szczycie góry. Obie prawe opony znalazły się na samym skraju piaskowej skarpy. Wystarczyłoby lekko dodać gazu i polecilibyśmy ze dwadzieścia pięć metrów w dół. Gdyby nie moja obecność, prawdopodobnie zjechałby tam, cały szczęśliwy, mając nadzieję, że nie wywinie kozła.

Odwrócił się do mnie.

– Masz już z tego frajdę? – wrzasnął.

Pokręciłam zamasyście głową, nie otwierając ust ze strachu przed wymiotami.

– Serio? A byłem pewien, że jak tylko spróbujesz, zaraz ci się to spodoba.

Ponownie pokręciłam głową.

– Okej, to chyba się zbieramy.

Przytaknęłam.

I już wracał, równie szybko jak przedtem. Gdy podjechaliśmy pod jego przyczepę, zwlokłam się z quada i klapnęłam na glebę, tak miękkie miałam nogi.

Zdjął kask i siadł na piasku, obok mnie.

– Czyli... rzeczywiście cykor z ciebie. Przy Amelii nazwałem cię tak żartem. Ale teraz już mam pewność.

Sypnęłam w niego piaskiem, potem trzęsącymi się rękoma ściągnęłam kask.

– Może bardziej by mi się spodobało, gdybym to ja prowadziła.

– Chcesz poprowadzić? – Zamachał mi przed nosem kluczykami.

Podniosłam ręce, poddając się.

– Nie.

– To jak sądzisz? – Wskazał połać piachu, na której wryliśmy swój ślad.

– Ta twoja lista coś na tym zyska?

Przypomniałam sobie lęk, który ścisnął mnie w piersi i wpijał się w moje wnętrze tak, jak nigdy przedtem. Teraz nie było po nim śladu. Zmierzyłam się z tym uczuciem i je przewyciężyłam. Rozpierała mnie duma.

– Tak... Możliwe.

Obejrzałam się na niego. W jego oczach błysnęła drwina. Powinien odczuć to samo, czego ja właśnie doświadczyłam – wtedy ten kpiarski uśmieszek raz dwa zniknąłby mu z twarzy. Dziadkowi i mamie powiedziałam, że Cooper jest nieustraszony. Z pozoru na to wyglądało. Ale prawdopodobnie się myliłam. Każdy się czegoś obawia.

– Twoja kolej. Czego ty się boisz?

Podniósł kask.

– Abby, dla mnie nic nie jest straszne.

– Nie, serio. Mówiłeś, że chciałbyś ze mną zaliczyć tę listę. Z jakim lękiem zamierzasz się zmierzyć?

Podrzucił kluczyki od quada i zaraz je złapał.

– Hm. Naprawdę nic mi nie przychodzi do głowy. Pomyślę nad tym.

Oddałam mu kask.

– Ja również.

Rozdział 8

Nogi mnie bolą – stwierdziłam. – Dlaczego mnie bolą nogi? Na quadzie spędziliśmy tylko pół godziny.

Trzymałam w ręce koktajl mleczny, który Cooper kupił mi w nagrodę, gdy szliśmy Main Street w stronę jego samochodu.

– Tak ściskałaś udami siedzenie, jakby od tego zależało twoje życie. Muszą boleć.

– Bo zależało. – Trzykrotnie walnęłam się zaciśniętą w pięść dłonią w prawe udo. – Auć. Nieźle zabolowało.

– To przestań tak robić. I przestań też tak chodzić.

– To znaczy jak?

– Jakbyś godzinami jeździła konno.

– Właśnie o tym mówię. Nic na to nie poradzę. – Znowu rąbnęłam się w udo. Wyprzedził mnie, przykucnął i podstawił plecy.

– Wskakuj.

– Chętnie. Może jak poniesiesz mnie sto metrów, ciebie też rozbolą nogi.

– Wskoczyłam mu na plecy i oparłam brodę na jego ramieniu. Na ból nóg niespecjalnie to pomogło, na uczucia, które w sobie dławiałam, też nie.

Wzdłuż Main Street ciągnęły się głównie sklepy dla turystów – z latawcami, bajerami na plażę, sprzętem surfingowym – ale Cooper przyglądał się każdej mijanej witrynie, jakby chciał kupić coś z tych rzeczy. Mnie w oko wpadło wiszące na słupie ogłoszenie, więc powiedziałam:

– Zaczekaj. Stop.

– A to czemu?

– Tam. – Wskazałam to ogłoszenie. – Przeczytaj.

Podszedł bliżej. Przyklejone było do srebrnego słupa lampy ulicznej. Cooper przeczytał na głos jego treść:

– Zapraszamy na przesłuchania do letniego musicalu *Muzyk* przygotowywanego przez nasz lokalny teatr. – Podsunął mnie sobie nieco wyżej i ruszył dalej. – Nic z tego. Odpada.

Pociągnęłam go za ramiona, jakbym naprawdę jechała na koniu, który miał na mój rozkaz stanąć. Cooper tego nie zrobił, więc uwolniłam się z jego rąk i zeskoczyłam mu z pleców.

– Cooper, te przesłuchania są za trzy dni. – Wskazałam datę na ogłoszeniu. – Właśnie tego potrzebuję, by zdobyć kolejne doświadczenie. To zrządzenie losu. Żadne z nas jeszcze nie ubiegało się o rolę w przedstawieniu. Idealnie się składa.

– Zrządzenie losu?

– Tak. Losu. Przeznaczenie. Przypadkiem natrafiamy na ogłoszenie. Przypadkiem pracujemy nad listą. Dużo tych przypadków. – Sfotografowałam tę informację komórką. Odchylił głowę i jęknął.

– Brakuje mi Justina. On by mnie nie wrabiał w takie bzdety.

– Właśnie. Niech chłopak wie, co mu przepada. – Wysłałam Justinowi zrobioną właśnie fotkę z dopiskiem: „Cooper ubłagał mnie, żebym poszła z nim na przesłuchanie”.

– Zołza z ciebie – stwierdził Cooper.

– Boisz się? – zapytałam. – To ten twój lęk?

– Nie. Po prostu nie widzę w tym sensu. Nie załapiemy się. Oboje śpiewamy okropnie.

– Hej. Mów za siebie.

– Uważasz, że nam się uda?

– Nie. Ale nie o to chodzi. Liczy się nowe doświadczenie. Taki jest cel, Coop. – Wzięłam go pod łokieć. – Ale będzie zabawa.

– Inaczej nie da się tego nazwać.

Moja komórka brzękiem zaanonsowała SMS. Justin odpisał: „No... sam nie wiem”.

– Widzisz, też myśli, że to szaleństwo.

– Bądź u mnie w poniedziałek o dziesiątej rano. Nie jutro i nie pojutrze, ale jeszcze dzień później.

– Wiem, kiedy będzie poniedziałek.

– Tylko się upewniam. Jest lato. Wiem, jak dni potrafią się zlewać.

– Co z jutrem?

– Jutro nie będzie przesłuchań.

– Wiem przecież. Ale jutro pewnie i tak się zobaczymy.

– Rano pracuję. Później?

– Jasne. Pierwszy dzień w robocie po tym, jak pan Wallace nazwał cię androidem?

– Taa.

– Powodzenia.

Po pracy padłam na krzesło przy biurku. Dziwny był ten dzień. Pan Wallace posadził mnie w kasie biletowej. Nigdy jeszcze nie pracowałam przy biletach. I chociaż sprzątanie oraz informowanie zwiedzających wydawało się gorszą fuchą, przynajmniej przebywałam wtedy pośród inspirującej mnie sztuki. Dzisiaj przez cztery godziny oglądałam tylko hol i ulicę. Nijak mnie to nie inspirowało. Czułam za to, że pan Wallace woli się trzymać z dala ode mnie.

Zalogowałam się do komputera i sprawdziłam pocztę. Różnica czasu pomiędzy tatą a mną powodowała, że zwykle pisał, gdy ja spałam. Jak mogłam się spodziewać, czekał na mnie e-mail.

*Do mojej Córki, której imię nadała matka, nie pytając mnie o zdanie,
Twoje serce nie musi stać się trzy rozmiary większe. Może o jeden, ale zdecydowanie nie o trzy. Jeśli mogę coś zasugerować, dla należytego rozrostu serca wyrzuć ze swojej listy następujące pozycje: zmierz się z lękiem (bo brzmi groźnie i tego nie popieram), zakochaj się (nie wolno Ci tego zrobić przed trzydziestką), miej złamane serce (bo chyba się to kłóci z planowanym rozrostem), poznaj historię nieznanego (z obcymi się nie rozmawia), zobacz, jak życie żegna się z tym światem (ja naoglądałem się tego tyle, że starczy za całą rodzinę). To powinno wystarczyć. Na liście zostało jeszcze sześć pozycji. A więc do dzieła. Co do niemożliwego zadania, jakie mi wyznaczyłaś, sprawdzimy, czy istnieją jeszcze kamyki o kształcie serca. Dzięki za dbałość, abym był na bieżąco. Jak tam mama?*

Całusy od faceta, którego nie poznasz, gdy wróci do domu.

Nikt nie pisał takich e-maili jak tata. A biorąc pod uwagę, jak często zdarzało nam się ze sobą korespondować, była to ogromna zaleta. Napisałam mu odpowiedź.

*Do najbardziej nadopiekuńczego Taty świata,
dzięki za Twój wkład, ale nie musisz głosować nad pozycjami z listy. Zwłaszcza że jedną z zawetowanych przez Ciebie rzeczy już zaliczyłam. Wczoraj zmierzyłam się z lękiem. Pierwszy raz przejechałam się quadem. Nie było to coś, do czego prędko wrócę, ale niewątpliwie jakieś przeżycie. I mogę Ci zagwarantować, że kamyki w kształcie serca istnieją. Przekonamy się, czy zdołasz się poświęcić na tyle, by jakiś znaleźć. Z mamą jest okej. Nie tak świetnie jak wtedy, kiedy jesteś tutaj, ale powodów do smutku nie ma. Uważaj na siebie.*

Calusy od (tu wstaw imię, które Ty byś wybrał).

Kliknęłam „Wyślij”, potem spojrzałam na wiszącą na ścianie listę i wyjęłam z szuflady biurka długopis. Przy „Zmierz się z lękiem” postawiłam mały haczyk. Czy mogłabym też uznać przejażdżkę quadem za spróbowanie czegoś nowego? Nie, każde doświadczenie powinno być odfajkowane osobno. Żadnego kombinowania. Naprawdę zależało mi na tym, żeby to wszystko poskutkowało. Żeby nowe doznania dostarczyły mi nowych obrazów i emocji, na których skorzysta moja sztuka. Zwykle malowałam to, co znałam, co widziałam na własne oczy lub na zdjęciach. Nie odwoływałam się do emocji ani nie posuwałam się do tego, by specjalnie poczuć, zobaczyć czy wypróbować coś nieznanego.

Przyjrzałam się reszcie listy. Jeśli nie liczyć czekających mnie za kilka dni przesłuchań, nie bardzo wiedziałam, co zrobię z resztą punktów.

Chociaż nie, jedna sprawa była prosta. Mogłam ją zacząć natychmiast i poświęcić jej co najmniej parę dni – przeczytać coś z klasyki.

– Mamo – odezwałam się, wchodząc do kuchni. – Wybieram się do biblioteki.

Podniosła wzrok znad czytanej książki, zatytułowanej *Prawdziwa zbrodnia*. Nie za dobra lektura dla mamy, która już i tak za bardzo się wszystkim przejmuje.

– Jakaś podpowiedź, co z klasyki powinnam wybrać? – zapytałam.

Z pokoju dobiegł głos dziadka:

– Ja przeczytałam mnóstwo klasyki. Mam coś podpowiedzieć?

– Nie z tobą rozmawiam, staruszk. Oglądaj swojego *Matlocka*.

– Nie oglądam *Matlocka* – mruknął zirytowany.

Mama spojrzała na mnie smutno, dając do zrozumienia, że przekomarzając się z jej tatą, posunęłam się o krok za daleko.

– Przepraszam, że nazwałam cię staruszkiem – wrzasnęłam.

– A o co chodziło z tym *Matlockiem*?

– Że to nie wstyd oglądać serial o leciwym adwokacie, któremu zawsze udaje się wyjść na swoje. Człowiek może znaleźć w nim odniesienia do znanych sobie osób. – Dziadek przed emeryturą pracował właśnie jako adwokat i nie znosił porównywania z serialowymi prawnikami.

Powiedział coś, czego nie zrozumiałam, prawdopodobnie cicho zaklął.

– Tego, co uważam za klasykę, jest zbyt wiele, żebym ograniczała ci wybór. – Machnęła ręką w stronę dużego pokoju. – A tam właśnie spaliłaś

sobie mosty. Wygląda na to, że jesteś zdana na siebie.

– Mamy kartę biblioteczną? Będzie potrzebna. Musisz wypełnić jakiś formularz, skoro jestem nieletnia, i tak dalej? Bo mnie pewnie nie powierzyliby swoich książek. – Moje usiłowania, aby oderwać ją od książki i wyciągnąć z domu, były aż nadto widoczne, ale mniejsza z tym.

Mama momentalnie się zasępiła, widać było po niej, że usilnie szuka rozwiązania, które oszczędziłoby jej wyprawy ze mną do biblioteki.

– Chyba nie będę tam potrzebna. Dzieciom wyrabia się przecież karty biblioteczne. Ja nie muszę jechać.

– Mamo, w bibliotece prawie nie będzie ludzi.

– Tego nie możesz być pewna.

– I to tylko pięć minut stąd – dodałam.

– Samochodem.

– Tak, samochodem.

– Wolę spacerować.

– Wiem. Ale ten byłby długi. – Wiedziałam, że na taki by się nie zdobyła.

– Już dobrze, mamo. Po prostu dawno się do niczego nie przemogłaś. – Zazwyczaj nie mówię jej takich rzeczy. Zwykle wcześniej odpuszczam. Nie chcę jej martwić ani bardziej wpędzać w życiowe niepokoje. Ale może to kruczowe trzymanie się Coopera na quadzie dzień wcześniej uświadomiło mi, że przełamanie się i podjęcie wyzwania daje poczucie cudownej swobody. Z perspektywy powiedzieć można, że nawet spełnienia.

Westchnęła.

– Zadzwoń do biblioteki i dowiem się, czy wystawienie ci karty będzie wymagać mojej obecności.

„Cholerne telefony”, pomyślałam. Łatwość korzystania z nich zawsze krzyżuje mi najmisterniejsze plany.

Wyjęłam swoją łatwą w użyciu komórkę i napisałam do Coopera: „Jadę do biblioteki po coś z klasyki. Wybierzesz się?”.

„Nie mogę. Rodzinny grill u taty w pracy. Za jakąś godzinę zadzwoń do mnie w pilnej sprawie”.

„W jakiej?”

„Jak przyjaciółka do przyjaciela. Nie wiem. Coś wymyślisz”.

„Twoi rodzice na pewno jeszcze bardziej mnie pokochają. Nie będę pozorowała żadnych pilnych spraw. A zamierzam się wziąć do *Zbrodni i kary*. Przejrzałam listę klasyki i to mnie najbardziej zaciekało”.

„Planujesz jakąś zbrodnię?”

„To tytuł książki”.

„Ekstra. Dla mnie też weź. Musi być niesamowita”.

„Nie możemy czytać tej samej książki. Powinniśmy poznać różne i je sobie opowiedzieć. To pogłębi nas podwójnie”.

„Okej. Wybieram *Zbrodnię i karę*”.

„Drań jesteś”.

„Zgadza się. Muszę lecieć”.

„Okej. Baw się dobrze”.

Napisał jeszcze: „Zadzwoń za godzinę”.

„Nie”.

Schowałam telefon do kieszeni i podniosłam wzrok akurat, gdy mama wróciła do kuchni.

– Dobre wieści – oznajmiła. – Sama możesz wystąpić o kartę biblioteczną.

– Aha. Okej.

– Nie rób takiej rozczarowanej miny, kochanie. Jutro po kolacji przejdziemy się do parku. Co ty na to?

– Obiecujesz?

Chwilę się wahała, potem zdecydowanie kiwnęła głową.

– Tak.

– Trzymam cię za słowo.

– Ja też to słyszałem – zawołał z pokoju dziadek.

– To jakaś zmowa? – zapytała.

– Żadna zmowa, mamó. Wsparcie. Bardzo cię wspieramy.

Uśmiechnęła się i uściskała mnie, a potem wręczyła mi buteleczkę z antybakteryjnym żelem do rąk.

– A to po co?

– Wiesz, ile osób dotyka tych książek?

Zwróciłam jej ten żel.

– Powinnaś sobie o nim poczytać. Sprzyja powstawaniu superbakterii.

– Naprawdę?

Nie trzeba było tego mówić. Następne dwa dni poświęci na szukanie w internecie wszystkiego o superbakteriach. Zabrałam jej tę buteleczkę.

– Masz rację. Przyda się. – Zdjęłam z haczyka przy drzwiach kluczyki od samochodu i wyszłam, nie czekając, aż uzna, że jednak nie powinnam wychodzić.

Rozdział 9

Książek zaliczanych do klasyki było mnóstwo. Cały dział. O niektórych, choćby o *Ulissesie* czy *Miasteczku Middlemarch*, nigdy nie słyszałam. Inne, jak *Szkarłatna litera* i *Słońce też wschodzi*, były mi znane. Niemało znajdowało się na liście, którą wcześniej przeglądałam, ale nie aż tak dużo.

Odszukałam już *Zbrodnię i karę* i właśnie sięgałam po *Frankensteina*, myśląc, że jakoś mi się kojarzy z mieszanką cech będącą inspiracją dla mojej listy, gdy nagle jednocześnie ze mną sięgnął po tę książkę ktoś inny.

– Sorki – powiedziałyśmy obie. Potem parsknęłyśmy śmiechem.

Tamta dziewczyna uśmiechnęła się i gestem wskazała, żebym to ja wzięła książkę.

Momentalnie ją rozpoznałam. Miała kręcone rude włosy i jasnozielone oczy.

– Oo, jesteś tą...

– Dziewczyną z reklamy pryszczycy? – dokończyła za mnie, kiedy umilkłam.

– Tak.

Wskazała swoją nieskazitelnie czystą skórę.

– Na całe tygodnie masz spokój z pryszczami.

– Naprawdę używasz tego kremu przeciwtrądzikowego?

– Nie.

Uśmiechnęłam się.

– Chodzimy do tej samej szkoły, prawda?

– Do Pacific High? Tak.

– Tak przy okazji, jestem Abby.

– O, sorki. A ja Lacey. – Ruchem głowy wskazała książkę, po którą sięgnęłam. – Chcesz od mocnego akcentu zacząć letnią listę lektur? Przymierzasz się do wyróżnienia?

– Nie, nie staram się o wyróżnienie z literatury angielskiej. Szukam po prostu czegoś ciekawego z klasyki.

– Czemu?

– Tak dla zabawy. – Nie miałam zamiaru opowiadać jej o liście serca. – Możesz wziąć tę książkę. Znajdę sobie coś innego.

– Jakie powieści lubisz czytać? Może pomogłabym ci wybrać?
– Czytasz dużo klasyki? – zapytałam.
– Sporo się udzielałam w teatrze, więc przeczytałam prawie całego Szekspira. Poza nim to nie za bardzo. Sama nie wiem, czemu przedstawiłam ci się jako znawczyni.
– Jeśli mówi się coś z taką pewnością, to przecież musi być prawda.
– Jakoś sobie poradzę. – Wzięła z półki książkę. – Na tylnych okładkach zawsze są streszczenia. Przydają się jak mało co. – Zaczęła czytać opis z okładki trzymanej książki, naśladowując angielski akcent.
– Ten autor to Brytyjczyk? – upewniłam się.
– Po prostu zakładam, że wszyscy autorzy klasyki to Brytyjczycy. – Wzruszyła ramionami. – A co ważniejsze, zabójczo podrabiam ten ich akcent.
– Rzeczywiście.
– Łał, gadam, jakbym zadzierała nosa. Zapewniam cię, że nie jestem próżna. – Zagryzła wargę. – Nie takie deklaracje składają zwykle zarozumiałcy?
Zaśmiałam się i wyciągnęłam rękę po książkę.
– Teraz to na pewno ją wezmę.
Podała mi.
– *Opowieść o dwóch miastach*, Dickens – przeczytałam z okładki.
– Aha! – Uderzyła dłonią w książkę. – Widzisz. Obstawiałam pewniaka. W kieszeni zabręczała mi komórka.
„Raaatuuunku!” SMS od Coopera.
Obie książki (dla mnie i dla niego) wepchnęłam pod pachę i odpisałam: „Po prostu powiedz rodzicom, że chcesz się urwać z ich imprezy”.
„Nie mogę. Byliby rozczarowani. Wiesz, jakie wtedy mają miny”.
„Wstąp do woja. Słyszałam, że zmienia chłopaka w faceta”.
Lacey zdjęła z półki *Frankensteina* i pomachała mi nim.
– Miło było cię poznać. Mam nadzieję, że *Opowieść o dwóch miastach* ci się spodoba.
– Dzięki. – Wskazałam na jej książkę. – A tobie twoja.
Wyszła, a ja wystukałam numer Coopera. Odebrał.
– Halo.
– Zabrakło mi paliwa.
– Abby, jak możesz dopuszczać do czegoś takiego? Nie zwracasz uwagi na kontrolkę? To jest ten migający znaczek tuż nad kierownicą.

– Uważaj sobie, bo zaraz się rozłączę.

Roześmiał się.

– Oczywiście, że przybędę ci na ratunek, choć biorę akurat udział w absolutnie niesamowitej imprezie firmowej u mojego taty. Szkoda, że tego nie widzisz, wokaliści na żywo i w ogóle.

– Brzmi fantastycznie.

– Tato, jak nazywa się ten zespół?

Ktoś powiedział basem coś, czego nie rozumiałam.

– Kwartet Patriotyczny. Bo jest ich czterech i łążą po całej imprezie, śpiewając same patriotyczne pieśni.

– Po nazwie nigdy bym się nie domyśliła – stwierdziłam, kierując się do stanowiska bibliotekarki. Kilka osób obrzuciło mnie krzywymi spojrzeniami, chyba więc zachowywałam się zbyt głośno jak na bibliotekę.

– Rozumiem.

– A do czwartego lipca jeszcze trochę brakuje – powiedziałam, tym razem ciszej.

– Zaledwie dwa tygodnie. Wyobraź sobie, jakie wtedy będą mieli wzięcie.

– Wolałbyś przez resztę życia słuchać wyłącznie kwartetów czy wydzierających się kotów?

– Ciężki wybór. Ale chyba kwartetów. O ile nie będą śpiewać samych patriotycznych kawałków. Bo jak tak, to kotów.

– Właśnie biorę nasze książki. Przyjedziesz uratować mnie i mój pusty bak czy nie?

– Abby zabrakło paliwa – powiedział Cooper jakimś stłumionym głosem. Najwidoczniej zwracał się do swojego taty. – Mam ją na telefonie i zaraz zapytam, gdzie dokładnie jest. Jakby co, to mamy na komórkach apkę Znajdź Znajomego.

Tata musiał zapytać, co to takiego, bo Cooper odpowiedział:

– Coś w rodzaju GPS-a umożliwiającego mi namierzenie jej telefonu. Słucham? Tak, całkiem bezpieczne. Nikt obcy nie namierzy, tylko znajomi. – I znowu do mnie: – Mój tata nie wie, co to jest Znajdź Znajomego.

– Domyśliłam się.

– Już ruszam.

– Mój bohater – zadrwiłam.

– To widzimy się za trochę.

– Będę u siebie w domu. Obejdzie się bez apki.

– Kumam.

Rozłączyłam się i wręczyłam bibliotekarce swoje książki.

– Trzymać można dwa tygodnie – oznajmiła z uśmiechem.

– Dzięki.

Zeskanowała ręcznym czytnikiem kody kreskowe z okładek.

– To książki z gatunku kształtujących charakter. Dadzą ci do myślenia.

– Właśnie na to liczę.

Miałam nadzieję, że szybko ukształtują mój charakter, bo zegar tykał.

Rozdział 10

Dzień później siedzieliśmy z Cooperem w moim pokoju, czytając nasze książki.

– W pracy było dzisiaj lepiej? – Cooper leżał na podłodze. *Zbrodnię i karę* położył sobie na piersi, a ręce splótł za głową. Wyglądał w moim pokoju tak naturalnie, że można by go uznać za stały element wnętrza.

– Nie – odpowiedziałam z wyżyn mojego łóżka. – Znowu na kasie. Tinie dostało się piętro. A Tina nawet nie lubi piętra.

– Głupia Tina.

– Wiem – westchnęłam i przewróciłam stronę.

Cooper przez dłuższą chwilę milczał, a potem zapytał:

– Wolałabyś przez resztę życia czytać tylko tę książkę czy oglądać jeden i ten sam film?

– Ciężka sprawa. Uwielbiam filmy, ale nie wyobrażam sobie, żeby nie sięgać już nigdy po inne książki.

– Rozumiem.

– Ale filmów też chyba nie potrafiłabym sobie odpuścić. Jestem wzrokowcem – dodałam.

– Ja chyba też nie. – Podniósł swoją książkę. – Zamienimy się?

– Zamienimy? Jestem na rozdziale szóstym. – Lekturę zaczęliśmy poprzedniego dnia, po tym jak mnie „uratował”. I Charles Dickens naprawdę mi się spodobał. Z jego językiem początkowo ciężko się było oswoić, ale miałam wrażenie, że już zaczynam rozumieć. Sama powieść była interesująca, tchnęła życie w pewne sprawy z rewolucji francuskiej, o której uczyliśmy się na historii powszechnej.

– Streśćmy sobie to, co dotąd przeczytaliśmy, a potem się na godzinę zamienimy. To przecież podwójnie nas pogłębi.

Roześmiałam się.

– Okej. – Rzuciłam mu książkę jak frisbee. – Oo. Zapomniałam ci powiedzieć, że wczoraj w bibliotece natknęłam się na Lacey Barnes.

– Na dziewczynę od kremu na pryszcze?

– Tak.

– Nigdy jeszcze z nią nie gadałem. Naprawdę używa tego kremu na

pryszczę? Pomaga? – Przejechał dłonią po policzku, na którym niby miał wypryski. Ale ja nie widziałam żadnego. Cooper miał gładką skórę, tylko czasem, jak u mnie, coś mu wyskakiwało.

- Nie używa go. Ma idealną cerę.
- Skoro tak mówisz – stwierdził. – Jaka ona jest?
- W sumie całkiem miła. I wcale nie próżna.
- A to co miało znaczyć?
- Nie wiesz, co to jest próżność?
- Wiem, co to próżność, ale czemu teraz z tym wyskoczyłaś?
- Nieważne. Taki żart dla wtajemniczonych.
- Macie już z Lacey Barnes swoje żarty dla wtajemniczonych?

Niemal powiedziałam, że sobie zakpiłam, ale uświadomiłam sobie prawdę.

- Tak, mamy.
- Czyli znów ociekasz urokiem, Abby.

Cisnęłam w niego poduszką, na co się roześmiał, a potem rzucił książką. Wylądowała koło mnie na łóżku. Podniósł powieść, którą mu rzuciłam, i znów się wyciągnął.

– Chwileczkę. Streszczenie. – Opowiedzieliśmy sobie to, co do tej pory przeczytaliśmy, a potem zaczęliśmy czytać dalszy ciąg w obecnie trzymanyh książkach. Nie wiem, ile czasu minęło do chwili, gdy we framugę otwartych drzwi zapukała mama.

- Czy klasyka całkiem was pochłonęła, czy chcielibyście zjeść kolację?

Cooper odłożył książkę na bok i momentalnie wstał.

– Pani Turner, jeśli częstuje mnie pani jedzeniem, zjem. Tyle przynajmniej mogę zrobić.

Rozpromieniła się.

Poszłam w ślady Coopera i ruszyliśmy za mamą na dół.

- A przy okazji, rozumiem, czemu chciałeś się zamienić książkami.

Zbrodnia i kara jest dołująca.

- Wiem. Zanosilo się na złe sny. Nie jestem taki silny jak ty – stwierdził.
- Nie nazwałś mnie któregoś dnia cykorem?
- W pewnych sprawach tak. Ale nie w innych.
- Wow. Dzięki.

Zaśmiał się.

- Nie ma sprawy.

Mama przyrządziła kurczaka z ryżem, a przy stole, na którym czekały

cztery talerze, siedział już dziadek.

– Cooper – powiedział. – Znowu.

Cooper uśmiechnął się.

– Ma mnie pan dosyć, dziadku Dave?

– Nieustająco – odparł dziadek.

Mama trzepnęła dłonią powietrze koło niego.

– On żartował.

– Wcale nie – szepnęłam w tej samej chwili, gdy to samo mruknął dziadek.

Cooper tylko się zaśmiał.

– To niesamowite, jak bardzo jesteście jedną osobą w dwóch ciałach – stwierdził, zerkając to na dziadka, to na mnie.

– Poza tym on jest sto lat starszy.

– Jak tam lista? – zapytała mama, podnosząc półmisek i podając mi go.

– Cooper zabrał mnie na przejażdżkę quadem po wydmach. Nie jestem pewna, jak bardzo mnie to pogłębiło, ale doświadczenie było niezłe.

Już miałam opowiedzieć, jak bardzo było przerażające, ale zacisnęłam usta. Mama, nakładająca właśnie ryż, zamarła.

Zmieniłam tonację.

– Było fajnie. Cooper to zawodowiec, więc wcale się nie bałam.

Cooper się roześmiał, sprzątając mi sprzed nosa pełny talerz, by postawić go przed sobą.

– Akurat. Szkoda, że jej pani nie widziała.

Chwyciłam go pod stołem za kolano i wpiłam w nie palce.

Spojrzał na mnie z ukosa, ale zauważył minę mojej mamy.

– Świetnie się spisała – oświadczył prawie natychmiast. – Jechaliśmy powoli.

Dziadek westchnął, jakby wiedział, co wyrabialiśmy.

Mama wreszcie się otrząsnęła.

– Wspaniale, kruszynko. To zdecydowanie nowe doświadczenie. Ale następnym razem dasz mi do zatwierdzenia swoje ryzykowne plany?

– Tak. Przepraszam.

– To w zasadzie ja ją zaskoczyłem. Nie bardzo wiedziała, co będziemy robić. Przepraszam, pani Turner.

Mama uśmiechnęła się do Coopera.

– Nic się nie stało. Wiem, jaki jesteś ostrożny.

Gdyby naprawdę wiedziała, już nigdy nigdzie by mnie z nim nie puściła.

Dziadek odebrał od mamy talerz, po czym przypomniał:

– Susan, a nie obiecałaś Abby, że po kolacji wybierzecie się do parku? – W ten sposób podpuścił mamę, czego ja bym na pewno nie zrobiła po tym, jak zbagatelizowaliśmy naszą jazdę. Zerknęłam na niego krzywo, zaraz jednak uśmiechnęłam się do mamy. To przecież była prawda. Obiecała.

– Moglibyśmy wybrać się wszyscy – dokończył dziadek.

Wargi mamy zmieniły się w cienką kreskę. Dokończyła napełnianie ostatniego talerza, potem usiadła.

– Tak, obiecałam. I to dobry pomysł.

Nie bardzo miałam pojęcie, o co tu chodzi, ale obecność Coopera działała na mamę odprężająco. Możliwe, że sprawiała to jego z reguły radosna natura. A może mama wyczuwała, że skoro on niczego się nie boi, to i ona nie powinna. Jakikolwiek był powód, to dzięki jego obecności nasze wyciąganie mamy na spacer uwieńczone zostało prawie takim samym sukcesem, jak gdyby był tu tata.

Szliśmy z dziadkiem pod rękę, w ślad za mamą i Cooperem. Mówił głównie Cooper, tak jak zazwyczaj ja, kiedy szliśmy gdzieś z mamą. Tyle że ona teraz częściej podnosiła wzrok, więcej się śmiała i nie wahała się tak bardzo. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, postanowiłam go jednak później wypytać, żeby podłapać kilka chwytów.

– Jaka naprawdę była ta przejażdżka quadem? – zapytał dziadek.

– Straszna – przyznałam. – Za szybka.

– Tak właśnie sobie pomyślałem. – Poklepał mnie po ramieniu. – A pozwoliła ci odkryć w sobie nieco więcej głębi?

– Nawet podsunęła mi pomysł na jeden z obrazów.

– To świetnie. Czy to oznacza, że w przyszłym tygodniu będziesz się wraz z Cooperem ścigać na wydmach?

– W życiu.

– A jak zamierzasz mu się odwzajemnić?

– Chodzi ci o to, z jakim lękiem każę mu się zmierzyć?

– Tak.

– Jeszcze nie wiem.

Doszliśmy do parku i mama usiadła na ławce. Ja wybrałam pobliską huśtawkę, a Cooper sąsiednią. Dziadek stanął za mną i popchnął mnie w przód.

– Jesteś zaskakująco silny jak na swój wiek – stwierdziłam.

– Jestem silny jak na każdy wiek.

Wymachem nóg rozbijałam się bardziej.

– Na jakiej klasyce stanęło? – zapytał dziadek.

– Była to najlepsza i najgorsza z epok – wrzasnęłam, unosząc się najwyżej, jak mogłam.

– *Opowieść o dwóch miastach* – zauważył dziadek. – Dobry wybór. O dwóch nader różnych bytach istniejących w tym samym czasie. A jak u ciebie? – Dziadek odwrócił się do Coopera, kręcącego się na huśtawce tak, by jak najciaśniej spleść łańcuchy.

– *Zbrodnia i kara*.

– Oho. O człowieku, któremu uchodzi na sucho morderstwo... Tylko czy na pewno? Nasz wewnętrzny sędzia potrafi wymierzyć najgorszą karę.

– Dziadku, nie zdradzaj nam zakończenia!

Zaśmiał się.

– Nie zdradziłem.

Kiedy huśtawka zaczęła zwalniać, zerknęłam na mamę. Z uwagą przyglądała się otoczeniu.

– Co jest następne na liście? – zapytała, spoglądając na nas.

Cooper wyprostował nogi i zaczął gwałtownie wirować, w miarę jak rozwijały się łańcuchy.

– Kręci mi się w głowie – stwierdził, znów opierając stopy o ziemię.

– Co teraz mamy na liście, Cooper? – spytałam.

Jęknął.

– Jutro mamy przesłuchania do musicalu.

Dziadek uniósł brwi i się upewnił: „Naprawdę?”, jakby uznał ten pomysł za okropny.

– To nowe doświadczenie – mruknęłam.

W kieszeni Coopera zabrzęczało, wyciągnął więc z niej komórkę. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

Kiedy podniósł wzrok, bez słowa wskazałam jego telefon, pytając, kto to taki.

Ale on tylko pokręcił głową i znów zaczął wirować.

Kiedy wracaliśmy do domu, mama szła pod rękę z dziadkiem, przysunęłam się więc do Coopera i szepnęłam:

– Z kim pisałeś?

– Pamiętasz tę dziewczynę, którą poznałem kilka tygodni temu w kinie na plaży?

– Tę I?

Uśmiechnął się.

– Nie. Ris.

– Racja. Ris. Tak, pamiętam ją. – Tyle że miałam nadzieję, że on nie. Że szybko o niej zapomni. Najwyraźniej tak się nie stało.

– To była właśnie ona. Pisaliśmy do siebie kilka razy.

– Aha. Super.

– Sądzę, że byś ją polubiła.

Ja byłam pewna, że nie.

– Jasne. Zabierz ją na któryś z naszych wypadów, a się przekonam.

– Tak zrobię.

Kiedy doszliśmy pod mój dom, ruszył prosto do swojego samochodu.

– W pokoju jest twoja książka – przypomniałam.

– Jutro odbiorę.

Odjechał, a ja patrzyłam, jak się oddala, starając się ignorować narastający w piersi ciężar.

Rozdział 11

Tego wieczoru wyciągnęłam obraz, który namalowałam przeszło rok wcześniej. Przedstawiał Coopera na quadzie, przelatującego nad łąkami piasku. Był dobry, realistyczny, ale tylko tyle. Studiując go teraz, przypomniałam sobie strach, który mnie ogarnął, gdy znalazłam się w takim samym położeniu, i zastanowiłam się, jak zmienić to, co stworzyłam. Spróbowałam jakoś zamaskować jego portretowy charakter, dodając dramatyzmu. Więcej cieni, więcej wzbijającego się w powietrze piasku, większa ekspresja. Pracując nad szczegółami jego twarzy, nie odnosiłam się do prawdziwego wyglądu. Nie zależało mi na wierności wizerunku. Jedynie na tym, żeby oddawał prawdę.

Odsunęłam się i zerknęłam na zegar ścienny. Minęły trzy godziny. Nie czułam, że aż tyle. Dłonie miałam pokryte farbą – na palcach czarne i ciemnoniebieskie smugi. Czystym różkiem koszuli do malowania starałam kleksa, którego czułam pod okiem, a potem oceniłam to, czego dokonałam.

Zmianę było widać. Na twarzy Coopera dostrzegało się emocje, których na obrazie będącym punktem wyjścia brakowało, zarysy wydm były bardziej strome, unoszący się piach – mglisty, o wiele więcej też było cienia. Nie potrafiłam stwierdzić, czy tak było lepiej, czy tylko inaczej. Nie byłam pewna, czy już jestem lepsza. Wątpliwości zasiane we mnie przez pana Wallace'a i jego podsumowanie moich osiągnięć zagnieździły się tak mocno, że niełatwo będzie je wykorzenić. Wrzuciłam pędzle do słoika i poszłam się umyć.

– Nie do wiary, że mnie na to namówiłaś – stwierdził Cooper. Siedzieliśmy wraz z setką innych ludzi na widowni, na fotelach obitych czerwonym aksamitem. Wszyscy trzymali jakieś kartki, zapuściłam więc żurawia, próbując zobaczyć, co to takiego.

– Co oni mają? – szepnęłam. – My niczego nie mamy.

Cooper też się rozejrzył. Jakby dopiero moja wzmianka o tym uświadomiła mu, że inni coś trzymają. Był wyższy ode mnie, miał lepszy widok.

– Nuty? – powiedział, jakby nie był pewien swoich wniosków. – To mi

wygląda na jakieś nuty.

– Trzeba było przynieść na przesłuchanie własne nuty?

– Najwidoczniej – stwierdził. – Według mnie to oznacza, że powinniśmy sobie pójść. – Już się podnosił, ale chwyciłam go za ramię i ściągnęłam w dół.

– Nie wychodzimy.

Stukot obcasów, odbijający się echem po sali, zwrócił moją uwagę na scenę przed nami i na stojącą teraz na niej Lacey. Cicho gwizdnęłam ze zdziwienia.

– O co chodzi? – spytał Cooper.

– Jest tutaj Lacey Barnes. I zdaje się, że tu rządzi.

– I to cię dziwi?

– Chyba nie powinno. Jest przecież gwiazdą reklamy.

– I prawie wszystkich naszych szkolnych przedstawień.

– Chyba trzeba było częściej na nie chodzić.

Lacey odchrząknęła i przemówiła.

– Witam wszystkich. Bardzo się cieszymy, że tu jesteście. Nazywam się Lacey Barnes i w tym roku jestem asystentką reżysera *Muzyka*. Dziękuję wam wszystkim za to, że przyszliście. Niedługo zaczniemy. Naszym akompaniatorem dzisiaj będzie Mac Lawrence. – Wskazała pianino u podnóża sceny, a człowiek przy nim podniósł się i nam pomachał. Zaczęły się oklaski, do których dołączyłam.

– Ja i Jana Kehler, reżyserka, będziemy siedzieć przy tamtym długim stole. Postarajcie się pokazać. – Uśmiechnęła się, a potem rozłożyła ręce. –

Gdybym tak mogła prosić panów o wejście po tych schodach i zgromadzenie się za kurtyną, w lewej kulisie, a panie w kulisie prawej, moglibyśmy zacząć.

Wszyscy się podnieśli i stanęli w kolejce do schodów po obu stronach sceny.

– Już teraz obmyślam to, jak cię potem ukarzę – oznajmił Cooper.

– Będzie dobrze. Uwielbiasz światło reflektorów.

– Nie tego typu – stwierdził tuż przedtem, nim się rozdzieliliśmy, by dołączyć do odpowiednich grup po przeciwległych stronach. Lacey zauważyła mnie i szybko podeszła.

– Tak myślałam, że to ty – powiedziała. – Nie wiedziałam, że lubisz teatr. Powiedz szczerze: to przez ten mój olśniewający brytyjski monolog w bibliotece?

– Owszem, bardzo mnie zainspirował.

– Tak właśnie sobie pomyślałam – żartowała.

– A skoro już mówimy o tym olśniewającym monologu, to czemu nie grasz w tej sztuce? – zapytałam.

– Moja instruktorka aktorstwa poradziła, bym w ramach rozwoju mierzyła się z różnymi „aspektami teatru”. Dokładnie tak to określiła.

– Tak przypuszczałam.

Roześmiała się.

– Niech żyje rozwój. Tyle tylko – odezwałam się, zanim dała do zrozumienia, jak wiele oczekuje po przesłuchaniu mnie – że to nie moja bajka i nie wiedziałam, że powinnam przynieść nuty.

Wokół mnie i Lacey przepychały się dziewczyny usiłujące dostać się za kulisy, pociągnęła mnie więc w najbliższy kąt.

– Nie ma problemu. Ludzie, którzy nie przynieśli własnych nut, będą śpiewali *Happy Birthday*.

– Fajnie.

– Czy widziałam też Coopera Wellsa? Przyszliście razem?

– Tak.

Poruszyła znacząco brwiami.

– O, nie. Nie o takie razem chodziło. Po prostu się przyjaźnimy.

Obie spojrzałyśmy na drugą stronę sceny, gdzie stał Cooper, tak się w nas wpatrując, jakby się dziwił, że rozmawiamy.

– Przecież kogoś z takim wyglądem nie da się za długo utrzymać we friendzonie – zauważyła Lacey.

– Mnie się udaje, a raczej nie, to znaczy, nie chcę... nie zamierzałam. On... To skomplikowane. Proszę, nie rozgłaszaj tego – dodałam, uświadamiając sobie, że właśnie wyjawiałam jej więcej, niż kiedykolwiek powiedziałam Rachel.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodziło, z chęcią więc nikomu tego nie powtórzę.

– Dzięki.

Wskazała gestem coś za sobą.

– Lepiej już pójdę. Ktoś musi to wszystko poprowadzić.

– Okej.

– Połamania nóg – rzuciła jeszcze i już jej nie było.

Następna godzina przeleciała tak, jakby ktoś włączył szybkie przewijanie w przód. Lacey wywoływała kolejno ludzi, żeby zaśpiewali. Obie z reżyserką coś sobie notowały, a potem przychodziła pora na następną osobę.

Cooper wyszedł przede mną. Myślałam, że będzie zdenerwowany, ale on uśmiechnął się do ławy sędziowskiej.

– Nie przyniosłem utworu – oznajmił. – Ale jeśli chcecie, mogę zaśpiewać coś Metalliki. Albo troszkę Michaela Jacksona.

Udało mi się nie zaśmiać.

– Wystarczy *Happy Birthday* – powiedziała Lacey.

Kiwnął głową, a pianista zagrał dość wymyślny wstęp. Potem Cooper zaśpiewał. Kilka stojących obok mnie dziewczyn zachichotało.

Któraś za mną stwierdziła:

– Miło się na niego patrzy, ale słucha gorzej.

Nie wydawało mi się, żeby jego głos był aż tak okropny. Nie był, jak w przypadku innych chłopaków, których tu słyszeliśmy, oszlifowany i perfekcyjny, ale Cooper nie fałszował. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie należało wstawić imię, zaśpiewał „Lacey”. Gdy wyjrzałam, zobaczyłam, że się uśmiechnęła.

Kiedy z pianina wybrzmiała ostatnia nuta, Cooper uklonił się i zszedł ze sceny.

W końcu nadeszła moja kolej. Chociaż to ja chciałam przyjść na przesłuchanie, to teraz pocily mi się dłonie, a serce szalało.

Reflektor zauważyłam dopiero, gdy zaświecił mi prosto w oczy. Usiłowałam spojrzeć na Lacey i reżyserkę, ale przez tę oślepiającą jasność nie potrafiłam ich dojrzeć. Podniosłam rękę, żeby choć trochę osłonić się przed światłem.

Lacey uniosła kciuki.

– Ja też muszę zaśpiewać *Happy Birthday*.

Pianista, nie czekając dłużej, zaczął grać. Opuściłam rękę, godząc się, by blask mnie oślepił. Zawsze uważałam, że śpiewam lepiej niż Cooper, ale tutaj, na wielkiej scenie, wobec jeszcze większej widowni, mój głos całkiem niknął. Staralam się śpiewać głośniejsze, ale tak go wyteżałam, że zaczął się rwać. Byłam uszczęśliwiona, kiedy po zaśpiewaniu ostatniej frazy zbiegałam ze sceny.

– Dobra robota – stwierdziła dziewczyna, która wcześniej wyśmiała Coopera.

– Naprawdę? – zapytałam.

– Trochę cicho śpiewałaś, ale masz fajny głos.

– Dzięki. – Ogarnęła mnie zaskakująca radość. Przeszukiwałam wzrokiem drugi kraniec sceny, licząc, że uda mi się wypatrzyć Coopera. Stał

tam, rozpromieniony, a mnie jeszcze bardziej przepelniało szczęście.

Kiedy śpiewy dobiegły końca, rozdano nam partię tekstu, z którym musieliśmy wystąpić. Wyglądało na to, że spędzimy tam cały dzień, słuchając tekstów odczytywanych przez ludzi bardziej i mniej utalentowanych, w końcu jednak Lacey nas puściła. Rozdała instrukcje objaśniające zasady dalszej rekrutacji i wszyscy ruszyli w stronę drzwi.

Wzięłam Coopera pod rękę i też się tam skierowaliśmy.

– Męczarnia, i tyle – powiedział.

– Aż tak źle nie było. – Bo było to coś nowego. Coś, z czym jeszcze nigdy się nie mierzyłam i co na tyle wypchnęło mnie poza moją strefę komfortu, że denerwowałam się jak rzadko kiedy.

– Masz dobry głos – powiedział.

– Dzięki.

– Chyba przedtem tego nie zauważyłem.

– Abby! – Korytarzem biegła do nas Lacey. Oboje z Cooperem odwróciliśmy się do niej. – Hej – powiedziała, zatrzymując się przed nami. – Chciałam wam powiedzieć o małym grillu, który urządza u siebie z okazji czwartego lipca. Powinniście też przyjść. Oboje.

Słyszałam już o imprezach u Lacey. Same wielkie słowa. Mieszkała w ogromnym domu, a imprezy wyprawiała jeszcze większe. Nas nigdy przedtem nie zapraszała. Cooper popatrzył na mnie. W Dniu Niepodległości zawsze oglądaliśmy fajerwerki na molo i nie byłam pewna, co sądzi o odstępstwie od tej tradycji.

– No – powiedziałam z wahaniem. Cooper nawet się nie odezwał, wyraźnie mi pozostawiając decyzję.

– Będzie trochę ludzi, jedzenie i fajerwerki. Zapowiada się dobra zabawa – dodała.

Może udałoby się to zaliczyć jako coś z mojej listy. Jako punkt o nieznanym lub spróbowanie czegoś nowego. Jakkolwiek na to spojrzeć, tych nowych spraw miało być pięć.

– Okej.

– Serio? – powiedział niemal bezgłośnie Cooper, a ja szturchnęłam go łokciem.

Lacey wzięła ode mnie kartkę z informacją o rekrutacji i zapisała na niej swoje imię oraz numer telefonu.

– Jak do mnie napiszesz, podam ci swój adres itede.

– Okej.

Cooper siedział cicho, dopóki nie pomachałyśmy sobie na do widzenia i nie wyszliśmy.

– To teraz przyjaźnisz się z Lacey?

– Nie, ledwie ją znam. – Od powstania naszej grupy przyjaciół nie dołączył do niej nikt nowy. Za dobrze się dogadywaliśmy i za fajnie się ze sobą czuliśmy, by na siłę próbować ją rozszerzać.

– To w tym roku nie będzie mola? – zapytał.

– Nie ma Rachel i Justina, więc i tak byłoby inaczej. Ale nie musimy zostawać na jej imprezie do końca, jeśli nie chcesz.

Wzruszył ramionami.

– Może powinniśmy. Może nawet przyjdę z kimś.

Starając się nie dać niczego po sobie poznać, zauważyłam:

– Może powinienesz najpierw zapytać Lacey.

– Skoro i tak zaprasza przypadkowych ludzi, na pewno nie będzie miała nic przeciwko.

– Przypadkowych?

– Bez obrazy.

Roześmiałam się.

– Za późno, obraza już zrobiła swoje.

– Wiesz, o co mi chodziło. – Zamyślił się na chwilę. – Ciekawe, czy po tej reklamie dostała dożywotni zapas kremu przeciwtrądzikowego.

Szturchnęłam go.

– Głupek.

Jeszcze tego samego dnia, gdy światło późnego popołudnia zaglądało przez okno mojej pracowni, zaczęłam obraz koncentrujący się na perspektywie – widok ze sceny. I znów starałam się odwoływać do swojej pamięci i tego, co wówczas czułam. Na tej scenie było tak gorąco. I jasno. Blask bijący mi w oczy dosłownie mnie oślepił. Wycisnęłam na paletę dużą ilość żółci i bieli, zmieszałam oba kolory i zajęłam nimi środek płótna, malując reflektor wielkości jego jednej czwartej. Wycisnęłam też trochę czerwieni i kremowego, a potem nieco czerni i brązu, z myślą o fotelach, ludziach i scenie wokół światła reflektora, po czym zabrałam się do pracy.

Za oknem zrobiło się ciemno i obraz oświetlała już tylko moja lampka. Podeszłam do włącznika i zapaliłam górne światło, by ocenić swoje postępy. Było niedobrze. Zdecydowanie coś było nie tak. Za wiele foteli, za dużo oczu, bo zbyt wielu ludzi gapiło się przed siebie. Nie tak się czułam na

scenie. Ledwie widziałam jakieś fotele, a oczu prawie żadnych. Sięgnęłam czystym pędzlem po jeszcze więcej żółci i bieli. Coraz bardziej i bardziej rozszerzałam zasięg światła reflektora. Jego smugi kierowałam na krzesła. Niedostatecznie zaschnięta czerwień mieszała się z bielą i żółcią, tworząc na obrzeżach pomarańczowe wiry. Ta część mojej natury, która jednoznacznie oczekiwała od moich obrazów całkowitego realizmu, gotowa była zamalować je większą porcją żółci, ale się powstrzymałam. To było interesujące posunięcie. Widniejący w centrum reflektor niemal uniemożliwiał teraz dostrzeżenie otaczających go foteli, widzów, a nawet krawędzi sceny. Zawładnął tym obrazem.

Wzrok miałam już zmęczony. Za długo go wytrzymałam. Oparłam się chęci potarcia oczu umazanymi farbą rękoma. Jeszcze nie skończyłam tego obrazu, ale przyszła pora, by się położyć. Odeszłam od płótna, zatrzymałam się jednak, bo zauważyłam pewną twarz, jedną z nielicznych nieobjętych światłem reflektora. Nachyliłam się, mrużąc oczy. To była moja mama. Namalowałam na obrazie mamę, nawet sobie tego nie uświadamiając. Moją mamę – ostatnią osobę, której obecności na widowni można było dziś oczekiwać.

Rozdział 12

Może ona? – zapytałam dziadka, gdy pchaliśmy wózek przez dział warzywno-owocowy.

Dziadek ugniatał nektarynki i nieliczne wybrane wkładał do trzymanego przez siebie przezroczystego woreczka.

– Tamta? Chciałabyś poznać jej historię?

– Dlaczego nie?

– Zastanawia mnie, dlaczego osoby, które wskazujesz, to wyłącznie kobiety po sześćdziesiątce. – Zawiązał woreczek na supeł i włożył go do wózka.

Dziadek zawsze próbował mnie ustawić, ja starałam się ustawić jego. I nigdy do końca się w tym nie dogadywaliśmy. Każde wiedziało swoje.

– Bez powodu – mruknełam.

Pchnął wózek dalej.

– Oto co sobie pomyślałam. Na twojej liście nie ma zadania, aby mnie wyswatać. Lista to twoja szansa na rozwój.

– Nie rozumiem, czemu nie można by połączyć jednego z drugim.

Dziadek puknął mnie w głowę czerwoną papryką i włożył ją do wózka.

– Nie zaburzajmy i tak już niepewnej równowagi panującej w naszym domu.

– Niepewnej równowagi? U nas panuje idealna.

– Święte słowa.

– Nie – nadełam się. – Nie o to mi chodziło. Mówię, że jesteśmy cudowni i znalazłoby się wśród nas miejsce dla kolejnej uroczej osoby.

Dziadek zatrzymał wózek w pobliżu kosza z jabłkami i odwrócił się do mnie.

– Skoro skończyłaś już trzynaście lat, musimy odbyć poważną rozmowę.

Wiedziałam, że żart z mojego wieku ma stanowić przeciwwagę dla tych, które ja wiecznie robiłam na jego temat, uznałam więc, że nie zareaguję.

– Marzy ci się poważna rozmowa na środku działu warzywno-owocowego?

– A może być lepsze miejsce?

– Nie wiem, może jakaś bardziej intymna alejka. Na przykład ta ze

środkami czystości. Tam zawsze jest pusto. Mało kto kupuje środki czystości w sklepie spożywczym.

Dziadek nie pospieszył z żadną sarkastyczną uwagą, jedynie złożył i rozłożył listę zakupów, którą miał ze sobą. Wtedy pojęłam, że nie żartował. On naprawdę chciał ze mną poważnie porozmawiać na środku działu warzywno-owocowego. Rozejrzałam się. Było tu jedynie kilka osób przebierających w warzywach. Zniżyłam głos.

– O co chodzi?

– To twoja matka miała iść dziś po zakupy. Przypadała jej kolej.

Oo. Myślałam, że wyjawi, iż kogoś poznał, a tu chodziło o moją mamę.

– Wiem.

– Od tygodni nie wychodziła z domu dalej niż na spacer w parku.

– Wiem. Myślę, że powinna sobie znaleźć koleżankę lub dwie. To jej zawsze pomagało. – Dawniej nie zawracałam sobie tym głowy, bo wydawała się dobrze sobie radzić. Teraz jednak zmierzała w niewłaściwym kierunku. Pojmowałam, że czegoś jej trzeba.

Zagryzł wargę, a potem stwierdził:

– Potrzebuje spotkania ze specjalistą.

– Słucham?

– Skoro nie chce opuszczać domu, sprowadzimy jej jakiegoś. Od kilku lat próbuję zarazić tym pomysłem twojego ojca, ale on tego nie kupuje. Znasz przecież swojego tatę, samca alfa.

– Mój tata nie jest taki – powiedziałam, trochę przyjmując postawę obronną.

Dziadek potrząsnął głową.

– Twój tata to wspaniały facet. Zawsze go lubiłem. Ale nie chce przyznać, że ona potrzebuje pomocy.

– Czy to naprawdę taka wielka sprawa, że nie wychodzi z domu? W domu czuje się kochana i szczęśliwa. – Każdy ma jakieś dziwaczne odchyły. To że te jej jakoś się wyróżniały, nie oznaczało jeszcze, że szykuje się jakaś tragedia.

– Myślę, że to coś, nad czym musi popracować.

– Ale jeśli tata nie...

– Nie uważasz, że musi nad tym popracować?

Poczułam niepokój, a przed oczyma mignęła mi twarz mamy z mojego obrazu przedstawiającego scenę w teatrze. Może jednak w głębi siebie tak uważałam, a nawet tego pragnęłam. Otrząsnęłam się z tej wizji.

– Czasem tak, ale przeważnie po prostu się cieszę, że mam taką mamę.
– Może porozmawiałabyś z tatą o tym, jak mało mama wychodzi.
– Nie chcę go martwić. I tak ma poczucie winy, że nie jest z nami. Niedługo znów będzie w domu. Nie moglibyśmy po prostu poczekać i się przekonać, jak będzie się zachowywała po jego powrocie? – Bo kiedy był w domu, naprawdę znacznie się jej poprawiało. Zupełnie, jakby wciskał jakiś reset.

– Czyli niepewna równowaga, tak jak mówiłem – mruknął dziadek pod nosem i ponownie wprowadził wózek w ruch, kierując się w stronę działu z nabiałem.

– Nie bądź na mnie zły, dziadku.

– Nie potrafiłbym, złotko. – Błysnął uśmiechem. – Popracuję nad twoim tatą. Ty zachowuj się po prostu jak córka.

– Przede wszystkim to powinieneś się odprężyć, dziadku. Wszystko będzie dobrze. – Bo musi być. Z mamą było wszystko w porządku. Z nami wszystkimi też.

– Oddzwonili do was w sprawie tego przedstawienia, do którego wtedy startowaliście? – zapytał dziadek.

Pokręciłam głową.

– Nie. Aktorstwo wyszło nam okropnie. Chyba wszyscy tam, nawet maluchy, wypadli lepiej niż ja i Cooper.

– To zapewne nieprawda, ale dobrze znać swoje słabe strony.

– Owszem, a mam ich wiele.

– A może to ten? – spytał dziadek.

Skręciliśmy w alejkę z zupami i warzywami konserwowymi, a dziadek wskazał koleśia przypatrującego się zupom na jej końcu. W pierwszej chwili pomyślałam, że to z nim wiąże jakoś jedną z moich słabych stron, więc się spieszyłam.

– Może to jego historię powinnaś poznać? – doprecyzował.

– Wydawało mi się, że moja lista ma zawierać szansę na rozwój, a nie na swaty.

– A mnie, że uwzględniała także zakochanie się.

Nabrałam tak szybko powietrza, że aż się zakrztusiłam.

– Ćśś – syknęłam między jednym kasznięciem a drugim. Tak głośno to powiedział. Tamten koleś obejrzał się, raczej ze względu na mój atak kaszlu niż na słowa głośno wypowiedziane przez dziadka, ale niemożliwością było to stwierdzić. Zbliżyliśmy się jeszcze trochę i uświadomiłam sobie, że go

znam. Ogarnęła mnie ulga.

– Hej, Abby – powiedział Elliot. – Nie widzimy się przez całe miesiące, a potem dwa razy w ciągu dwóch tygodni.

– Dziwny zbieg okoliczności, co?

Elliot spojrzał na mojego dziadka, powiedziałam więc:

– Aha, dziadku, to jest Elliot Garcia. Elliot, to mój dziadek.

– Na imię mi Dave – rzekł dziadek, wyciągając rękę.

– Racja. Zawsze zapominam, że masz imię – przyznałam.

– Moją wnuczkę cechuje sarkazm.

Uśmiechnęłam się.

– Nie bądź taki święty. Od ciebie się go nauczyłam.

Elliot parsknął śmiechem.

– Miło pana poznać.

– Nie jest za gorąco na zupę? – Ruchem głowy wskazałam puszkę przed nim.

– Mama wyjechała, a mój tata gotuje jak... – Umilkł na moment, a potem dokończył: – Jak ktoś, kto nie ma pojęcia o gotowaniu. Szukałem jakiegoś niezłego porównania, ale nic nie przyszło mi do głowy.

– Jak mała w fartuchu? – zapytałam.

– Wściekły jeżozwierz? – zasugerował dziadek.

– Jeżozwierz? – zdziwiłam się. – Dany osobnik musi mieć przeciwstawne kciuki, żeby w ogóle być zdolnym do gotowania. Jak mała.

– Jeżozwierz był wściekły. Uznałem, że może wykorzystać swoje kolce jako rożen.

– Racja. Teraz rozumiem, o co ci chodziło.

Elliot się uśmiechnął.

– To już wiem, do kogo się zwrócić, gdy będę szukał porównań.

Jak widać, nie tylko mama, ale i my z dziadkiem miewaliśmy dziwaczne odchyły.

– No to do zobaczenia przy okazji – oznajmiłam, przejmując kontrolę nad wózkiem i wymijając nim Elliota tak, by uciec przed dalszą kompromitacją.

– Abby – zawołał jeszcze.

– Tak?

– Wybierasz się może do Lacey na imprezę z okazji czwartego lipca?

– W sumie to tak.

– Ekstra. To tam się zobaczymy.

Możliwe, że Cooper miał rację. Lacey najwyraźniej zapraszała

wszystkich, na których przypadkowo wpadła.

– No i masz – powiedział dziadek, kiedy (na szczęście) znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu Elliota. – Nie pozostaje ci nic innego, jak odfajkować na twojej liście „zakochaj się”.

– Bardzo śmieszne – odparłam. – Ale nie.

– Nie spodobał się nam? Wydaje się świetny. A do tego uznał cię też za dowcipną, co dobrze wróży.

– Polubiłeś go, bo docenił twój dowcip.

– Nic w tym złego. – Dziadek znów zawładnął wózkiem i pchnął go w stronę kas. – Lepiej się zbierajmy.

Wzięłam go pod rękę, myślami wracając do rozmowy w dziale warzywno-owocowym.

– Nie przejmujesz się mamą *za bardzo*, prawda?

– Wyjdzie z tego.

– Jesteś pewien?

– To pewne jak wschód słońca.

Zmarszczyłam czoło.

– Tak mówią tylko staruszkowie?

– Tak mawia ktoś, kto przeżył dużo więcej niż ty.

– Dokładnie to powiedziałam. – Nagle mnie olśniło. – Jesteś genialny!

– To właśnie próbuję ci powiedzieć.

– Nie o to chodzi. Właśnie podsunąłeś mi najlepszy pomysł na punkt mojej listy. Jutro od tego zacznę. – I zmuszę Coopera, żeby się do mnie przyłączył.

Rozdział 13

Godzina była nieludzka i wraz z budzikiem skrzyczało mnie całe ciało. Bo kto nastawia latem budzik? Pomyślałam, że może by wcisnąć drzemkę i zapomnieć o swoich planach. Wiedziałam jednak, że nie mogę. Jeśli miałam zebrać dość doświadczeń i wypełnić listę, zanim pan Wallace wybierze ostatnich uczestników wystawy, muszę działać, bo już byłam do tyłu. A skoro poprzedniego dnia nie udało mi się znaleźć odpowiedniego nieznanajomego, musiałam odhaczyć coś innego, żeby nie wypaść z toru.

Była czwarta nad ranem, na zewnątrz jeszcze noc. Gdyby Cooper wiedział, co zaplanowałam, pewnie by mnie zabił. Albo by nie przyszedł. To dlatego nie chciałam do niego pisać. SMS łatwiej byłoby mu zignorować. Zamierzałam więc go odwiedzić. Zostawiłam na blacie liścik do mamy i cicho zdjęłam kluczyki z haczyka przy drzwiach wejściowych.

U Coopera też jeszcze wszyscy spali. Na ganku nadal paliło się światło, a okna były ciemne. Uznałam, że najlepiej będzie, gdy zakradnę się do niego przez okno tak, jak to czasem robiłam. Liczyłam na to, że go nie zamknął. Okno miał od frontu na parterze. Pomyślałam, że jego rodzice powinni być bardziej przewidujący. Ale chyba nawet nie zauważyli, że w oknie nie ma żaluzji. Zostały zdjęte dwa lata temu, gdy z Justinem i kilkoma innymi kolegami ze szkoły zorganizował nocne kręgle na parkingu. Oświetliłam komórką okno i próbowałam je otworzyć. Nie zamknął. Odetchnęłam z ulgą, a potem się wkurzyłam. Byle złodziej mógł wejść wtedy i spenetrować cały dom.

Podciągnęłam się na parapet. Dawno już tego nie robiłam, toteż kolanem otarłam się o ramę okienną, kalecząc sobie skórę. Cicho syknęłam i jedną stopą wymacałam dywan. Druga noga, zataczając łuk, natrafiła na stojący na szafce przy łóżku puchar za bejsbol, więc nagroda poleciała na podłogę. Aż się skuliłam, ale Cooper nawet nie drgnął.

Zapaliłam nocną lampkę i usiadłam na łóżku tuż przy jego półnagiej sylwetce. Od kiedy sypia bez góry od pizamy? Trzeba było jednak wysłać SMS-a. Szarpnęłam go za ramię.

– Hej, pobudka.

Stęknął i przekręcił się na bok, tyłem do mnie.

– Cooper – szepnęłam, przejeżdżając mu palcem po plecach.

– Później posprzątam – odparł.

Szarpnęłam go mocniej.

– Obudź się. To ja. Abby.

– Abby? – powtórzył, przecierając oczy i mrużąc je w reakcji na światło.

– Tak. Wymyśliłam sposób na zaliczenie kolejnego punktu z listy.

Usiadł, a wzrok wreszcie mu się wyostrzył. Spojrzał nad moim ramieniem w okno.

– Masz rację, budzenie się przed wschodem słońca ogromnie mnie przeraża. Możesz mi to już zaliczyć.

– Nie. Tego to ci nie uznam.

Znowu się położył i naciągnął kołdrę na głowę.

– To daj mi spać.

– Serio, Cooper. Wstawaj. Nie przewidziałam, że to potrwa aż kwadrans. Mamy napięty grafik, a jeśli nie zdążymy do okna, wrócę tu jutro znów o czwartej trzydzieści.

– Jest czwarta trzydzieści? – upewnił się zrozpaczony.

– Idziemy zobaczyć, jak na świat przychodzi życie.

– Ktoś teraz rodzi? Kto?

– Nic z tych rzeczy. – Ściągnęłam z niego kołdrę. – Wstawaj. Włóż koszulę, umyj zęby, zobaczymy się na zewnątrz.

Szybko odwróciłam wzrok, gdy wychodził z łóżka w samych bokserkach, a potem wciągał dzinsy, wcześniej leżące w bezładnej kupie na podłodze, obok szafy.

– Strasznie cię teraz nienawidzę – stwierdził.

Z uśmiechem ruszyłam w stronę wciąż otwartego okna.

– I dobrze.

– Lepiej niech to będzie coś fajnego – powiedział pięć minut później, gdy ledwie wyszedł przez drzwi frontowe, żeby do mnie dołączyć.

– Będzie. – Chwyciłam go za ramię i pociągnęłam do samochodu.

– Coś fajnego, co może odmienić życie. Bo tak wcześnie to nawet do szkoły się nie budzę.

Jadąc, zabrałam się do wyjaśnień.

– Widzieliśmy już w życiu z tysiąc zachodów słońca.

– Owszem. Mieszkamy blisko plaży. Widoku słońca zachodzącego za ocean nie da się uniknąć.

– Mówisz tak, jakby należało tego unikać. Przecież zachody są fantastyczne.

– Chodziło mi tylko o to, że jest się na plaży, a tu słońce zachodzi. Widzi się i ocean, i słońce. Tego się nie da przeoczyć.

– Zgadza się. Ale widziałeś kiedyś wschód słońca? – Chwyciłam go za biceps i szarpnęłam z zapalem, próbując zarazić go swym rozemocjonowaniem.

Po chwili milczenia przyznał:

– Nigdy. Za bardzo cenię swój sen.

– I o to chodzi. Ja też. A poza tym, biorąc pod uwagę te wszystkie domy, zabudowania i resztę tałatajstwa zasłaniającego widok, nie robiłby aż takiego wrażenia.

– Fakt.

– I dlatego wjedziemy na górę. Zobaczymy słońce wschodzące w pełnej chwale. Ujrzymy, jak świat ożywa.

– No proszę, jakich metafor używasz i w ogóle.

Uśmiechnęłam się.

– Nadal cię nienawidzę.

Parsknęłam śmiechem.

Dobrze to sobie obmyśliłam. Idealne miejsce, by obejrzeć wschód słońca, znajdowało się niespełna godzinę od naszych domów. Czy dlatego nie powiedziałam o niczym mamie i dziadkowi, ponieważ ta akcja miała w sobie coś romantycznego? Możliwe. Wyobraziłam sobie minę mamy i żarty dziadka, uznając, że na nic takiego nie mam ochoty. Poza tym tu nie chodziło o romantyzm. Rzecz dotyczyła punktu z listy. To jej zrealizowanie postawiłam sobie za cel. Chodziło o kolejne przeżycie, które mnie pogłębi. Ciągłe powtarzanie sobie w duchu tej mantry sprawiało, że to wszystko wydawało się czymś co najmniej absolutnie normalnym.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, wyciągnęłam z bagażnika koc.

– Czemu nie wzięłaś dwóch? Notorycznie zagarniasz cały koc – zaprotestował Cooper.

– Słucham? Wcale nie.

– Naprawdę mam wyliczyć te wszystkie razy, kiedy zawłaszczalaś koc? Przeważnie podczas nocnych maratonów filmowych.

Wskazałam leżącą w bagażniku torbę.

– Już nie marudź. Przywiozłam ci pączki.

– Przywiozłaś pączki? – Porwał ją i otworzył. – I mleko czekoladowe?

Dobra, już cię nie nienawidzę.

– Ja myślę.

Stała tam piknikowa ławka, Cooper więc natychmiast na niej usiadł i zaczął wyciągać pączka.

– Czekaj! Nie ruszaj. Jeszcze nie tutaj.

– To gdzie?

Staliśmy u podnóża szlaku. Wskazałam jego koniec, na szczycie.

– Co takiego? Mam się wspinać?

– To żadna wspinaczka. Pięciominutowy spacer.

– Wspinaniem się jest podchodzenie pod górę przez dowolną ilość czasu.

A więc to jest wspinaczka.

– Definicja wspinaczki brzmi inaczej.

– Czyli jak? – zapytał, wstając niechętnie.

– Nie jestem pewna. Ale nie tak.

Niebo już jaśniało, wiedziałam więc, że czasu mamy naprawdę niewiele. Przerzuciłam koc przez ramię i poszłam przodem. Cooper złapał torbę ze słodkościami i ruszył za mną.

Ze szczytu rozciągał się wspaniały widok – na dolinę tonącą w zieleni. Wierzyć mi się nie chciało, że nigdy przedtem tu nie dotarłam. Mając o pięć minut od domu ocean z innym pasmem wzgórz, klifami i szlakami turystycznymi, nieczęsto szukałam kontaktu z przyrodą po drugiej stronie miasteczka. Stąd nawet nie było widać oceanu, choć wiedziałam, że jest gdzieś za nami.

Usadowiłam się pod drzewem, twarzą na wschód, a Cooper usiadł koło mnie.

– Już mogę jeść?

– Tak. Jedz. – Było naprawdę zimno, a powietrze pachniało sosnami i ziemią. Zawinęłam się w koc i spojrzałam w niebo.

– Chcesz jednego? – zapytał z ciastem w ustach.

– Za chwilę. – Spojrzałam na komórkę. Mieliśmy więcej czasu, niż sądziłam. Słońce wschodziło dziś o piątej czterdzieści trzy, a dopiero minęła piąta trzydzieści.

Cooper podniósł dwulitrowy karton czekoladowego mleka.

– Dzielimy się jakoś?

– Hm... Tak!

– Okej, okej, tylko odmierzam, ile wypić.

Szturchnęłam go ramieniem, a on się uśmiechnął. Gdyby się tyle nie

uśmiechał, moje życie byłoby znacznie mniej skomplikowane. Podał mi karton, napiłam się.

– Z czekoladowym mlekiem wszystko robi się lepsze – stwierdziłam.

– Zgadza się. – Oparł się o drzewo, potem pociągnął za róg koca. – Hej, koculubie, podzielisz się?

Odchyliłam tę część koca bliżej niego, a on zaraz się w nią zawinął, jeszcze przybliżając się do mnie.

– Ciepła jesteś – stwierdził, bardziej się przysuwając.

– Słyszałam, że najzimniejszą porą doby jest ta tuż przed wschodem słońca. To ten moment, w którym ziemia najdłużej nie ma kontaktu ze światłem. Bo zaraz wszędzie słońce i powoli zacznie znów ogrzewać świat.

Cooper objął mnie w pasie i połaskotał.

– Zabrzmiało to jak komentarz z Discovery. Powinien mu towarzyszyć powolny przejazd kamerą po niebie takim jak to, tuż przed wschodem. Wyciągaj komórkę. Zrobimy go sobie.

– Nie. To jest moment zerotechnologiczny.

Ręka, którą mnie objął, żeby połaskotać, jeszcze się nie cofnęła, jego dłoń opierała się o moje biodro.

Na sekundę zamknęłam oczy, koncentrując się na tłumieniu swoich uczuć. Przez ostatni rok tak dobrze sobie z tym radziłam, że prawie weszło mi to w krew.

– Jutro wieczorem zamierzam wyciągnąć Ris z domu. Gdzie powinienem ją zaprosić?

Otwarłam szeroko oczy.

– Kogo?

– No tak. Wiesz, tę dziewczynę, z którą do siebie piszemy. – Cofnął rękę, położył dłoń na swoim kolanie.

– Racja. Ris. Pewnie, że pamiętam. Myślałam, że wybierasz się z nią na imprezę u Lacey.

– To też. Ale mówię o prawdziwej randce.

– A nie wybieramy się jutro wieczorem do kina na plaży?

– Sorki, całkiem zapomniałem. Ale następnym razem na pewno pójdziemy.

– Pewnie, że tak. – Powiedziałam sobie, że nie czuję się rozczarowana. Jeszcze mi to pomoże w tłumieniu uczuć.

– To gdzie powinienem ją zabrać?

– Nie wiem – odparłam. – Nie znam jej.

– Wiem, ale gdzie dziewczyny lubią być zabierane na randki?

– To ty je zabierasz, nie ja.

Naburmuszył się.

– Ale ty jesteś dziewczyną.

– Naprawdę? Co za szczęście, że mam kogoś, kto mnie o tym powiadamia.

Ścisnął mnie za kolano.

– Bądź poważna. Pomóż mi.

Pomyślałam o randkach, na które chodziłam przez minione lata. Wszystkie były bardzo klasyczne – kino, kolacja, plaża.

– Nie wiem. Nieczęsto randkuję.

– Zastanów się przez chwilę. Twoja wymarzona randka. Gdzie chłopak miałby cię zabrać?

Wymarzona randka dalece odbiegała od tego, jak to się zwykle odbywało. Wymagała wyobraźni.

– Mój dziadek mówił, że gdzieś tu w pobliżu jest niesamowity podziemny ogród. Myślę, że to byłoby coś super. – Przynajmniej dla mnie. Takie miejsca inspirowały mnie do malowania.

– Dobry pomysł. Też o nim słyszałem. Aż dziwne, że jeszcze tam nie byłaś.

– Owszem. Też się dziwię. Zawsze zajmuje nas coś innego. – Znów się skupiałam na rozciągającym się przed nami widoku. – Oo! Óóóó. Patrz. Już się zaczyna. – Ruchem głowy wskazałam widoczną w oddali górę.

– Musimy być cicho, kiedy będzie wschodzić? – spytał szeptem.

– Óóó. – Z jakiegoś powodu wołałam obserwować to w ciszy. Musiał wyczuć, że mówię poważnie, bo już się nie odezwał i oboje tylko siedzieliśmy, chłonąc ten widok. Najpierw pojawiły się promienie – wyciągnęły się na skraju góry, wyglądającej teraz tak, jakby stawała w ogniu. A potem powoli, milimetr po milimetrze, zaczęło pokazywać się samo słońce. Sprawiało wrażenie mniejszego, niż się spodziewałam, ale im wyżej się podnosiło, tym bardziej jaśniało niebo. Pierwszy raz, odkąd się tu znaleźliśmy, usłyszałam nad nami świergot ptaków. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby świat tak nabierał życia. Zachwyciło mnie, jak coś może przechodzić z posępnej szarości i zimna w pełnię światła w tak krótkim ułamku czasu. Zachłusnęłam się powietrzem, wciąż jeszcze zimnym, choć niebo zapowiadało upalny dzień.

Czułam, że Cooper obok mnie też chłonie to powietrze. Z każdym z tych

oddechów przechylałam się ku niemu, aż w końcu mój policzek dotknął jego ramienia.

– Ile jeszcze tu zostaniemy? – zapytał, gdy słońce było już wysoko nad górą.

– Myślałam, że przez jakiś tydzień.

– Pod warunkiem że będziemy mieć więcej pączków. – Postawił przede mną na ziemi torbę z moim pączkiem. – Ale to nie znaczy, że odtąd będziesz rannym ptaszkiem?

– W życiu. Mimo to się cieszę, że tak się nam udało.

– Ja też. – Spojrzał na mnie z tak bliskiej odległości, że widziałam smużki szarości na jego niebieskich tęczęwkach.

– Chodźmy już – powiedział, popychając mnie, gdy wstawał.

– Tak. Chodźmy...

Rozdział 14

Masz te prażone świerszce. – Dziadek stanął w drzwiach z przezroczystą torebeczką. – Zostawiłaś je z innymi zakupami.

– Już prawie zapomniałam, że uznałam je za świetny pomysł.

– Świerszce to zawsze świetny pomysł. – Położył je na skraju mojego łóżka, potem wyszedł.

Od wypadu, by zobaczyć wschód słońca, upłynęły trzy dni. Od tamtej pory zdążyłam odwiedzić jadłodajnię dla ubogich i pomóc przy wydawaniu zupy w ramach zapisanego na mojej liście wolontariatu. To doświadczenie zarówno pozwoliło mi się spełnić, jak i mnie zdołowało. Nie mieściło mi się w głowie, że dzieci mogą być głodne, ale ciężko było temu zaprzeczyć, gdy stały w tej kolejce, czekając na swoją chochlę rosółu z makaronem. Żałowałam, że nie wpadłam na coś takiego z własnej inicjatywy, niezmuszona przez listę. Na odchodnym wypełniłam kwestionariusz dla wolontariuszy, informując kierowniczkę, że może się ze mną skontaktować, jeśli będzie im brakowało ludzi.

Do tego schroniska poszłam bez Coopera. Prawdę mówiąc, nie widziałam go od tamtego wschodu słońca. Staralam się nie zastanawiać nad tym dlaczego. I czy zaprosił gdzieś Ris. Czy nie spędzał z nią teraz każdej wolnej chwili?

„Hej, jeśli jeszcze zaliczasz ze mną tę listę, musisz znaleźć sobie jakiś wolontariat. Ja swój odrobiłam wczoraj”.

„Mam to z głowy. Właśnie robię za wolontariusza. Tata wysłał mnie, żebym jednemu gościowi pomalował dom. Pomalował. Dom. Malowanie to twoja specjalność”.

Aha. Czyli to nie Ris tak go absorbowwała. Miał naprawdę poważny powód. I nie powinnam czuć takiej ulgi.

„Nie ten rodzaj malarstwa”.

„Trzeci dzień z tym walczę”.

Odpisałam na to: „Chyba możemy więc zaliczyć malowanie do twoich nowych umiejętności?”.

„Oczywiście. Jestem niesamowity, ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że jestem zmęczony, wszystko mnie boli i chcę, żeby to się już skończyło”.

„Jeszcze nie skończyłeś?!”

„Sądzę, że dzisiaj skończymy”.

„Fajnie”.

„Najpierw jakiś wariacki pomysł wyrywa mnie z łóżka o wpół do piątej, a potem tata budzi mnie o szóstej. Nie jest dobrze. Kiedy to się skończy, urządzę sobie lodową kąpiel i będę spał przez tydzień, a potem któreś z najbliższych przyjaciół zrobi mi masaż”.

„Justin wrócił?”

„Bardzo śmieszne”.

Nie miałam zamiaru robić Cooperowi masażu. To groziło poważnym nawrotem. Wystarczająco ciężko było patrzeć na jego ciało. Tylko brakowało, żebym go jeszcze dotykała.

„Czwarta trzydzieści rano. Jesteś mi to winna”.

„Z jakiegoś powodu przyniosłam ci pączki. Nic nie jestem winna”.

W odpowiedzi przysłał mi emotkę kupy, doprowadzając mnie do śmiechu.

Schowałam telefon do kieszeni i wróciłam do mojej pracowni. Wczoraj przed pracą przygotowałam sobie płótno i nadal czekało ono na sztaludze, jak do tej pory pokryte jedynie warstwą białego gruntu. Nie spieszyłam się do niego. Początkowo przyszło mi do głowy, by namalować wschód słońca. Wyciągnęłam wszystkie swoje ciepłe barwy – czerwienie, oranże i żółcie – teraz więc czekały na mnie na szafce. Kiedy się im przyjrzałam, wydały się nieść w sobie zbyt dosłowną interpretację tematu. Przypomniałam sobie, jak zimny był tamten poranek. Jak pachniał sosnami i jak nos mi drętwiał. To, że ptaki ożyły dopiero, gdy słońce się wspięło. Przypomniałam sobie wrażenie, jakby wszystko budziło się do życia. Ożywało.

Wyjęłam kolejne tubki farby – szarą, czarną i srebrną. Zaczęłam u dołu płótna, od zimnych barw. Malowałam suche, rdzawe liście i czarne, nagie drzewa, a także śpiące srebrne ptaki. Przesuwając się w górę płótna, dodawałam kolejne kolory i więcej życia, aż wreszcie doszłam do najwyższych partii, gdzie z zielonej góry podrywały się ptaki, wzlatując w ślad za promieniami słońca, a niebo za nimi było świetliste i żółte.

– Łał.

– Myślałam, że już cię oduczylam zakradania się, kiedy maluję. O mało nie przejechałam pędzlem po płótnie. – Jakoś udało mi się nie podskoczyć. Ledwie. Cooper zwykle obserwował mnie w ciszy, dopóki nie zobaczył, że

odwracam się od płótna.

– Sorki. Powinienem o tym pamiętać, zwłaszcza że teraz też jestem wykwalifikowanym malarzem.

– Rzeczywiście. Powinnam pozwolić ci go dokończyć za mnie – zażartowałam.

– Mowy nie ma. Jest niesamowity. Uwielbiam go.

– Uwielbiasz wszystko, co maluję.

– To prawda. Ale ten jest... inny. Te ptaki są martwe? – Pytał o te u dołu.

– To trochę za mroczne jak na ciebie.

– Nie, nie są. Śpią. Wyglądają na martwe?

– Wyglądają super. To miał być wschód słońca, zgadza się?

– Nim się inspirowałam.

Odłożyłam paletę na komódkę po mojej prawej, tej z szufladami zawalonymi wszystkim, co było potrzebne przy malowaniu, i odwróciłam się do Coopera.

– Myślałam, że planowałeś od razu walnąć się do łóżka na ty...

Urwałam.

– Hej. Cały jesteś w farbie.

– Wiem! Dlatego musiałem przyjść najpierw tutaj. To ważne, żebyś zobaczyła, że wyglądamy jak bliźniaki.

Uśmiechnęłam się i zbliżyłam o krok.

– Nie przypominam sobie, że bym miała na sobie kiedyś aż tyle farby. Kąpałeś się w niej? – Uszczypnęłam palcami skraj jego koszuli i odciągnęłam od ciała. – Koral? Malowałeś ten dom na koralowo?

– Nie żaden koral. Wydaje mi się, że oficjalna nazwa to łagodna brzoskwinia.

Zagryzłam wargę i puściłam koszulę. Miałam więc teraz na kciuku i palcu wskazującym troszkę łagodnej brzoskwini. Wytarłam je w jego policzek, a on zmarszczył nos.

– Ten dom wcale nie wypadł tak źle.

– Aha. Jestem jednak zaskoczona, że moja mama wpuściła cię w takim stanie.

– Twoja mama mnie uwielbia.

Święta prawda.

– Poza tym przywykła do pozwalania innym, by chodzili po tym domu umazani farbą. – Musnął mój obojczyk, wędrując śladem smugi farby. Po rękach przeszły mi ciarki i odsunęłam się o krok.

– Jak ci się udało pomalować szyję? – zdumiał się.

– Tak samo jak tobie.

– Zostawiłem tu ostatnio jakieś ciuchy?

– Sądzę, że gdzieś są jeszcze twoje szorty od surfingu.

Odwrócił się i poszedł do mojego pokoju. Potrząsnęłam wciąż jeszcze mrowiącymi mnie rękoma i poszłam za nim.

– A czemu? – zapytałam.

– Bo zamierzam wziąć tu prysznic, a potem rozmasujesz mi kark.

– Nie mam zamiaru.

Poszedł w kąt pokoju, gdzie na krześle wciąż wisały jego ciuchy. Podniósł szorty, strzelił mnie nimi w nogę, a potem skierował się do drzwi.

– A koszulka? – zapytałam.

Machnął ręką.

– Jest brudna.

– Koszulka jest obowiązkowa. – Podeszłam do swojej szafy i przekopałam półki, aż znalazłam największą, jaką miałam, i rzuciłam mu ją.

Podniósł ją.

– Mam chodzić w żarówiastoróżowej koszulce z biegu przeciwko rakowi piersi?

– Tak.

Wzruszył ramionami.

– Okej.

– Aha, jeszcze jedno przed prysznicem. Mam tu coś. – Wzięłam z łóżka świerszcze i pokazałam je Cooperowi, jednocześnie wskazując listę. – Spróbuj czegoś nowego.

– Co to takiego?

– Prażone świerszcze.

– Świerszcze? Czy ty jesteś poważna?

Rozerwałam torebkę i wysypałam je na dłoń. Było ich sześć. Cooper zbliżył się, wziął jednego z mojej wyciągniętej ręki i wrzucił sobie do ust.

– Mmm. Solony. – I ruszył w stronę drzwi.

Prychnęłam. Spodziewałam się, że bardziej będzie się opierał. Miałam nadzieję, że może odkryłam coś, czego się boi. Będąc już przy drzwiach, odwrócił się.

– Ty też spróbujesz?

Niewiele myśląc, wepchnęłam sobie jednego do ust i szybko pogryzłam. Cooper miał rację – świerszcz był solony, chrupki, smakował trochę jak

zeschła trawa.

- Nawet nie taki zły.
- Pewnie, że nie. Ale u mnie to się nie liczy.
- Jak to? Czemu?
- Już kiedyś jadłem prażone świerszcze.

Cisnęłam w niego tymi, które mi zostały, ale wylądowały na podłodze, półtora metra ode mnie.

- Drań z ciebie. Ale ja mogę sobie zaliczyć.
- Okej. Musimy jednak spróbować czegoś nowego razem. Czegoś, czego oboje jeszcze nie robiliśmy. Czegoś przełomowego. Jak tamten wschód słońca.

Uśmiechnęłam się, słysząc, że tak ocenia nasz wypad.

- Okej.

Wycofał się z mojego pokoju, a ja odprowadziłam go wzrokiem, aż zniknął po drugiej stronie korytarza, za drzwiami łazienki.

Rozdział 15

Nie powinieneś się tu kąpać! – zawołałam.

Jeszcze mi tego brakowało, żeby ktoś, w kim próbuję się odkochać, paradował po mojej łazience... i brał prysznic. Myślałam, że mnie nie usłyszał, ale drzwi się otwały i Cooper wyjrzał.

– Co?

Grr. Robiłam z siebie idiotkę. Już się tu przecież kąpał.

– Nic. Właż pod prysznic.

Podniosłam z dywanu prążone świerszcze i wywaliłam je do śmieci. Potem postawiłam na swojej liście kolejną fajeczkę. Szło mi nieźle. Trzy obrazy prawie skończone i zrealizowana niemal połowa listy. Byłam w pełni przekonana, że zmieszczę się w czasie, ale nie do końca, że pan Wallace dostrzeże jakikolwiek rozwój. Inne nie zawsze oznacza lepsze.

Kiedy przechodziłam koło łazienki, Cooper nucił jakąś melodię, której nie rozpoznalam. Dołączyłam do dziadka i mamy, którzy siedzieli w dużym pokoju.

– A gdzie Cooper? Roznosi jeszcze po domu tę koralową farbę? – zapytał dziadek.

– Koralową? Cieszę się, że jesteśmy zgodni w ocenie tego koloru. – Ruchem głowy wskazałam korytarz i usiadłam. – Właśnie ją splukuje w łazience.

Mama, siedząca na kanapie z *Prawdziwą zbrodnią* w ręce, uniosła brwi.

– Jak idzie z listą?

– Całkiem nieźle. Kilka rzeczy zostało jeszcze do zrobienia. Ale według dziadka jestem w połowie drogi do zakochania się.

– No tak, słyszałam już o Elliocie – powiedziała.

– Plotkujecie jak nastolatki. Żaden sekret się tu nie uchowa.

– Ja milczę jak grób – odparła mama, udając urażoną.

– A ja jak nieboszczyk w tym grobie – dodał dziadek.

Przewróciłam oczami.

– Nikomu nic nie powiemy – oznajmiła mama.

Omam nie powiedziałam, że to oczywiste, skoro z nikim się nie widują. Ale nawet mój sarkazm miewał swoje granice.

– No, poza tatą.

– Powiedziałaś tacie?

– Oczywiście, kochanie. On lubi wiedzieć takie rzeczy. Powiedział, że ostatnio nie mailowałaś do niego.

Aż się skuliłam. W odpowiedzi na mój ostatni e-mail wyliczył kilka alternatywnych imion, z których mogłabym któreś wybrać, i zapytał, które doświadczenia skreśliłabym z mojej listy, żeby mógł mi powiedzieć, czego on nie akceptuje.

Przeczytałam ten list na komórce, zamierzając odpowiedzieć, jak tylko siądę przy laptopie, ale dotąd tego nie zrobiłam.

– Wiem. Zapomniałam. W tym momencie czekam po prostu na cotygodniowy telefon od niego. Tak będzie prościej.

Mama westchnęła.

– Prościej nie ułatwia komunikacji.

– Umieszczę to na koszulce.

– Poważnie, Abby.

– Wiem, mamo. Wyślę mu e-maila. – Skierowałam się w stronę kuchni. – Wezmę sobie lody. Posmak po świerszczu jest mało fajny.

Kiedy nałożyłam sobie miseczkę lodów miętowych z kawałkami czekolady i wróciłam do dużego pokoju, Cooper siedział na kanapie, z włosami wciąż jeszcze ociekającymi wodą i w o wiele za małej na niego wściekle różowej koszulce. Ciasno opinała jego bicepsy i klatkę piersiową. Szybko odwróciłam wzrok, żeby dziadek nie widział, że patrzę.

– Ty też zjadłeś świerszcza? – zapytała Coopera mama.

– Tak. Był, zdaje się, czymś doprawiony. – Rozciągnął dekolt koszulki.

– Solą i pieprzem – wyjaśniłam.

– Abby pracuje nad piątym punktem z listy – poinformował go dziadek.

– Pamiętasz ich numery? – zdziwiłam się.

– Nie, strzelałem w ciemno. Ale mam na myśli ten o zakochaniu się.

Wzięłam do ust za dużo lodów i tak szybko je połknęłam, że rozboleła mnie głowa. Poskakałam sobie, aż mi przeszło, potem wskazałam na mamę i dziadka.

– Cooper, poznaj grób i nieboszczyka z tego grobu.

– Ja nic nie powiedziałam – zastrzegła się mama.

– Zakochujesz się? – upewnił się Cooper z ironicznym uśmiechem. – Poznałaś kogoś?

– Nie. Po prostu w sklepie wpadliśmy na Elliota. Dziadek przesadza.

– Znowu Elliot? – upewnił się Cooper. – A więc drugi raz w ciągu dwóch

tygodni. Może to przeznaczenie. – Położył szczególny nacisk na słowo, którego lubiłam używać. – Powinniście oboje wybrać się na podwójną randkę ze mną i Ris.

Dziadek uniósł palec.

– Elliot powiedział, że wybiera się na imprezę z okazji czwartego lipca.

– Doskonale! – ucieszył się Cooper. – Będziemy więc mogli trzymać się tam razem. Zadzwoń do niego.

– Nie masz jego numeru.

– Mam. Dostałem na serwetce, zapomniałaś?

– Hej, dziadku? Pamiętasz tę technikę masażu tkanek głębokich, której mnie uczyłeś?

– Tak.

– Cooper ma straszne zakwasy w karku. Mógłbyś się nimi zająć?

Dziadek wysunął stopą stojący przed nim puf.

– Siadaj, chłopcze. Zniszczmy te zakwasy w zarodku.

– Idę spać. – Pewnie nie było jeszcze dziewiątej, ale wszyscy w tym pokoju zdążyli mnie wkurzyć. Skończyłam lody i odniosłam miskę do zlewu. – Jutro też jest dzień.

Zaraz po wejściu do swojego pokoju otworzyłam laptop i napisałam tacie szybkiego e-maila.

Od córki wiejskiej w mailowaniu do ojca, który jest w tym mistrzem.

Przepraszam! Pochłonęło mnie dbanie o rozrost mojego serca. To jednak harówka. Sprawdzimy, co takiego zrobiłam? Wzięłam udział w przesłuchaniach do spektaklu. Nie jestem pewna, czego mnie to nauczyło. Może tego, że robienie z siebie głupka wychodzi mi celująco. Czytam jednocześnie dwie powieści z klasyki. Obie są równie stare i doskonale poszerzają horyzonty. Myślałam, że znam swój ojczysty język, ale najwyraźniej nie. Oglądałam wschód słońca. Jak to możliwe, że Wy z mamą nigdy mnie do tego nie zmuszaliście? Czy wychodzicie przez to na okropnych rodziców? Rzecz do dyskusji. Pomagałam w jadłodajni dla ubogich. Dzieci tam są takie malutkie. Serce mi się krajało, ale nauczyło mnie to też, że mam za co dziękować. Słyszałam też, że mama powiedziała Ci o Eliocie. To nic ważnego, nie musisz się więc bawić w dwadzieścia pytań na jego temat. Tym bardziej że nie wydaje mi się, bym umiała znaleźć dwadzieścia odpowiedzi. Może trzy, i to jedynie dotyczące jego wyglądu. Co do mamy, to pewnego dnia wybrała się z nami na spacer.

Przerwałam pisanie, przypominając sobie, o czym rozmawialiśmy z dziadkiem w markecie. Zastanawiałam się, czy powinnam napomknąć coś o mamie i terapii. Pokręciłam głową przecząco. Tacie nie było trzeba dodatkowych zmartwień. Poza tym nie byłam wcale pewna, czy zgadzam się z dziadkiem. Nic złego się nie działo. I tę końcową myśl zapisałam w e-mailu.

Świetnie sobie radziła. Tony całusów. Wkrótce porozmawiamy.

Wysłałam to wszystko. Zgasiłam światło, wlałam do łóżka i słuchałam dochodzących z dużego pokoju żartów i śmiechów Coopera i mojej rodziny. Uszczęśliwiał mnie sam dźwięk jego głosu. Westchnęłam. Miałam rację, spędzanie całego tego czasu osamotnienia wyłącznie z Cooperem źle wpływało na mój wydział uczuć. Coś tu trzeba było zmienić.

Moja komórka leżała na szafce przy łóżku, podniosłam ją. Zamarzyło mi się, żeby zadzwonić do Rachel. Dlaczego nie powiedziałam jej, co czuję do Coopera? Zapewne z tego samego powodu, dla którego obróciłam moje uczucia do niego w żart, gdy okazało się, że ich nie odwzajemnia – nie chciałam burzyć dynamiki tej przyjaźni. Naszej zwartej grupce oszczędzono dramatów i nie chciałam być tą osobą, która to jednym ruchem zmieni.

Przewijałam swoje kontakty, aż natrafiłam na Lacey. Wzięłam kilka głębokich oddechów, wpatrując się w jej imię. Nie rwałam się zbyt do poznawania nowych ludzi. Miałam przyjaciół i było mi z nimi dobrze. Ale skoro mogłam przejechać się quadem i zjeść świerszcza, a świat się nie zawalił, to czemu nie to? Wcisnęłam klawisz.

Odebrała szybko.

– Słucham.

– Cześć, tu Abby.

– Abby! Cześć. Tak się cieszę, że dzwonicz! Nie wiedziałam, co u ciebie. Miałaś do mnie napisać.

– Tak, planowałam zrobić to przed samą imprezą, żeby mieć twój adres.

– Tak mi przykro, że nie załapałaś się do spektaklu. Zaważył bardziej twój brak doświadczenia niż cokolwiek innego.

– Doświadczenia? – mruknęłam. – Zabrzmiało znajomo.

– Jesteś zła? Jeszcze nie jest za późno. Odniosłam wrażenie, że nie marzy ci się jakaś mała rólka, ale jeśli tak, mogę cię wstawić jako piątą puzonistkę.

– Nie trzeba. Nie zawracaj sobie głowy. Traktowaliśmy to jako doświadczenie. Ja naprawdę nie mam tyle czasu, żeby poświęcić się spektaklowi.

– Doświadczenie?

O nie, czyżbym ją uraziła?

– Przepraszam, że zmarnowaliśmy twój czas, występując, chociaż nie zamierzaliśmy tego pociągnąć.

Roześmiała się.

– Daj spokój. Ale co miałaś na myśli, mówiąc o doświadczeniu?

– Długa historia. Szukam tego, co da mi świeże spojrzenie na moje malarstwo.

– Serio?

– Wiem, dziwnie to brzmi.

– Nie, wcale nie. Po prostu mnie zaskoczyłaś, bo i ja robię coś podobnego.

– Naprawdę? – Aż usiadłam w łóżku.

– Tak, ja i kilkoro przyjaciół z warsztatów teatralnych. Żeby poszerzyć nasz ogląd rzeczywistości, mobilizujemy się do wchodzenia w nowe sytuacje. To pomaga nam w kreowaniu postaci i tego typu sprawach, uwalnia od rutyny i utartych sposobów myślenia.

– Dokładnie to samo. – Tak mnie to dowartościowało, że się uśmiechnęłam. Ilekroć rozmawiałam z Lacey, zawsze mnie zaskakiwała. Jakbyśmy nadawały na tych samych falach.

– A więc... – Lacey na chwilę umilkła. – Skoro nie dzwonisz w sprawie spektaklu ani imprezy, to chodzi o coś innego?

– Oo. Nie. Ja tylko... – Mam doła i potrzebuję rozmowy z kimś, kto nie jest Cooperem, a wszyscy inni przyjaciele przebywają za granicą. Tego nie mogłam powiedzieć. Zabrzmiałoby bardzo... samolubnie. Bo takie było. – Jak tam spektakl?

– Przygotowania idą pełną parą. W tym tygodniu będę musiała wziąć kilka dni wolnego ze względu na casting, który mam w Los Angeles.

– Casting do czego?

– Do filmu.

– Super.

– Stale w nich startuję i nic z tego nie wychodzi, staram się więc nie robić sobie wielkich nadziei. – Usłyszałam przytłumiony głos gdzieś w tle rozmowy z Lacey. Powiedział coś, czego nie zrozumiałam, ale ona

odpowiedziała: – Już idę.

– Musisz kończyć? – zauważyłam.

– Tak. To moja młodsza siostra. Ma pozmywać naczynia przed powrotem rodziców i jakoś udało się jej mnie przekonać, że moim obowiązkiem jest jej pomóc.

– Widocznie jest bardzo przekonująca.

– Owszem.

– Do zobaczenia na imprezie.

– Prześlę ci adres.

– Dzięki.

Rozłączyłyśmy się. Znow wyciągnęłam się na łóżku tak, że moja głowa wylądowała na poduszce. Z dużego pokoju dochodził śmiech Coopera. Mobilizujemy się do wchodzenia w nowe sytuacje. Lacey powiedziała, że jej też to służy. Wyglądało na to, że ta zasada sprawdza się również u mnie, w przypadku mojego malarstwa. Czy pomogłaby mi także odkochać się w Cooperze? Ponownie wzięłam telefon i wybrałam inny z kontaktów.

– Psst. – Światło dochodzące z korytarza podświetliło sylwetkę Coopera, stojącego w otwartych drzwiach mojego pokoju. – Naprawdę poszłaś spać? – upewnił się. – Jest jeszcze wcześniej.

– Powiedziałam już, że tak.

Wszedł i usiadł na podłodze, przy moim łóżku.

– Twój dziadek właśnie rozjechał mi kark.

– Wiem. O to chodziło. Tak przy okazji, zrobiłam to. Umówiłam się z Elliotem.

W ciemności rozbłysła biel zębów Coopera.

– Naprawdę?

Naprawdę. Zadzwoiłam od niego i zapytałam, czy chciałby pójść na tę imprezę ze mną, a on potwierdził. Zmusiłam się do wejścia w nowe doświadczenie, w nadziei, że to coś zmieni. Umawiałam się z chłopakami już wcześniej. Tylko przez ostatni rok nie.

– Naprawdę.

– Rewelacja. Zobaczysz, że będzie fajnie.

Przyciągnęłam poduszkę do piersi i zamknęłam oczy. Czemu w moich uszach zabrzmiało to zupełnie odwrotnie?

– Będzie fajnie.

Chyba za mało włożyłam w to entuzjazmu, bo Cooper dodał ciszej:

– Chociaż daj mu szansę. Wydaje się całkiem sympatyczny.

Kiwnęłam głową, nadal nie otwierając oczu.

– Okej, dam mu szansę.

Nawet przez zamknięte powieki czułam, że uśmiech Coopera rozświetlił cały pokój, a we mnie wszystko promieniało.

– Świetnie – powiedział.

– Świetnie – powtórzyłam, ciasno przyciskając do siebie poduszkę.

Przeczesał mi dłońią włosy.

– Dobranoc.

Kiedy otworzyłam oczy, już go nie było – zamknął za sobą drzwi. W miejscach, gdzie jego palce dotknęły mojej głowy, jeszcze mrowiła mnie skóra.

– Dobranoc – szepnęłam.

Rozdział 16

„Wolisz, żebyśmy spotkali się na imprezie czy jechali razem?”

Ten SMS od Elliota zastał mnie w muzeum, akurat gdy oparta na kiju od mopa, wpatrywałam się w obraz przedstawiający przekrojone na pół jabłko i jego niebieskie wnętrze, uradowana, że wreszcie uwolniłam się od kasy biletowej. Założyłam już, że randka oznacza podwiezienie, i oto teraz otrzymałam prawo wyboru. Nie mogłam się zdecydować, co wolę.

Impreza miała się odbyć za pięć dni. Korciło mnie, żeby powiedzieć, że się rozmyślałam. Że czwarty lipca zawsze spędzałam na molo. Że obserwowałam, jak fajerwerki rozświetlają połacie oceanu błękitem, zielenią lub różem. I że śledziłam odbicie tych samych kolorów w oczach Coopera. I chyba tu właśnie pojawiał się problem. Robiłam bowiem tego dnia zawsze to samo, rok po roku, jednocześnie oczekując coraz to innych efektów. Kto w ten właśnie sposób zdefiniował obłęd? Einstein? Ktokolwiek to był, wiedział, co siedzi mi w głowie.

Kciuki już tylko czekały na to, bym coś odpisała, gdy na korytarzu pojawił się pan Wallace.

– Abby, weźmiesz w sobotę o czwartej oprowadzenie po muzeum grupy z letniego przedszkola? Zgłoszenie przyszło przed chwilą, a wszyscy moi przewodnicy są zajęci.

– W sobotę?

– Tak. Wiem, że normalnie nie oprowadzasz wycieczek, ale to by mi naprawdę pomogło.

Oprowadzenie grupy po muzeum było dla mnie pracą jak z marzeń. Cooper będzie miał w sobotę kolejny wyścig. Napisał mi o tym dziś rano. Start był przewidziany na drugą. Najwyżej nie będę mogła potem poświętować.

– Dobrze – odpowiedziałam. – Przyjdę.

– Wspaniale. Dziękuję. Poszukaj, czy w szafie znajdzie się pasująca na ciebie marynarka. – Pan Wallace przyjrzał się mopowi, obrazowi obok nas, a potem mojemu telefonowi. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Podniosłam komórkę. – Tylko mój mózg spauzował, próbując podjąć decyzję.

Mruknął na znak zrozumienia.

– Nie znoszę, kiedy mi się to zdarza.

– Właśnie. Ja też.

Pan Wallace już ruszał z powrotem.

– Mam jeszcze dwa tygodnie, prawda?

Odwrócił się zdumiony.

– Nie, wycieczka przyjdzie w tę sobotę.

– Zgadza się. To wiem. Chodziło mi o wystawę. Przyjmowanie zgłoszeń zamyka pan za dwa tygodnie, prawda?

– Tak. Ale myślałem, że już o tym rozmawialiśmy. – Widoczne na jego twarzy zmęczenie zdawało się mówić: I to dlatego zesłałem cię do kasy biletowej – żeby uniknąć tej rozmowy.

– Proszę o szansę. Pracuję nad pogłębieniem siebie.

– Nie wyobrażam sobie, żeby w tak krótkim czasie coś w twojej technice mogło się na tyle zmienić, żeby wpłynąć na moją decyzję.

– Proszę po prostu o szansę, żeby tego dowieść.

Westchnął ciężko i chyba jedynie supersmętny, błagalny wyraz, który przybrała moja twarz, sprawił, że usłyszałam:

– Jeszcze się zastanowię.

– Dziękuję panu!

– Abby, nie rób sobie większych nadziei. Nie spełniasz wymagań odnośnie do wieku, a do tego masz naprawdę silną konkurencję. – Po tych słowach odszedł.

Wymuszona była ta zgoda, ale i tak dała mi nadzieję, której potrzebowałam, by kontynuować swój plan.

Gdy ruszyłam się, by znów zamoczyć mopa w wiadrze, uświadomiłam sobie, że nadal mam w ręce komórkę, ustawioną na pisanie wiadomości. Wysłałam dwa SMS-y. Pierwszy do Elliota.

„Po prostu spotkajmy się na miejscu”.

Samym wybraniem się na tę imprezę już coś zmieniałam. Nie miałam ochoty czuć się uwiązana.

Drugą wiadomość wysłałam Cooperowi.

„Hej, w sobotę nie będę mogła świętować z tobą po wyścigu. Będę wtedy przekonywać czterolatków, że sztuka jest ciekawsza niż podjadanie pyszności”.

Schowałam telefon i zanurzyłam mopa w mydlinach. Jeszcze nie zdążyłam go wyjąć, a już poczułam w całym udzie, jak komórka wibruje.

Pomyślałam, że to będzie Elliot, ale okazało się, że Cooper.

„Nawet mnie nie potrafisz przekonać o wyższości sztuki nad podjadaniem. Jak tego dokonasz?”

„Jeszcze nie wiem. Zwłaszcza że połowa obrazów przedstawia jedzenie”.

„Ale na wyścigu będziesz, tak?”

„Na pewno”.

„Dzięki”.

„Muszę podgonić listę i namalować dwa obrazy. Podsuń mi jakiś pomysł”.

„Zastanowię się”.

„Skończyłeś już swoją klasykę?”

„Nie”.

„Ja swojej też nie”, napisałam.

„Okej. Ja też nie chciałbym być skazany na siedzenie ze mną w samochodzie”.

Zmarszczyłam czoło, całkiem ogłupiała, ale dotarło do mnie, że wyskoczyła mi odpowiedź Elliota. Odpisałam: „Nie o to chodzi. Raczej o to, że nie chciałabym czuć się uwiązana na imprezie”.

„Wyjdziemy, kiedy zechcesz”.

Zanim zdążyłam opowiedzieć Elliotowi, komórka znów zabrzęczała.

„Co to w ogóle znaczy czas zwątpienia?”, chciał wiedzieć Cooper. Jak przez mgłę przypominało mi się to sformułowanie z początku *Opowieści o dwóch miastach*.

„Czytasz od początku? Przecież ci streściłam. Nie zaufałeś mojemu streszczeniu?”

Wróciłam do SMS-a od Elliota i odpowiedziałam: „Okej, jadę z tobą. Masz mój adres?”. I tak pierwotnie to planowałam.

„Nie, ale jeśli mam uznać tę książkę za przeczytaną, musiałem poznać chociaż ten słynny akapit. Nie robię nic połowicznie”, odparł Cooper.

„Poza zadaniami z chemii. I wypracowaniami z angielskiego. I sprzątnięciem swojej łazienki”.

„Niech ci będzie. Z rzeczy, na których mi zależy”.

Uśmiechnęłam się. Zależało mu na tej liście. Uszczęśliwił mnie tym.

Przyszedł kolejny SMS od Elliota. „Ja już wiem, gdzie mieszkasz. Nie żebym cię śledził. Mój najlepszy przyjaciel mieszka na twojej ulicy i kiedyś widziałem, jak zajeżdżasz pod dom”.

„Twój najlepszy przyjaciel?”

Cooperowi odpisałam: „To epoka sceptycyzmu. Albo niewiary”.

„Ty. A czemu?”, odpowiedział Cooper w niecałą sekundę po tym, jak wcisnęłam „Wyślij”.

Co ja? Co to miało znaczyć? Że ma mnie za epokę niewiary? Owszem, miałam wrażenie, że zaczynam na niego patrzeć nieco sceptycznie, ale przecież nie mógł tego wiedzieć. Jeszcze raz przyjrzałam się temu SMS-owi. Ups. Pomyliłam wiadomości.

„Nie, naprawdę tam mieszka. Ben Williams. Znasz go?”, odpisał Elliot na tekst o sceptycyzmie.

„Wysłałam nie tego SMS-a. Miał trafić do kogoś innego”, powiadomiłam ich obu.

Pierwszy odpowiedział Elliot. „Oo. Teraz to ma sens. W takim razie widzimy się we wtorek. O ósmej?”

„Pasuje”.

Cooper odezwał się kilka minut później. „Do kogo to miało być?”

„Do Elliota”.

„Czemu pytałaś Elliota o jego najlepszego przyjaciela?”

„Bo wolałabym wiedzieć, gdyby takiego szukał. Ja też poszukuję odmiany”.

„Bardzo śmieszne”.

„Też tak uważam. Muszę lecieć. Podłoga sama się nie umyje”.

„Myjesz podłogi!? Wypuścił cię z biletowego czyścica??”

„Tak! Tak się cieszę!”

„Jesteś jedyną znaną mi osobą, którą cieszy mycie podłóg”.

„Co ty. Sztuka”.

„BTW, super, że piszecie z Elliotem”.

„Dobra, dobra”.

Po skończonej zmianie wspięłam się na szerokie schody ze szklaną balustradą i powoli obeszałam sale, starając się zdecydować, które obrazy i inne eksponaty pokażę dzieciom podczas sobotniego oprowadzania. Wystawy cały czas się zmieniały. Bardzo niewiele dzieł rezydowało na stałe. Chodziło przecież o to, co przyciąga sponsorów – o coraz to nowych artystów. Było też jednak coś stałego, co w oczach dzieci zawsze było hitem. Pan Wallace zatrudnił kiedyś mistrza papieroplastyki, który stworzył z papieru falującą, a zarazem wirującą konstrukcję, zajmującą w korytarzu na piętrze cały kąt. Była ona trójwymiarowa i fascynująca. Obowiązkowy punkt

programu.

Niedawno wypożyczyliśmy nowe dokonanie współczesnej sztuki, któremu dopiero teraz miałam okazję się przyjrzeć. Dzieci powinny docenić jaskrawe barwy i mocno zarysowane kontury tego obrazu. Kiedy latem organizowaliśmy warsztaty artystyczne, odkryłam, że maluchy uwielbiają malować żywymi kolorami. Wspomnienie tych dziecięcych malunków podsunęło mi pomysł.

Zbiegłam i poszukałam pana Wallace'a. Zatrzymałam się przed nim prawie bez tchu.

– Możemy zrobić małą wystawę obrazków tych dzieciaków?

– Jakich dzieciaków?

– Tych przedszkolaków, które przyjdą. Może pan skontaktowałby się z ich nauczycielką i poprosił, żeby przed sobotą dostarczyła jakieś ich prace plastyczne, a ja powiesiłabym je na górze? Sądzę, że to byłoby dla nich frajda.

– Przyjdiesz wcześniej i to zrobisz?

– Jak najbardziej.

– To się powinno dzieciom spodobać.

– Oczywiście, że tak. Każdy chciałby widzieć swoje prace na wystawie. – Nie chciałam tego aż tak zaakcentować, ale samo wyszło. I on to zauważył. Dokończyłam więc szybko i tym razem łagodniej: – Bardzo chciałabym to dla nich zrobić.

Pokiwał głową.

– Świetny pomysł, Abby.

– Dziękuję. – Niewykluczone, że to widok dzieciaków w jadłodajni nasunął mi tę myśl. A może po prostu to, że zmuszanie się do myślenia inaczej napępniało nowymi pomysłami też inne sfery mojego życia. Tak czy inaczej, cieszyłam się, że na coś takiego wpadłam.

Kiedy kierowałam się do wyjścia, komórka rozbrzęczała mi się w kieszeni, ogłaszając połączenie przychodzące. Z odebraniem zaczęłam, aż będę już na zewnątrz. Wietrzyk targał mi włosy, niosąc ze sobą zapach oceanu.

– Słucham? – Zamiast pójść do samochodu, wybrałam przejście dookoła budynku, prowadzące na taras widokowy. Na skarpie stały tam dwie ławki, z których wspaniale oglądało się widoczny w dole ocean.

– Abby! – zawołał jakiś głos, odległy, a jednocześnie zaaferowany.

– Cześć?

– Mówi Rachel! Znalazłam budkę telefoniczną! W Austrii można dzwonić z budki!

Klapnęłam na ławkę.

– Rachel! Jak dobrze słyszeć twój głos. Strasznie się stęskniłam!

– Pamiętasz, jak się zastanawiałam, czy spodoba mi się życie bez telefonu? – Westchnęła. – Nie spodobało mi się. Ani trochę. Bogu dzięki, że rodzice nie mieli racji.

Roześmiałam się.

– Opowiadaj.

– Poza brakiem telefonu jest w sumie fantastycznie. Ty ze swoją artystyczną duszą byłabyś wniebowzięta. Tu jest przepięknie i na każdym kroku widać całe mnóstwo dzieł sztuki. Stare budowle, historia, kultura.

– Byłaś już we Włoszech i całowałaś się tam z jakimś przystojniakiem?

– Zaczęliśmy od Włoch, ale ciężko się całować, gdy na karku stale siedzą ci rodzice. Ale młodych seksownych Włochów było tam na pęczki, więc flirt mam zaliczony. Będziemy tam musieli pojechać po maturze. Całą czwórką.

– Czwórką?

– Ubyło nas po moim wyjeździe? A może przybyło?

– No tak. Wliczając Coopera i Justina.

– O nie, za długo mnie nie ma. Wszystko się pozmieniało.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Dalej się trzymamy. Czwooro amigos.

– Ty naprawdę to powiedziałaś? Chyba za dużo przesiadujesz tego lata ze swoim dziadkiem. Nie powinnam cię tak zostawiać.

– Święta prawda. Stęskniłam się za tobą – powiedziałam.

– Ja za tobą też. A tak poważnie, dzieje się coś nowego?

– Nic. Maluję sobie.

– Jakieś wieści od Justina?

– Czasem przysyła fotki. Sądzę, że częściej pisze do Coopera.

– Wyślesz do niego SMS-a w moim imieniu? Napisz mu: „Przyjaźń rządzi się równymi prawami, albo wszyscy dostajemy to samo, albo nikt. Nie bądź przyczyną rozpadu naszej paczki”.

– Wow, jak dramatycznie.

– On uzna to za zabawne. Poza tym to czysta prawda.

– Czy to, że wszyscy dostajemy to samo, oznacza, że zaraz zadzwonisz do Coopera?

Warknęła.

– Masz rację. Chyba muszę do niego zadzwonić.

– A w tym SMS-ie do Justina mam dodać coś w stylu „Stęskniłam się za tobą?” albo „Mam nadzieję, że praca nad szkołą dla niepełnosprawnych się posuwa?”.

Parsknęła śmiechem.

– Dodaj: „Dzięki za wzięcie na siebie całej puli dobrych uczynków przewidzianych dla naszej paczki”.

– Zaraz mu to wyślę.

– Muszę kończyć. Rodzice stoją pod taką jedną piekarnią po drugiej stronie ulicy i machają do mnie rękami. Już gromadzą się wokół nich ludzie, jakby potrzebowali pomocy. A ja muszę jeszcze zadzwonić do Coopera, więc czasu mam mało.

– Okej. Pozdrów go ode mnie.

– Okej. Czekaj. A czemu? Rozmawiacie jeszcze z Cooperem, tak?

– Oczywiście.

Odetchnęła z ulgą.

– Okej, to dobrze. Postaram się wkrótce jeszcze do ciebie zadzwonić.

– Okej, cześć.

– Cześć.

W ucho wdarło mi się donośne kliknięcie i połączenie się urwało. Uśmiechnęłam się. Tego mi właśnie brakowało – przyjaciół w komplecie. Już nie mogłam się doczekać jej powrotu. Przez ten miesiąc bez Rachel nie pamiętałam, czemu nigdy nie powiedziałam jej o tym, co czuję do Coopera. Teraz, gdy sobie to przypomniałam, ponownie ucieszyło mnie, że nic nie mówiłam. Relacje między nami wszystkimi osiągnęły idealną dynamikę i kiedy tamci się zjadą, znów wszystko będzie grać perfekcyjnie. Przesłałam Justinowi wiadomość od Rachel i pojechałam do siebie.

Rozdział 17

Moja mama się na ciebie wścieknie za wnoszenie do naszego domu żarcia z McDonalda – oznajmiłam następnego dnia, trzymając na kolanach torbę Coopera i czując na gołych nogach ciepło frytek. Starłam się obciągnąć szorty, ale nic to nie dało.

– Wiem. Ta kobieta ogląda zdecydowanie za dużo filmów dokumentalnych. Powinna żyć w błogiej ignorancji, jak my wszyscy.

– Sądzisz, że jej problemy biorą się też z tego? Za dużo ogląda i czyta na temat zagrożeń tego świata?

– Nie wiem. Może. Według mnie bardziej niż większość ludzi przejmuję się tym, co przeczytała lub usłyszała.

– Wiem. Może dałoby się poprawić sytuację. Gdyby tak trzymała się z dala od internetu i literatury faktu. – Mogłabym zasugerować to dziadkowi. Uniknęlibyśmy tak dramatycznego kroku, jak szukanie pomocy u terapeuty.

– Wydaje mi się, że ona chłonie wszystko, czego się dowie, a potem się tym tak długo zamartwia, że rodzi się z tego irracjonalny lęk.

Samochód zwolnił, a Cooper, wpatrzony w przednią szybę, zerknął gdzieś w bok. Powędrowałam wzrokiem za jego spojrzeniem, w prawo, ku wielkiemu drzewu rosnącemu na środku pustej działki. Opierał się o nie jakiś mężczyzna. Nie, nie opierał się. Był do niego przykuty.

– Zatrzymaj samochód – poleciłam. Zjechał do krawężnika, a ja opuściłam szybę.

– Proszę pana? Nic panu nie jest?

Mężczyzna wzrok miał wbity w ziemię, ale słysząc mój krzyk, podniósł głowę.

– Czy to nie jacyś złodzieje zakuli pana w łańcuchy?

Z boku doleciał mnie śmiech Coopera.

– Nie – odkrzyknął tamten. – Sam to sobie zrobiłem.

– W jakim celu?

Uśmiechnął się szeroko.

– Szykuje się budowa osiedla i chcą wyciąć to drzewo.

– Aha. Rozumiem. A pan go broni?

– Tak.

– Powodzenia!

Pomachał nam, a Cooper ruszył.

– Wolałabyś na zawsze zamieszkać wśród wierzchołków drzew czy pod wodą? – zapytał.

– Na pewno w odmętach. O ile mogłabym oddychać pod wodą. Bo mogłabym oddychać?

– Jasne. W takim razie życie na drzewach też musiałyby wymagać jakiegoś przystosowania. Jakie by się przydało?

– Chwytne stopy?

– Nie dziwię się, że wybrałaś syrenę, skoro drugą opcją była małpa.

Uśmiechnęłam się i ukradłam mu frytkę.

Spoważniał.

– Nie zjadaj mi frytek, Abby. Powiedziałaś, że nie masz ochoty na frytki, na co ja, że jeśli nie dostaniesz swoich, będziesz podkradać moje, a ty się zarzekałaś: nie, nie będę.

– Odtwarzasz rozmowę sprzed pięciu minut?

– Tak, bo widocznie o niej zapomniałaś.

– To była opłata za trzymanie twojej tłustej torby.

Zabrał mi ją z kolan i położył na swoim lewym udzie.

– To nie było zabawne – stwierdziłam.

– I tak jestem najzabawniejszy. – Wyjął z torby frytkę i zjadł.

– Skoro o tym mowa, rozmawiałaś wczoraj z Rachel?

– Tak, ale czemu „skoro o tym mowa”? Usiłujesz zasugerować, że to Rachel jest najzabawniejsza?

– Nie, ja jestem. „Skoro o tym mowa” wiązało się z tym, że ona chyba dobrze się bawi.

– Na to wyglądało. Mówiła ci o wyprawie czworga amigos do Europy, zaplanowanej na następne lato, po maturze?

– Tak nas nazwała? Czworgiem amigos? A miała ze mnie ubaw, że tak powiedziałam!

Roześmiał się.

– Zjazd całej naszej paczki na zwieńczenie lata zapowiada się niesamowicie.

Gdy już byliśmy u mnie w domu, zadbałam, by trzymać się z dala od Coopera i jego torby trucizny.

– Oto cała ty. Zjadłabyś w samochodzie, a mamie się nie przyznała.

– Wiem, wobec kogo być lojalna.

Ale mama nic nie powiedziała. Spojrzała tylko znacząco na torbę, kiedy weszliśmy, a potem zapytała, co będziemy robić.

– Zamierzamy doczytać naszą klasykę, żeby w końcu odfajkować ją na liście.

– Ale ja, proszę pani, najpierw zapełnię sobie żołądek tym śmieciowym jedzonkiem. A potem będę musiał spalić kalorie. Może wybrałaby się pani z nami na spacer za dziesięć minut?

Zaskoczył mnie tą propozycją. O niczym takim nie rozmawialiśmy. Po prostu wiedział, że się o nią martwię.

– Chyba tak zrobię, Cooper.

Wrzucił frytkę do ust, a ja, kiedy mama wróciła do książki, posłałam mu bezgłośnie „dziękuję”.

Mrugnął do mnie.

Kiedy bez żadnych oporów ze strony mamy przeszliśmy się do parku i z powrotem, ona uparła się, aby pokazać Cooperowi mój skończony już obraz ze wschodem słońca. Jakby był jakimś arcydziełem. Może to właśnie był jeden z moich problemów. Moje otoczenie zawsze uważało te obrazy za znacznie lepsze, niż rzeczywiście były. Od lat podsycali moją zafałszowaną samoocenę.

Z boku pod ścianą, przykryte miękką bawełną, stały obrazy z reflektorem i quadem. Zastanowiłam się, czy ich też nie pokazać, ale z tego zrezygnowałam. Jeśli miałyby się przydać na wystawę, wolałam pewne niespodzianki zostawić na później.

Po gruntownej analizie namalowanego wschodu słońca przeszliśmy z Cooperem do mojego pokoju.

– Abs, ten obraz jest naprawdę dobry.

– Dzięki.

– Dlaczego to zabrzmiało tak, jakbyś mi nie uwierzyła?

– Dlatego że pan Wallace zgodził się ponownie przyjrzeć moim obrazom, a ja czuję, że będą musiały być sto razy lepsze od tych, które już widział. Nie wiem, czy już takie są. – Rzuciłam mu książkę, którą zostawił na biurku tuż po przyjeździe do mojego domu, jeszcze przed naszym wypadem do fast foodu, swoją zaś wyciągnęłam z górnej szuflady szafki nocnej, po czym usadowiłam się na łóżku. Gdyby udało mi się dziś skończyć tę książkę, przez kilka dni nie będę musiała przejmować się kolejnymi punktami do

odhaczenia. – Najpierw muszę się uporać z listą.

– Znów ta magiczna lista. – Cooper podszedł do niej i przez długą chwilę studiował. – Czemu już odfajkowałaś „Mieć złamane serce”?

Po tym pytaniu wspomniany organ zmarł mi w piersi. Od roku udawało mi się unikać tego tematu. Naprawdę chciałam to teraz wyciągać? Niewzruszenie patrzyłam Cooperowi w oczy, choć wołałabym uciec wzrokiem.

– Bo mam to już z głowy.

Spojrzenie Coopera wbiło się w podłogę, a potem znów spotkało z moim. Zrozumiał.

– To dlaczego w ogóle wpisałaś to na listę? – zapytał cicho.

– Sama nie wiem – odparłam. – Miałam to już zaliczone, więc zapisałam. Chciałam chyba poczuć, że mam już w sobie choć odrobinę głębi.

Powoli pokiwał głową. Chcieliśmy szybko załatwić tę kwestię. Nadal ignorowaliśmy to, co przed rokiem się wydarzyło. Mogłabym odpowiedzieć. Ociągać się. Powiedzieć cokolwiek. Tyle że już raz to zrobiłam. Jeśli czuł do mnie coś innego niż przed rokiem, na niego przypadła kolej, by to wyjawić.

– A jak z tobą? Też możesz wykreślić ze swojej listy „złamane serce”? – Rzeczywiście nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Zdarzyło mi się być świadkiem niemal wszystkich jego związków, mimo to nie miałam pojęcia, czy którąś z dziewczyn naprawdę kochał. A że nigdy mi się do tego nie przyznał, zakładałam, że nie.

– Nie. Nie mogę – odpowiedział. Zaskoczyło mnie to, że poczułam ulgę.

Wskoczył na łóżko obok mnie, lądując na plecach, i otworzył książkę.

Moja komórka ogłosiła brzęczeniem nadejście e-maila. Otworzyłam go. Poza tatą nikt ze mną tak nie korespondował, więc to, że w skrzynce zobaczyłam jego imię, nie było żadnym zaskoczeniem.

– Twój tata? – zapytał Cooper, zerkając na mnie znad książki.

– Tak. – Przeczytałam ten mail po cichu.

Do mojej córki, która w mailowaniu jest lepsza od wszystkich innych moich córek. Od jej taty, który przez kilka dni nie mógł się dopchać do komputera.

Czemu ja nigdy nie zachęciłem Cię do oglądania wschodu słońca? A czy Ty kiedykolwiek spróbowałaś się obudzić o piątej rano? Oto odpowiedź. Ciesz się, że nie muszę zadawać dwudziestu pytań w kwestii Elliota, bo aż tyle nie przychodzi mi do głowy. Poza pytaniem o jego nazwisko, żebym mógł

chłopaka sprawdzić. Co z tym drugim chłopcem tak dla Ciebie ważnym? Jak się nazywał? Mama mówi, że nadal często u Was bywa. Mam nadzieję, że dobrze Cię traktuje. Przez następne kilka tygodni będziemy tu zajęci przenosinami. Jeśli nie będę mógł mailować / dzwonić tak często jak zwykle, z góry za to przepraszam. Ciebie, mam wrażenie, absorbuje Twoja lista. Zadbaj, żebym był na bieżąco, bo lubię słuchać o Twoich przygodach.

Uśmiechnęłam się i wskazałam Cooperowi biurko, bo był bliżej.

– Możesz mi podać laptop?

Sięgnął po niego, podniósł i położył mi na nogach.

– Co nowego u twojego taty?

– Niewiele. Ze względów bezpieczeństwa raczej nie opowiada mi w mailach, co się tam u nich dzieje. I dlatego przeważnie wypytuje o mnie.

– Czy twój tata mnie lubi? Kiedy jest w domu, nie potrafię tego rozpoznać.

– Mój tata cię lubi.

– To świetnie, bo trochę się go boję.

Roześmiałam się.

– Jest niegroźny.

Otworzyłam laptop i napisałam odpowiedź, z nadzieją, że dostanie ją, zanim przeniosą obóz.

Od Twojej jedynej córki, która wiedząc o istnieniu innych, walczyłaby z nimi na śmierć i życie, żeby utrzymać ten tytuł. Ha. Ha. Dwa wybuchy śmiechu. Jeden za pomysł ze sprawdzeniem chłopaka, a drugi za udawanie, że nie wiesz, jak Cooper ma na imię. Dzięki za to. Wiesz, że uwielbiam się śmiać. A co do bieżących informacji, przedzieram się przez Zbrodnię i karę i już prawie kończę. Próbowałam prażonych świerszczy. Nie polecam, ale z lodami smakują przyzwoicie. Pan Wallace wyznaczył mnie na tę sobotę do oprowadzania po muzeum grupy przedszkolaków, więc powinno być wesoło. No i postanowiłam się umówić z Elliotem Nazwiska Nie Podam. Informuję Cię o tym tylko dlatego, że wiem, iż robi to mama. To nic poważnego. Poza tym trzymaj się bezpiecznie!!! Buziaki i uściski.

Zanim zamknęłam laptop, kliknęłam w ikonkę „Zapisz” u góry ekranu.

– Wiesz – powiedział Cooper, kiedy na ekranie pojawiła się nowa strona – mogłabyś wreszcie wysłać zgłoszenie zamiast wpatrywać się w tę stronę,

ilekroć odpalisz komputer... lub telefon.

– Wyślę. Czekam tylko, jak rozwinie się sprawa z wystawą. Potrzebna mi sprzedaż.

Cooper dziabnął palcem w ekran.

– Wymagania opcjonalne. Kiedy ostatnio sprawdzałem, określenie „opcjonalne” oznaczało „mile widziane”.

– O udział w zimowych warsztatach ubiega się mnóstwo ludzi. Chcę sobie zapewnić wszelkie atuty.

– Zafiksowałaś się – prychnął Cooper.

– Wcale nie.

– Powinniśmy dokończyć listę, żebyś mogła pokazać panu Wallace’owi obrazy i nie szukała dalszych wykrętów.

Ignorując tym razem docinek, przyznałam:

– Masz rację. Zajmijmy się czymś z serii „spróbuj czegoś nowego”, bo kilka tych pozycji zostało do wypełnienia. Gdy to powiedziałam, coś mi się przypomniało. – Zabrałeś Iris do tego podziemnego ogrodu? To by ci się liczyło.

– Nie, nie miała ochoty. Wylądowaliśmy w kinie na plaży.

– Hej, kino na plaży to nasz patent.

– Wiem. Przepraszam. Nie chciała iść do ogrodu.

Przebolałam to.

– Z jakim potworem ty się umawiasz?

Walnął mnie w ramię książką, a potem ją otworzył. Ja swoją również, a potem moja lewa dłoń opadła na jego prawą rękę i już na niej została. Kiedy wolał poświęcić dwukrotnie więcej czasu na przewrócenie kartki jedną ręką niż użyć drugiej, uśmiechnęłam się, ale jak zwykle nie pozwoliłam sobie doszukiwać się w tym za wiele znaczenia.

Cooper pożegnał się przed dziesiątą, a ja poszłam do pokoju mamy, która akurat wieszała ubrania.

– Hej – powiedziałam. – Przychodzę z reklamacją.

– Słucham – odparła.

– Jak to się dzieje, że kiedy jest tu Cooper lub tata, nie masz problemu ze spacerami do parku, a kiedy jesteśmy tylko my, nie możesz?

Znieruchomiała z koszulą w połowie zaczepioną na wieszaku i zmarszczyła nos.

– Z wami też dużo wychodzę.

– Ale z nimi częściej.

– Sama nie wiem. Obaj mają w sobie taki luz i chyba mi się to udziela.

– A ja nie mam?

– Masz, kruszynko.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– Wygląda na to, że nie tylko mnie ciągnie do Coopera.

– To miły chłopiec. Nic do niego nie mam, poza tym, że mąci w sercu mojej córki.

– Sama mu na to pozwalam.

Uśmiechnęła się kwaśno, ale nie zaprzeczyła.

– Pracuję nad tym – zapewniłam.

– To dobrze.

Patrzyłam, jak rozwiesza na wieszakach kolejne koszule i układa z nich stertę na łóżku. W rozmowach z dziadkiem, Cooperem lub tatą nieustannie starałam się bagatelizować to, że mama nigdzie nie wychodzi. Przekonywałam ich, że może mieć udane życie bez wypuszczania się poza nasze cztery ściany. Że nic wielkiego się nie dzieje. Może i nie, ale zaczynało do mnie docierać, że nie chodzi mi tylko o nią. Mówiąc szczerze, wiedziałam, że czasem chodziło mi o mnie. Potrafiłam przywołać w pamięci zaledwie kilka ważnych dla mnie zdarzeń, w których uczestniczyła, i to jedynie dlatego, że był tam też mój tata.

– Coś jeszcze? – zapytała, widząc, że nadal stoję bez ruchu.

Westchnęłam i siadłam na jej łóżku.

– Mamo.

Odwróciła się w moją stronę, skupiona wyłącznie na mnie.

Dłubałam wieszakiem w stosie ubrań, denerwując się tym, co zamierzam powiedzieć.

– Czy jeśli dokończę tę listę i jakoś odnajdę w sobie tyle głębi emocjonalnej, że zacznę malować jak Picasso, wybierzesz się do galerii, żeby obejrzeć moje obrazy na wystawie?

Zawahała się, a mnie ogarnęło rozczarowanie.

Powinnam na tym poprzestać, powiedzieć, że mniejsza o to. Ale obraz, na którym namalowałam ją tuż poza zasięgiem światła reflektora, obserwującą mnie z widowni, uzmysłowił mi, jak by to było widzieć ją na wystawie, więc cisnęłam dalej.

– Tata nie przyjdzie, bo nie ma go w kraju. Ale będzie Cooper, a także dziadek. Będziesz tam więc jak w swojej osobistej bańce ochronnej. Będą cię otaczać znajomi, życzliwi ludzie.

Zacisnęła wargi, widziałam napięcie na jej twarzy, ale jednak powiedziała:

– Tak, kruszynko. Z radością obejrzę twoje prace na wystawie.

– Obiecujesz?

– Tak.

Uśmiechnęłam się szeroko i poderwałam, żeby ją uściskać.

– To teraz muszę tylko przekonać pana Wallace’a, żeby dopuścił mnie do udziału w wystawie.

– Dopuści, moja genialna córko – zapewniła, głaszcząc mnie po plecach.

– Dopuści.

Rozdział 18

W centrum jest takie miejsce, gdzie można siedzieć ze stopami w wodzie, a małe rybki obgryzają ci z palców u nóg martwy naskórek”.

„A tak w ogóle, po co mi to mówisz?”, odpisał Cooper.

„Z powodu listy. Spróbuj czegoś nowego”. Potrzebowałam nowych obrazów, a nic nie przychodziło mi do głowy. Przyszła pora, by zmusić się do myślenia niekonwencjonalnego.

„Moja siostra ma złotą rybkę. Możesz wsadzić stopę do jej akwarium, jeśli cię to bawi”.

„Odpada. Fish spa”.

„Słabizna”.

„Jakoś nie słyszę, żebyś sypał pomysłami jak z rękawa”.

„Mój mózg ciągle się rozkręca”.

„A ja i tak tego spróbuję. Z tobą lub bez ciebie. Wciąż jeszcze mam trzy nowe rzeczy do wypróbowania, tak?”

„Beze mnie”.

„Ryb się boisz?” Chyba wiedziałabym, gdyby tak było. A nie miałam o tym pojęcia. Może natrafiłam na jego fobię i wymuszam na nim, żeby to zrobił wraz ze mną.

„Nie. Nie boję się”.

„To wybierz się ze mną, draniu”.

„Dzisiaj wyścig. Muszę się psychicznie przygotować, żeby wypaść jeszcze bardziej niesamowicie niż dotąd”.

„Niech ci będzie”.

„Widzimy się na moim wyścigu”.

– Wybieram się do fish spa – oznajmiłam, wchodząc do dużego pokoju. Mama i dziadek siedzieli na kanapie. On włączył sobie telewizor. Ona miała otwarty laptop. – Kto jedzie ze mną?

– Fish spa? – zapytała mama.

– Rybki ogryzą ci stopy z martwego naskórka.

– Ryby? Nie wystarczy ostra łąbka? – zdziwiła się.

– To nowe doświadczenie.

– Nie podłapiesz jakiegoś zakażenia? – Mama wyprostowała stopę

i poruszyła gołymi palcami.

– Nie przypuszczam.

Dziadek się podniósł.

– Przejadę się.

– Mamo? – Pisała na komputerze z takim zapałem, że zaniepokoiło mnie, czy nie szuka czegoś o bezpieczeństwie metody peelingu rybkami.

– Nie, dziękuję. Piszę e-mail do twojego ojca.

– Przekaż mu pozdrowienia i że opowiem mu o tych rybach.

Kiwnęła głową, nie podnosząc wzroku.

– Przekażę.

Siedzieliśmy z dziadkiem na wyłożonym kafelkami skraju podłużnego i płytkiego baseniku, przypominającego nieco brodzik. Nie czułam zapachu ryb. Pachniało raczej kadzidełkami i chlorem z gorących kąpeli, które minęliśmy po drodze do tego pomieszczenia. W wodzie stopy dziadka były wręcz obłożone przez ryby.

– Masz więcej martwego naskórka, bo jesteś stary – stwierdziłam. Moje nogi nie budziły zainteresowania.

– Jestem w idealnym wieku – odparł.

– W idealnym dla ryb.

Potarł mi włosy.

Temperatura wody była odrobinę niższa od panującej w tym wnętrzu i miałam wrażenie, że chłód pnie się po moich nogach.

– Jakie to uczucie? – zapytałam.

– Łaskocze.

– Tutaj chodźcie, rybeńki – powiedziałam, przesuwając lewą nogę bliżej prawej stopy dziadka. Podpłynęła do mnie jedna rybka, najwyraźniej zwabiona ruchem wody. Gdy dotarła, cała stężałam. A gdy już miała mnie skubnąć, zawyłam i czym prędzej wyciągnęłam nogi z wody.

Dziadek parsknął śmiechem.

– A to co? Strach cię obleciał?

– Nie, po prostu mnie zaskoczyła.

– Zaskoczyła? Cały czas ją obserwowałam.

– No dobra. Widziałam, że nadpływa, ale potem przestraszyło mnie, że jest tak blisko.

Ruchem głowy wskazał moje wciąż jeszcze uniesione nogi.

– Spróbuj ponownie. Dasz radę.

To były tylko ryby. I do tego malutkie. Wzięłam głęboki oddech i powoli znów zanurzyłam stopy. Samotna rybka, która przedtem odważyła się podплыnąć do moich stóp, już gdzieś odplynęła, znów więc musiałam czekać. I właśnie to czekanie okazało się najbardziej denerwujące. Czekanie, a potem obserwowanie, jak nadplywa. Tym razem nie cofnęłam nóg. Czułam lekkie łaskotanie, gdy ryba raz po raz ponawiała kontakt.

– Wcale nie boli – zauważyłam.

– Mówiłem, że nie będzie.

– A ja sądziłam, że lekko mijasz się z prawdą.

Tuż potem pomyślałam, że dziadek mógłby się obrazić, a przynajmniej coś takiego udać, bo przecież zasugerowałam, że okłamałby mnie. Ale tylko lekko pokręcił głową i się uśmiechnął.

Dłuższy czas przypatrywałam się tej rybie, potem powiedziałam:

– Wczoraj wieczorem zapytałam mamę, czy wybrałaby się zobaczyć moje obrazy... Oczywiście, jeśli w końcu załapię się na tę wystawę.

– Zapytałaś? – upewnił się.

– Nie powiedziała ci? – To mnie zmartwiło. Mówili sobie wszystko.

– Może wyleciało jej to z pamięci.

Odrobinę poruszyłam palcami stopy, ale rybki to nie zniechęciło.

– Sądzisz, że przyjdzie?

– Ja przyjdę. – Uśmiechnął się do mnie.

– Uważasz, że ona nie?

– Uważam, że bardzo mocno się postara.

Moje stopy otaczało coraz więcej ryb.

– Obiecała. A kiedy obiecuje, zawsze się tego trzyma.

– Masz rację. Zawsze.

Trafiliśmy z dziadkiem na korek i po raz drugi ledwie zdążyłam na wyścig Coopera. Gdy odszukałam jego rodzinę, zaskoczyło mnie dopełnienie tej grupki jeszcze jedną osobą – Iris. Przynajmniej wyglądała jak ta dziewczyna, którą widziałam dotąd raz, do tego przelotem. Wydała mi się śliczniejsza, niż zapamiętałam. Ciemne włosy miała ściągnięte w wysoki koński ogon, a w rękach trzymała tablicę z wypisanym imieniem Cooper. Ja swoją więc opuściłam i trochę zwolniłam kroku.

– Hej – powiedziałam, gdy do nich podeszłam. Amelia podskoczyła wesoło, potem mnie uściskała.

– Wieki cię nie widziałam.

- Wiem. Ostatnio jakoś nie zachodziłam do was. Sorki.
- Znacie się z Iris? – zapytała pani Wells.
- Nie – odparła Iris w tej samej chwili, gdy powiedziałam:
- Tak.
- Naprawdę? – zdziwiła się.
- Kilka tygodni temu spotkałyśmy się na wieczorze filmowym na plaży.
- To byłaś ty? – Wyciągnęła rękę. – Miło mi cię poznać.
- Nawzajem. – Potrząsnęłam wyciągniętą dłonią. – Jestem Abby.
- Jesteś koleżanką Coopera? – zapytała.

Nie wiedziała, że się z nim kumpluje? Nawet się o mnie nie zająknął? Przekrzywiłam głowę, przypatrując się jej minie. Pytała zupełnie poważnie. Może jednak nie spędzali ze sobą aż tak wiele czasu. Chyba więc nie powinno mnie to dziwić.

- Tak, kolegujemy się.

Kiwnęła głową z uśmiechem.

- Zdaje się, że ruszają – zauważył pan Wells.
- Och! – Iris ponownie skupiła się na zawodach. – Jakie to ekscytujące.
- Jeszcze nie widziałas wyścigów na wydmach?
- Nie. Jestem pierwszy raz.
- A jesteś stąd?

- Też nie. Dwa lata temu sprowadziliśmy się tu z Ohio.

– Zaraz, chodzisz do Pacific High? – Nie rzuciła mi się w oczy w szkole, ale przecież nie wszystkich kojarzyłam. Średnio znałam ludzi z naszej budy.

– Nie. Uczę się w Daltonie – odparła. Dalton Academy była szkołą prywatną i mieściła się na samej plaży. Mieli tam lekcje z biologii morza, a zamiast zwykłego wuefu można było wybrać surfing.

- O, super. Podoba ci się tam?

- Jest wspaniale.

Mężczyzna trzymający czerwoną chorągiewkę opuścił ją i kierowcy wystartowali.

- Który to Cooper? – zapytała Iris.
- Jasnozielony kask. – Wskazałam.

Wspięła się na palce i zapiszczała. Cooper wyskoczył i wylądował na przednich kołach, tylne zadzierając kilka sekund dłużej. Iris zaparło dech.

– Bez obaw – powiedziałam, wyczuwając u niej tak dobrze mi znany niepokój. – On się urodził na tych wydmach.

- Roześmiała się.

– Jego słowa.

– Właśnie... – Jej też oczywiście musiał to powiedzieć.

Nie pierwszy raz kibicowała tu Cooperowi jakaś dziewczyna. Ale widząc tę, tak spoufaloną z jego rodziną, tak podekscytowaną wyścigiem, po raz pierwszy poczułam się jak intruz, jak ktoś nie na swoim miejscu.

Cooper, jak zawsze, wygrał, a Iris oszalała, wywołując uśmiechy na twarzach państwa Wellsów.

Zerknęłam na komórkę. Powinnam wziąć prysznic i ubrać się nieco bardziej oficjalnie, ze względu na wycieczkę po muzeum, do tego miałam jeszcze do rozwieszenia obrazki, które dostarczyła mi przedszkolanka. Do oprowadzania dzieci została mi przeszło godzina. Mogłam więc tu jeszcze chwilę pobyc i przynajmniej przywitać się z Cooperem. Może w jego obecności znów wszystko wyda się normalne. Poszliśmy razem do przyczepy, gdzie miał na nas czekać.

– Ale było fajnie. Dobry jest – stwierdziła Iris, równając się ze mną, gdy szliśmy.

– Owszem. Nieustraszony.

Kiedy dotarliśmy do przyczepy, Cooper już tam czekał, bez kasku. Zaczął od uściskania Iris.

– Podoba mi się twoja tablica.

Pisnęła uszczęśliwiona.

– Znasz Abby? – zapytał.

– Tak, już się poznałyśmy – odparła. Czekałam, że zapyta na przykład: „Czemu nic dotąd nie wspominałeś o Abby?”. Nie powiedziała nic. Liczyłam, że on oznajmi coś w stylu: „To moja najlepsza w świecie przyjaciółka”. Też się nie doczekałam.

– Jedziemy to uczcić? – zapytała pani Wells.

– Ja muszę lecieć, ale wy bawcie się dobrze – oświadczyłam.

– Gdzie się wybierasz? – zdumiał się Cooper. – Nie będziesz świętować?

– Mam dzisiaj przedszkolaków w muzeum, zapomniałeś?

– Racja. – Objął mnie jedną ręką.

Odrobinę go odsunęłam.

– Fu. Jesteś spocony.

Parsknął śmiechem.

– Przez ten upał. Poza tym to blask zwycięstwa.

– Gratuluję wygranej. Zobaczymy się później?

– Tak. Pewnie.

Pożegnałam się ze wszystkimi i poszłam sobie, tylko raz oglądając się za siebie. Na tym akurat nie najlepiej wyszłam, bo zobaczyłam tylko, że Cooper po raz kolejny ściska Iris, a cała jego rodzina rozplywa się w uśmiechach.

– Czy pani jest malarką? – Mała dziewczynka już po raz drugi zadała mi to pytanie. Obeszłam już z tą grupą i ich rodzicami ponad pół muzeum. Poszło nam szybciej, niż byłoby to możliwe nawet ze starszymi dziećmi. Byłam i tak zaskoczona, że udawało mi się tak długo skupiać ich uwagę. Była to pierwsza wycieczka, którą zdarzyło mi się oprowadzać, ale tego typu zwiedzanie oglądałam chyba z tysiąc razy. Nie przypuszczałam, że oprowadzanie dzieci może być ekscytujące, ale jednak otwieranie im oczu na sztukę, nawet jeśli nie w pełni do nich docierała, ogromnie mnie cieszyło. Jakiś chłopczyk na tyłach grupy raz po raz atakował głową nogę swojej mamy. Czułam, że jeszcze chwila, a stracę z nimi kontakt. Za to idąca z przodu dziewczyneczka o wielkich brązowych oczach i z kitkami wciąż jeszcze uważała i najwyraźniej potrafiła wyczuć, kiedy się unika odpowiedzi, bo nie zadowolilo jej moje „Lubię malarstwo”.

– Tak, maluję.

– Pokaże nam pani, który obraz namalowała? – poprosiła.

Wyglądziłam firmową marynarkę muzeum, którą miałam na sobie.

– Tu nie ma moich obrazów. Pokazujemy sławnych artystów. I raz w roku organizujemy wystawę sztuki amatorskiej, gdzie można kupować prace.

– To wtedy będziemy mogli zobaczyć pani obrazy?

– Może. – Klasnęłam w dłonie. – Ale teraz zamierzam wam pokazać naprawdę sławne dzieła sztuki. – Wykręciłam się od odpowiedzi czterolatce. Czyż to nie żalosne?

Poprowadziłam dzieci korytarzem do sali, w której wcześniej powiesiłam ich rysunki, niżej niż inne obrazy, by łatwiej mogły je oglądać. Żeby je uwydatnić, przestawiłam nawet kilka reflektorków.

Udało mi się skupić uwagę dość już niespokojnej grupy.

Tonem profesjonalnej przewodniczki wycieczek oznajmiłam:

– Dzisiaj prezentujemy prace plastyczne grupy przedszkolnej. Tej unikatowej kolekcji jeszcze nigdy nikomu nie pokazywaliśmy, więc jest to superwyjątkowe wydarzenie. – Dzieciaki rozpoznawały swoje obrazki, głośno komentując. Nawet rodzice i nauczycielka jakby się bardziej ożywili. Za ich plecami zauważyłam pana Wallace’a. Pokazał mi uniesione kciuki.

Gdy wycieczka się pożegnała, wyszedł z nimi, rozmawiając z nauczycielką.

Zaczęłam kolejno zdejmować te obrazki. Poziom zdolności plastycznych czterolatków był dość wyrównany. Rysowały kółka z oczami i doczepiały do nich kreski oznaczające nogi i ręce. Umiały narysować słońce lub niezbyt zgrabne drzewo. Wyróżniał się jeden obrazek, znacznie przewyższający poziomem pozostałe. Tak samo było z moimi dziecięcymi malunkami, też się wybijały. Właśnie to skłoniło rodziców do zapisania mnie na lekcje.

Moją uwagę zwróciło nagle szuranie stóp. Podniosłam wzrok.

Powitał mnie uśmiech Coopera.

– Przyszedłeś? – powiedziałam tyleż zaskoczona, co szczęśliwa.

– Wiesz, jak mnie kusiło, żeby się podkraść i cię przestraszyć? Co tak przykuło twoją uwagę?

Pokazałam mu rysunek, któremu się przyglądałam. Widniała na nim dziewczynka stojąca pod tęczą. Wyraźnie było widać, że to dziewczynka; postać ta to nie tylko okrągła głowa. Miała ręce, nogi i tułów. Ubrana była w fioletową sukienkę.

– Ładne – stwierdził. – Twoja robota?

– Bardzo śmieszne. Nie. Narysowała to czterolatka.

– Pan Wallace daje to na wystawę? – Jego głos ociekał sarkazmem.

– Óóó – syknęłam. – Nie mów tu takich rzeczy. On jest wszechobecny. –

Rozejrzałam się, ale sala była pusta.

– Może właśnie powinienem wygadywać tu takie rzeczy. Mogłyby dać mu to do myślenia.

Wzdychając, zdejmowałam resztę rysunków.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział. – Co takiego miałem dostrzec w tym rysunku czterolatki?

– Zapewne nic. – Ten dziecięcy obrazek może i wybijał się spośród innych, ale niedługo poziom się wyrówna. Poskładałam razem wszystkie kartki i spojrzałam na Coopera.

– Myślałam, że będziesz z rodziną.

– Tym razem wtrząchnęliśmy tylko deser, więc już po wszystkim. I mam coś dla ciebie.

– Fajnie.

– Jak wychodziliśmy z Cheesecake Factory, mieli już tylko jeden kawałek z białą czekoladą i malinami. Jeden! I pomyślałem sobie, że to przeznaczenie. Czy jak to tam nazwiesz. – Wyjął zza pleców rękę z białą torebką w kolorowe paski.

- Jesteś najlepszy.
- Wiem. A teraz chodźmy. Siądziemy sobie na tarasie i będziesz mogła się ze mną podzielić.

Tamtego wieczoru po powrocie do domu ustawiłam na sztalugach małe płótno. Namalowałam rybę. Początkowo malowałam ją realistycznie, tak jak widzi się ją pod wodą. Złapałam się jednak na tym, że nie o to chodzi. To, jak się czułam w spa i co odczuwałam tego dnia podczas wyścigu Coopera, nijak nie współgrało z tym, co stworzyłam. Przerobiłam więc ten obraz. Kształty ryby uległy zmianie, wygięła się pod dziwnym kątem, partie jej ciała nie całkiem do siebie pasowały. Wodę wokół niej zrobiłam lekko wzburzoną, prawie mętną, nieprzejrzystą.

Cofnęłam się o krok, żeby ocenić ostateczny efekt. Oddawał to, co czułam.

Rozdział 19

Jak to możliwe, że jeszcze nigdy nie byłam na typowej imprezie? Co powinnam na siebie włożyć? Sukienkę na ramiączkach? Spodenki i koszulkę? Coś trendy? Makijaż powinien być mocniejszy niż normalnie? Pomyślałam, żeby zadzwonić do Lacey i zapytać, ale zrobiło mi się głupio. Takie rzeczy powinnam wiedzieć. Poza tym pewnie była zajęta przygotowaniem imprezy. Zadzwoiłam więc do Coopera.

Odebrał po trzech sygnałach.

– Chyba nie myślisz, żeby się wymigać, co?

– Nie. Elliot przyjeżdża po mnie za godzinę.

– Chwila, co takiego? Wydawało mi się, że jedziesz sama, żeby się nie czuć uwiązana.

– Pamiętam. To była chwila słabości. Prawdziwe pytanie brzmi: co będziesz mieć na sobie?

– Żeby podziałało, musisz powiedzieć to bardziej seksownie. Choćby tak: co będziesz mieć na sobie, kocie? – Ostatnie zdanie wypowiedział niskim, chrapliwym głosem.

– Fuj. Nie chodziło mi o perwersję. Pytam poważnie. Co włożysz na tę imprezę?

– Aha.

Niemal wyobrażałam sobie, jak się przygląda swojemu ubraniu. Jakby dopiero teraz, po tym pytaniu, odkrył, co ma na sobie.

– Spodenki i T-shirt.

– Nie pomagasz.

– Włóż letnią sukienkę i klapki. Tusz do rzęs. Trochę błyszczyka.

Rozdziawiłam usta, a potem zamknęłam.

– Abby, zwracam uwagę na to, jak wyglądają dziewczyny.

– Dziękuję! Muszę się zacząć szykować.

– To widzimy się niebawem. Rozejrzyj się za nami, gdy dojedziecie.

– Na pewno. – I tak to planowałam. Umiał zagać rozmowę i ją podtrzymać, a także wiedział, kiedy skończyć. Z nim o wiele łatwiej się wchodziło w nowe towarzystwo.

Elliot pojawił się pod moimi drzwiami dokładnie o czasie. Wyglądał fajnie w koszulce polo i bojówkach do kolan. Normalnie niesforne ciemne włosy odgarnął z czoła za pomocą żelu.

– Dobrze cię widzieć, Elliot – powiedział dziadek. – Wejdz.

– Nie musi wchodzić. Ja już wychodzę. Jak widać. – Wyminęłam go i wyszłam na ganek.

Ale dziadek nie puścił ręki Elliota, za którą go złapał, witając. Wciągnął go do środka.

– Oczywiście, że wejdzie. Musi poznać twoją matkę.

Jęknęłam.

– Elliot, przepraszam, że tu się robi z tego większą sprawę niż trzeba.

– Wszystko gra – odparł z uśmiechem.

Mama dołączyła do nas w drzwiach.

– Witaj, wspaniale cię poznać – oznajmiła, biorąc Elliota w objęcia. – Dzięki za umówienie się z moją córką.

– No, to ciężkie zadanie – przyznałam.

Mama wesoło walnęła mnie w ramię.

– Wiesz, o co mi chodziło.

– Możemy już jechać? – Wolałam uniknąć dalszego zawstydzania.

– Najpierw pokażę duży pokój. Wszyscy uwielbiają go oglądać. Mnóstwo w nim prac Abby. Jej obrazy są jak okna na świat – mówiła, wskazując drogę, a Elliot szedł jej śladem.

– Mamo, zaznasz mojej zemsty. Lepiej sypiaj z jednym oknem otwartym.

Elliot reagował jak należy. Wykonał pełny obrót, by wszystko ogarnąć wzrokiem, w odpowiednich momentach wydając z siebie „ochy” i „achy”. Mama promieniała.

– Możemy zostać tutaj – oświadczyłam, siadając na kanapie. – Co mi tam.

Mama podniosła ręce, poddając się.

– Okej, okej. Po prostu jestem dumna. A teraz sio. Cieszę się, Elliot, że się poznaliśmy.

– Ja również.

Kiedy wyszliśmy, uśmiechnął się do mnie.

– Przepraszam za to. Lubi się chwalić.

– Nie dziwię się.

Nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć, wzruszyłam ramionami.

Elliot przyjechał jeepem bez drzwi. Kiedy już wsiadłam i wyjechaliśmy

na ulicę, zwątpiłam w swój dobór ubioru. W aucie tak wiało, że musiałam przytrzymać sukienkę.

– Przepraszam – powiedział Elliot, widząc moje zmagania. – Powinienem wmontować drzwi. Myślałem, że tak będzie bajerancko.

Roześmiałam się.

Sięgnął na tylne siedzenie i podniósł koc.

– Chcesz przykryć sobie nogi?

– Tak, proszę. – Bardzo mi to pomogło.

– A przy okazji, wyglądasz naprawdę ładnie.

– Dziękuję. – Zająłam się kocem na kolanach, upychając brzegi tak, że w pełni owinęłam nim nogi.

– Niesamowicie malujesz – stwierdził po dłuższej chwili ciszy.

– Ja... Dziękuję ci. – Uznałam, że na tym poprzestanę. Nie chciałam wyjaśniać, jak widzą mnie profesjonaliści: że wiele mi brakuje.

– To właśnie zamierzasz pociągnąć po ogólniaku? Pójść na jakąś uczelnię artystyczną?

– Tak... chyba tak. – Bo marzyłam o tym od ósmego roku życia. To właśnie chciałam w życiu robić, zanim pan Wallace wbił mi do głowy, że mogę okazać się nie dość dobra. Teraz obawiałam się, że nie dostanę się na taką uczelnię. Że wszyscy będą lepsi ode mnie. Że nie tylko się tam nie dostanę po maturze, ale nawet nie załapię na zimowe warsztaty.

– A jak tam z tobą?

– Tak samo.

– To znaczy jak?

– Zamierzam iść do szkoły plastycznej.

– Co takiego? Malujesz? – Zainteresował mnie tym bez reszty.

– Nie. To znaczy trochę też, ale bardziej rzeźbię.

Artysta plastik. Czy nie powiedziałam Cooperowi niecały miesiąc temu, że w moje plany towarzyskie wpisane jest chodzenie z jakimś artystą?

– Czemu nie spotkaliśmy się jeszcze na zajęciach z plastyki?

– Chodzę na prywatne lekcje – wymamrotał, jakby ciężko było mu się do tego przyznać.

– Oho, Pan Prywatne Lekcje, to ja przepraszam – zażartowałam.

– Wiem. Brzmi strasznie pretensjonalnie.

– Zgrywałam się. To świetna sprawa. Zwłaszcza że w naszym ogólniaku ciężko o nauczycieli rzeźby. Chciałabym kiedyś zobaczyć twoje prace.

– Chętnie. Byłoby wspaniale. Przydałaby mi się opinia innego plastyka.

- Nie wiem, ile byłaby warta, ale uwielbiam sztukę.
- Jesteś najbardziej utalentowaną plastyczką w naszej szkole. Twoja opinia znaczyłaby dla mnie wiele.
- Widziałeś moje prace w szkole? – spytałam zaskoczona. Ja żadnych jego nie znałam.
- Często odwiedzam pracownię plastyczną. Jesteś dobra.
- Zaczynasz szafować komplementami. – Powinieneś z tym uważać. Łatwo z tym przesadzić. Przypomniałam sobie nagle coś, co powiedziała Rachel w kinie na plaży, jak się dziś zdawało, wieki temu. – Czeka, to ty kiedyś w Starbucksie zagadnałeś moją przyjaciółkę Rachel o moje obrazy.
- Powiedziała ci.
- Kiwnęłam głową. To był ten tajemniczy chłopak. Powiedziała wtedy, że powinnam się z nim umówić, i oto tak się stało. Nie tylko cenił moje prace, ale sam też okazał się plastykiem. Wyglądało to tak, jakby wszystkie moje plany towarzyskie zbiegły się w jednym punkcie. Czy to przeznaczenie?
- Wszystko w porządku? – zapytał.
- Co? Tak. – Spojrzałam w prawo, odwracając wzrok od Elliota i próbując uporządkować myśli, gdy nagle coś zobaczyłam. – On jeszcze tam jest.
- Słucham? – spytał teraz Elliot, co zrozumiałe, zdezo-rientowany.
- Tamten człowiek przykuł się do drzewa – pokazałam mu. – Jest tam już chyba od czterech dni.
- Dlaczego? – zdziwił się Elliot.
- Zdaje się, że chcą je wyciąć z powodu budowy osiedla. On stara się je uratować. – Na prawo od drzewa zaparkowano wielki buldożer, którego wcześniej tam nie było. Bez żadnej obsługi. Stał tam jak nieme przypomnienie lub ostrzeżenie przed tym, co ma się wydarzyć. – Jak myślisz, on coś je? Czy na znak protestu też się głodzi?
- Nie mam pojęcia. Miejmy nadzieję, że coś zjadł.
- Nie wiem, czy kiedykolwiek byłoby mnie stać na takie zaangażowanie w... w cokolwiek – przyznałam.
- Nie przychodzi ci na myśl nic, w imię czego byś się tak przykuła?
- Na pewno moja rodzina. Moi przyjaciele... być może. – Dodając to, uśmiechnęłam się. – Ale nic, z czym nie dałoby się pogadać.
- Mnie chyba też nic nie przychodzi do głowy – stwierdził Elliot. – Chociaż...
- Co takiego? Co chcesz powiedzieć? – zapytałam, gdy nie dokończył.

– Jeśli to powiem, po raz drugi tego wieczoru wypadnę pretensjonalnie.

– Teraz już się nie wymigasz.

– Jest taka jedna moja rzeźba. Zająła mi miesiące i włożyłem w nią duszę.

Gdyby ktoś zapowiedział mi, że mają ją zniszczyć, mógłbym sięgnąć po łańcuch. Nie wiem, czy dotrwałbym w tym po sam gorzki koniec, ale na pewno na jakiś czas rzuciłbym im wyzwanie.

Wyrzeźbił coś, do czego aż tak się przywiązał? Wróciłam myślą do wszystkich obrazów, które kiedykolwiek namalowałam. Gdyby ktoś chciał je zniszczyć, na pewno byłoby mi przykro, ale... jak podkreślił pan Wallace, najwidoczniej nie wkładałam w nie aż tyle serca.

– Sama widzisz. To pretensjonalne. – Dopiero gdy to powiedział, uświadomiłam sobie, że nie odpowiedziałam.

– Nie. Wcale nie. To niesamowite. Teraz to już naprawdę muszę zobaczyć twoje prace.

– No to rozbudziłem twoje oczekiwania znacznie bardziej niż potrzeba. – Uśmiechnął się do mnie, a potem skręcił w ulicę Lacey, już niemal wypełnioną samochodami. Rozglądałam się za autem Coopera i wreszcie wypatrzyłam je – parkował po drugiej stronie. Momentalnie się odprężyłam. Cooper już tu jest, a mój partner okazał się bardzo interesujący. Niewykluczone, że ten wieczór przypadnie mi do gustu bardziej niż fajerwerki na moło. Może to właśnie okaże się dla mnie czymś nowym. Zaparkowaliśmy samochód i ruszyliśmy w górę wysadzanej żywopłotem alejki.

– Abby! – zawołała Lacey zaraz po otwarciu drzwi. – I Elliot. Przyjechaliście razem? – Jej brwi podjechały do góry.

– Tak – potwierdził Elliot. – Dzięki, że nas zaprosiłaś.

Odsunęła się na bok, wyciągając rękę.

– Jedzenie i napoje znajdziecie w kuchni, a za domem mój tata grilluje.

Jej dom był pełen ludzi.

– Tylko mały grill, tak? – spytałam z nutką drwiny. Wiedziałam przecież, że nie urządza kameralnych imprez.

Wzruszyła ramionami.

– Cóż... Troszkę się rozrósł. Pozwólcie, że przywitam jeszcze kilka osób, a potem spotkamy się na tyłach.

Przeszliśmy więc z Elliotem przez ten dom, nie tak duży, jak sobie wyobrażałam po szkolnych opowieściach, ale urządzoney ze smakiem i nowoczesny. Wiele mijanych osób znałam ze szkoły, ale całej masy nie.

Coopera zobaczyłam po drugiej stronie basenu, otoczonego grupką ludzi, mówiącego coś z ożywieniem i żarliwie gestykulującego. Najpewniej próbował przekonać słuchaczy do tego, co mówił – tylko wtedy bywał tak szczególnie ożywiony.

– Zjadłabyś coś? – zapytał Elliot, ruchem głowy wskazując grill po naszej prawej. Powietrze spowijał tam dym, przesiąknięty zapachem pieczonego mięsa.

– Na razie dzięki. Ty coś chcesz?

– Nic mi nie trzeba. Spójrz, tam jest Cooper. Przywitamy się?

– Jasne.

– Abby! – wrzasnął uradowany Cooper, jak tylko mnie zobaczył. Towarzysząca mu Iris pomachała do mnie. Odpowiedziałam uśmiechem.

– Uwaga, uwaga – obwieścił głośno mój przyjaciel. – Oto Abby i Elliot.

Kilka osób nam się przedstawiło. Inne już znałam.

– Abby, pamiętasz, jak wepchnąłem cię do basenu w hotelu, gdzie była wystawa, którą chciałaś zaliczyć? – Cooper parsknął śmiechem. Zepchnął mnie tuż po tym, jak zajrzeliśmy do sali balowej obwieszanej malarstwem. W sumie i tak już szliśmy do domu. Sam też wskoczył do wody, wiedząc zapewne, że będę wściekła. Ale skończyło się ogólną chlapaniną do czasu, aż przyszła obsługa hotelowa i nas wywaliła.

– Owszem, a jeśli to dziś powtórzysz, już nie żyjesz.

– Kogoś trzeba wepchnąć. – Spojrzał na Iris, zalotnie unosząc brwi.

– Mowy nie ma – stwierdziła. – Zgadzam się z Abby. Nie żyjesz.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

Do naszej grupki dołączyła Lacey, wzięła mnie pod rękę i oparła głowę na moim ramieniu.

– Nie wiedziałam, że przyjedziesz z chłopakiem – powiedziała niemal bezgłośnie. – Miałam wrażenie, że ty i Cooper...

– Nie – odpowiedziałam równie cicho.

– Z wyboru?

Widocznie z moich beładnych wyznań w teatrze wyłapała więcej, niż dała po sobie poznać.

– Nie – powtórzyłam.

Chwilę milczała i choć nie widziałam jej oczu, zauważyłam, że przyglądała się Cooperowi, bo powiedziała:

– Cóż, i tak za dużo się szczerzy i nie wie, jak się ubrać.

Powstrzymałam się od śmiechu. Mnie akurat obie te rzeczy się w nim

podobały.

– A Elliot jest słodki.

Wymieniałyśmy sobie te uwagi cichutko, ale z pewnością nie subtelnie, więc kiedy zerknęłam na Coopera, wyczytałam w jego oczach pytania.

Pokręciłam głową.

Od razu spojrział na rękę Lacey, wciąż zaczepioną o moją, a ja zrozumiałam sens tej jego miny – co tu jest grane?

– Masz ochotę na hamburgera? – zapytała mnie Lacey, tym razem głośniej. – Bo ja chcę.

– Pewnie – potwierdziłam.

– Chodź, Elliot, coś sobie zjemy.

Poszedł za nami. Przy długim stole, stojącym na patio, zapelniliśmy sobie talerze frytkami, kawałkami arbuza i hamburgerami.

– Tam sobie przycupniemy – zaproponowała Lacey, wskazując ogrodowy fotel pod drzewem, cudem przez nikogo jeszcze niezajęty.

Usiadłam na głównej części fotela, Elliotowi Lacey wskazała miejsce na podnóżku, twarzą do mnie. Sobie przyniosła fotel znad basenu i usiadła obok nas.

– Dzięki, że przyszliście.

– Dzięki za zaproszenie. Jak tam casting? – zapytałam.

– Wypadł dobrze. Ale ja zawsze mam takie wrażenie, więc zobaczymy.

– Casting? – zapytał Elliot.

Machnęła ręką.

– Nic takiego. Powinnam zająć się gośćmi – odparła Lacey. – Bawcie się dobrze. – Wrócił ten jej konspiratorski szept, uświadamiając mi, że to zaplanowała. I już jej nie było, a ja zostałam sam na sam z Elliotem.

Rozdział 20

Po odejściu Lacey zapanowała totalna i niezręczna cisza. Żeby spróbować jakoś ją uzasadnić, zjadłam kilka wielkich kęsów hamburgera. Po ich przełknięciu się przeraziłam. Naprawdę nie jestem w stanie normalnie rozmawiać z nikim spoza kręgu przyjaciół? Nie wiadomo czemu przypomniała mi się samotna rybka płynąca ku mojej stopie. Nagle sobie uświadomiłam, że odczuwam ten sam niepokój co wtedy. Wtedy zaryzykowałam i było dobrze. Wystarczy dać szansę, powiedziałam sobie.

W pobliskich zaroślach świerszcze cykały na całego i ten odgłos przyciągnął uwagę Elliota. Chłopak się uśmiechnął.

– I oto ciszę burzą świerszcze.

Momentalnie odprężyłam się i zaśmiałam.

– Trochę to ironiczne.

Skinął głową w stronę, w którą odeszła Lacey.

– Jak na aktorkę nie bardzo jest subtelna, nie uważasz?

– Nie wydaje mi się, żeby próbowała. Subtelność nie leży w jej naturze.

– Umożliwiła mi jednak bycie tu sam na sam z tobą, więc nie powinienem narzekać.

Policzki mi poróżwiały, a po tym jego stwierdzeniu nastąpiła długa chwila milczenia, bo choć uważałam, że już się z nim uporaliśmy, najwyraźniej przyszła pora na drugą rundę tych zmagañ. Stuknęłam w plastikową poręcz fotela, potem zjadłam trochę arbuza.

– Co najbardziej lubisz rzeźbić? Do czego zawsze wracasz?

– Najbardziej? – zastanowił się. – Nie wiem, czy to mój ulubiony temat, ale często rzeźbię drzewa. Sądzę, że staram się stworzyć idealne.

– Rzeźbisz w glinie czy w kamieniu?

– W glinie.

– Nigdy jeszcze nie namalowałam drzewa. To znaczy jako głównego tematu. Malowałam je w tle albo jako element scenerii. Powinam spróbować namalować drzewo.

– Jaki masz ulubiony temat? – zapytał.

– Tak naprawdę nie mam ulubionego. Ostatnio malowałam wschód słońca i to była frajda.

– Nie widziałem u was w pokoju żadnego wschodu słońca.
– W dużym jest tylko trochę moich prac. Mam inny, pełen moich rzeczy.
– Czemu mi tego nie pokazałaś?
– I kto tu mówi o pretensjonalności?
– Poczucie, że się popisujemy, a odczucie, że inni chcą oglądać nasze prace, to nie to samo, nie uważasz?

– Uważam – przyznałam.
– No to ja chcę je obejrzeć.

Uśmiechnęłam się.

– Abby! – doleciało do mnie z pewnej odległości. Gdy się obejrzałam, zobaczyłam Coopera stojącego przy przenośnej lodówce i unoszącego puszkę doktora peppera. Na patio zapaliły się już światła, a sznury białych lampek, rozwieszane między drzewami i słupkami, nie pozwalały ogrodowi utonąć w mroku. Kiedy zdążyło się ściemnić?

Kiwnęłam głową. Przyjaciel wskazał też Elliota.

– Napijesz się czegoś? Cooper pyta.

Elliot otulił usta dłońmi i wrzasnął:

– Cole!

Cooper obiegnął basen i wręczył nam obie puszki.

– W przypadku Abby cola może się okazać powodem do zerwania. Nie znosi jej.

Przewróciłam oczami.

– On żartuje.

– A więc akceptujesz colę? – upewnił się Elliot.

– Nie, nienawidzę. Ale nie na tyle, żeby zrywać.

Cooper strzelił Elliota w ramię, potem odszedł. Oboje odprowadzaliśmy go wzrokiem. Było mi dziwnie. Znów dołączył do Iris, a ona objęła go w pasie.

– Naprawdę jesteście ze sobą zżyci – stwierdził Elliot, wyrywając mnie z zagapienia.

– Chyba tak to jest z przyjaciółmi.

– Fakt.

Na jakiś czas zamilkliśmy, usilnie więc starałam się wymyślić kolejne tematy rozmowy o sztuce. Na wpół opróżniony talerz położyłam na ziemi koło fotela, Elliot zrobił to samo.

Przechylił się na bok, odrobinę się do mnie zbliżając, i spojrzał w niebo.

– Umiesz rozpoznawać gwiazdozbiory?

– Tylko te podstawowe. A ty?

– Tak samo.

– Ładnie pachniesz – zauważyłam. Jakby czymś do włosów lub chusteczkami zapachowymi do suszarek, w każdym razie czymś czystym i świeżym.

– Dzięki. Ty też.

– Waniliowy balsam do ciała. – Wyciągnęłam rękę, a on ją chwycił i podsunął sobie pod nos.

– Pachnie ciasteczkami – zauważył.

Znów się do nas przyplątał Cooper, tym razem prowadząc za rękę Iris, a potem usiadł w fotelu, który wcześniej przyciągnęła Lacey. Iris przysiadła przed nim.

– Abby, Iris pytała, jak się poznaliśmy. Próbowałam więc sobie przypomnieć pierwszą rzecz, z jaką zwróciłem się do ciebie na naukach przyrodniczych, kiedy się tu sprowadziłaś.

– Powiedziałeś: „Jesteś nowa” – zacytowałam ze śmiertelną powagą. – A ja odpowiedziałam: „A ty spostrzegawczy”.

Roześmiał się.

– Dokładnie tak. Zawsze byłaś sarkastyczna. A potem powiedziałem coś naprawdę dowcipnego.

– Cooper uważa się za dowcipniejszego, niż jest. – Nie pamiętałam dokładnie, co powiedział, gdy pierwszego dnia w nowej szkole weszłam na zajęcia z nauk przyrodniczych. Nigdy za to nie zapomnę, że był pierwszą osobą, która się do mnie odezwała, i że wtedy zaczęła się nasza przyjaźń.

Udał oburzenie.

– Ona jest po prostu zazdrosna.

To słowo uchyliło mi w mózgu jakąś klapkę. Czyżby o to tutaj chodziło? Czemu Cooper tak nas nachodził i nam przeszkadzał? Czyżby był zazdrosny? Ta myśl tak bardzo zaczęła się we mnie rozrastać, że czułam, iż mnie rozsadzi.

– Ja pamiętam pierwsze słowa, jakie od ciebie usłyszałam – oznajmiła Iris.

– No jakie? – zapytał.

– Powiedziałeś, że mając do wyboru widzenie duchów i zombie, wybrałbyś duchy, bo mogłyby ci przepowiedzieć przyszłość.

– Duchy nie znają przyszłości – stwierdził Elliot.

Chwyciłam go za rękę.

- Powiedziałam dokładnie to samo!
- Moje duchy by znały – upierał się Cooper.
- Poznaliśmy się z Iris, kiedy graliśmy w Co wolisz – wyjaśniłam Elliotowi. A raczej ona poznała Coopera. Mnie jakoś nie zapamiętała.
Akurat wtedy podeszła Lacey, prowadząc jeszcze kilka osób.
- Gramy w Co wolisz?
- Jeszcze nie – odparł Cooper. – Ale możemy.
- Lacey usiadła na końcu naszego fotela, potem pokazała Elliotowi, żeby się przesunął bliżej mnie. Gdy to zrobił, usadowiła się wygodniej. Dziewczyny, które z nią przyszły, ulokowały się na trawie przy naszych fotelach.
- Znacie wszyscy Lydię i Karę? – Przywitaliśmy je całą grupką.
- Ja coś mam, jeśli już gramy – odezwał się Elliot. – Czy wolelibyście natychmiast wskoczyć do basenu, czy zjeść żywego świerszcza?
- Wskazał zarośla, skąd nie dobiegało już cykanie tych owadów, lecz według mnie na pewno nadal tam były.
- Do basenu! – odpowiedzieli natychmiast niemal wszyscy.
- My z Cooperem popatrzyliśmy na siebie i oboje uznaliśmy:
 - Zjeść świerszcza.
 - Co takiego? – upewniła się Lacey z niesmakiem na twarzy.
 - W wersji prażonej już jedliśmy. Odrobina soli i pieprzu i są złociutkie.
- Uniosłam brwi.
- Złociutkie?
- Machnął ręką.
- Nie zaczynaj. – Spojrzałam na iskierki w jego oczach i parsknęłam śmiechem.
- Ja też mam coś – oświadczyła Lacey, przechylając głowę w moją stronę. – Kochać bez wzajemności czy w ogóle nie być zdolnym do miłości?
Zrobiłam wielkie oczy, ale udała niewiniątko.
- Lepiej jest kochać i utracić niż nigdy nie zaznać miłości? – upewnił się Elliot. – Serio przywołujesz to pytanie?
- Jest aż tak znane? – zdumiała się Iris.
- To Tennyson – odparłam. – Naprawdę nie obił ci się o uszy ten wiekowy cytat?
- Brzmi znajomo – przyznała. – I sędzę, że wolałabym wcale nie kochać. Nieodwzajemniona miłość jest taka żałosna.
- Auć – odezwała się Lacey. – Według mnie żałosna nie jest. Za to

bardzo tragiczna. Służy twórcom za pokarm dla muz. A muzy są strasznie żarłoczne.

Tym razem nie udało mi się powstrzymać od śmiechu.

Z talerza, który odstawiłam na ziemię, wzięłam kawałek arbuza i rzuciłam w nią. Poderwała się z krzykiem, przez co fotel, nierównomiernie teraz obciążony, poleciał w tył. Sturlałam się na ziemię, a na mnie wylądował Elliot.

– Strasznie przepraszam – powiedział, podnosząc się, a później pomagając mi wstać. – Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku.

Cooper też już był przy nas, najwidoczniej poderwał się z fotela, jak tylko nasz się przewrócił.

– Na pewno nic ci nie jest? – zapytał, uważnie mi się przyglądając.

– Kto powie, że rycerskość umarła? – spytała Lacey.

Podniosłam rękę.

– Chłopaki, dajcie spokój, to był upadek z wysokości jakiejś ćwierci metra.

– Nie ta wysokość mnie zaniepokoiła. Prędeż ciężar, jaki się na ciebie zwałił – rzekł Cooper, wesoło waląc Elliota w plecy. Przyjrzałam się z ukosa mojemu przyjacielowi. Zdecydowanie zachowywał się dziwnie.

– Nic mi nie jest.

Wróciliśmy na miejsca i całą następną godzinę poświęciliśmy na granie. W końcu Lacey przeciągnęła się i oświadczyła:

– Lepiej pójdę złapać gościa od fajerwerków. – Wstała, tym razem pilnując, byśmy odpowiednio rozłożyli ciężar, zanim się całkiem podniesie.

– Pomóc ci? – zapytałam.

– Chętnie. Zaraz wrócimy – poinformowała resztę grupy, gdy odchodziłyśmy. – Najlepszy widok będzie z tarasu przy basenie. Może warto, żebyście się tam przenieśli.

Kiedy odeszłyśmy na tyle, że reszta grupy nie mogła już nas słyszeć, zapytałam:

– Próbowalaś mnie zdemaskować?

Zaśmiała się.

– Niewinny żarcik. Zresztą on nie skojarzył. Poza tym jest tu ze swoją dziewczyną.

– Ona nie jest jego dziewczyną. Spotkali się raz, może dwa.

– A więc to nic poważnego.

– Zauważyłaś, że Cooper zachowuje się dzisiaj inaczej?
– Nie znam go na tyle, by wiedzieć, jaki jest normalnie.
– Uważasz za możliwe, że... Cooper może być... zazdrosny o Elliota? –
powiedziałam i w pewnym sensie pożałowałam, że nie mogę tego cofnąć.
– Niewykluczone. – Obeszliśmy częściowo dom, kierując się w stronę
garażu. – Myślałaś o tym, żeby powiedzieć Cooperowi, co do niego czujesz?
– Staram się wyleczyć z niego.
– Niezależnie od tego, że być może okazuje zazdrość?
Jęknęłam.
– To mój przyjaciel, a jak z tym wyskoczę, mogę wszystko popsuć. Raz
dałam mu szansę i możesz mi wierzyć, nie wyszło to dobrze.
Wzruszyła ramionami.
– Wszystko może się zmienić.
Nie byłam pewna, czy aż na tyle. Niezależnie od jego dziwacznego
zachowania, przyjechał tu z Iris, a ja z Elliotem. Zdecydowanie więc nie była
to dobra pora na wyznania.
Garaż okazał się przestronny, mieścił cztery samochody. Jeden na tyle
przykryty był pokrowcem, że widać było tylko lśniąca czernią koła. W kącie,
zaglądając w jakieś pudła, stał mężczyzna, którego uznałam za tatę Lacey.
– Fajerwerki już gotowe?
Wyprostował się i odwrócił.
– Fajnie byłoby, gdybyśmy wystrzelili też kilka nielegalnych, co?
– Abby nas nie wyda – zapewniła Lacey.
– Właściwie to wystarczyłoby zagrozić mi torturami, a bardzo szybko
bym was sprzedała.
– Ona żartuje – oznajmiła Lacey, bo moje słowa chyba go zaniepokoiły.
– Chodź, pomożemy ci nosić skrzynki. – Dzięki temu, że było nas troje,
udało się za jednym razem przenieść wszystkie fajerwerki nad basen. Potem
razem z Lacey dołączyliśmy do towarzystwa na tarasie.
Fajerwerki może nie były klasy tych towarzyszących oficjalnym
imprezom, ale i tak okazały się super. A gdy nielegalne rakiety wypełniły
niebo kolorem i głośnym hukiem, zauważyłam, że Cooper patrzy na mnie.
Odwrócił wzrok. Może jednak coś się zmieniło.

Rozdział 21

Kiedy kilka godzin później weszłam do domu, mama i dziadek siedzieli w dużym pokoju, udając, że oglądają telewizję.

– Jeszcze na nogach? – zapytałam, zatrzymując się w drzwiach. – Nie powinniście przypadkiem być w łóżkach?

Mama wyłączyła telewizor.

– Chcieliśmy się dowiedzieć, jak się udała twoja randka.

Usiadłam obok niej na kanapie.

– Było fajnie. On rzeźbi.

– Rzeźbi? – powtórzyła mama. – Tak na siłowni?

– Nie. Dosłownie bierze glinę i lepi z niej niesamowite rzeczy. Tak przynajmniej myślę, że niesamowite. Jeszcze ich nie widziałam.

Rozpromieniła się.

– Czyli to artysta plastyk?

– Ale nie rób sobie za wielkich nadziei, bo nie jestem jeszcze pewna, czy coś z tego będzie. – Skoro ten wieczór zakończyłam nadzieją na to, że Cooper jest zazdrosny, nie wydawało mi się słuszne inicjowanie nowej relacji.

– Czasami nie od razu się poznaje, że się kogoś lubi.

– Wiem.

– Ale jestem z ciebie dumna, że spróbowałaś. Może teraz, gdy zobaczyłaś, jakie to może być fajne, dalej będziecie się spotykać. Albo umówisz się z innym chłopcem – powiedziała mama.

Wpadła chyba na najgorszy pomysł świata.

– Taa. No to mamy plan. – Pojmując, że czekają na coś więcej, dodałam:

– Po prostu wybiorę sobie chłopaka z kolejki adoratorów czekającej u mojego progu.

– Patrz, wiedziałam, że zareaguje sarkastycznie – powiedziała mama.

– Ty też wniesiesz jakiś wkład w to przesłuchanie, dziadku?

– Przepytam tę kolejkę, żeby zbadać, którzy chłopcy czyhają tylko na twój majątek i urodę.

Wstałam i pocałowałam w policzek mamę, potem dziadka.

– Idę spać. Oboje was kocham. Dobranoc.

Następnego dnia pobudkę miałam najlepszą z możliwych. SMS od Coopera głosił:

„Złota rybka mojej siostry nie żyje. Urządzamy ceremonię. Przyjeżdżaj”.

No, może nie do końca była to najlepsza z pobudek. O wiele lepiej byłoby oszczędzić cierpień złotej rybce. Ale stało się, grunt, że on do mnie napisał.

„Tak jest. Już jadę”.

Umyłam zęby, zamieniłam szorty do spania na spodenki dżinsowe i ruszyłam do drzwi.

– Jadę do Coopera. Wrócę później.

– Okej, baw się dobrze – odparła mama.

Coś mnie naszło, więc zawróciłam, złapałam za swój najnowszy obraz – ten z rybą – i opuściłam dom.

– Ty się w ogóle czesałaś? – zapytał Cooper, jak tylko otworzył drzwi. – Do tego spałaś w tej koszulce, prawda? Matko jedyna, mamy tu uroczystości pogrzebowe.

– Ha, ha.

Uśmiechnął się i za rękę wciągnął mnie do środka. Zatrzaskał drzwi, potem na moment się zatrzymał. Światło w przedpokoju było przyćmione, podniosłam więc wzrok, zaskoczona. Patrzył mi w oczy przez trwające trzy odbierające mi dech sekundy. Potem uśmiechnął się promiennie.

– Chodźmy – zarządził.

Siostra była już w łazience, trzymała akwarium, bardzo poważna.

– Mam wrażenie, że zapomniałam ją nakarmić – szepnęła, gdy ledwie mnie zobaczyła.

– Bywa, że ryby umierają same z siebie – powiedziałam, obejmując ją jedną ręką.

– Zwłaszcza gdy nie dostają jedzenia – dodał Cooper, za co zarobił ode mnie łokciem w żebra. Jęknął, ale powiedział jeszcze: – Będzie dobrze, Amelio. Kupię ci nową.

– Nie chcę już nowej.

– No to przynajmniej tej zapewnijmy należyty koniec. – Cooper gestem wskazał sedes. – Sądzę, że już pora.

– Najpierw musi być ceremonia – sprzeciwiła się Amelia. – Pomyśl, co dobrego możesz powiedzieć.

– Okej. – Cooper postukał się palcem w wargi. – Cichy był z niego osobnik.

– To przecież dziewczyna – oznajmiła Amelia. – Lindsay.

– Nazwałaś swoją rybę Lindsay?

– Co złego jest w Lindsay? – zaciekałam się.

– To imię dla ludzi. Zwierzętom nie nadaje się imion ludzi.

– Kto tak powiedział?

– Nie wiem. Taka jest zasada.

– O ile wiem, najczęściej spotykanym imieniem wśród zwierzków jest obecnie Max. Czyli to nie jest zasada.

– Właśnie – potwierdziła Amelia. – Posłuchaj Abby. Jej się podoba imię Lindsay.

– Rzeczywiście podoba.

– Abby podobają się wszystkie imiona.

Parsknęłam gromkim śmiechem, szybko jednak zasłoniłam usta.

– Nieprawda.

– Wydawało mi się, że taka uwaga będzie na miejscu.

– A ja myślałam, że będziemy wspominać moją rybkę – zauważyła Amelia.

– Racja. Twoja rybka. – Cooper zastanawiał się przez chwilę. – Była cicha i zamknięta w sobie.

Znów zacisnęłam wargi, żeby się nie roześmiać. Wiedziałam, że Amelia to przeżywa i ze względu na nią chciałam to wszystko potraktować poważnie. Ironiczne miny, które Cooper kierował w moją stronę, nie pomagały.

– Była bardzo wyrazistego koloru – dodałam. – Piękniejszego odcienia oranżu w życiu nie widziałam.

Cooper pokiwał głową.

– A Abby to plastyczka, więc widziała mnóstwo oranżów.

Amelia uśmiechnęła się.

– Miała piękny kolor. – Zajrzała do akwarium i posmutniała. – Teraz jest jakaś taka szara.

– A ty, Mil? – zapytał Cooper. – Co dobrego możesz o niej powiedzieć?

– Kiedy wychodziłam do szkoły, podpływała do powierzchni wody, jakby się ze mną żegnała. Myślę, że była mądra.

– Na pewno – powiedziałam.

Postaliśmy tam jeszcze dłuższą chwilę, czekając, aż Amelia powie coś więcej, ale tego nie zrobiła.

– Okej, już czas. – Cooper podszedł do sedesu i położył palec na spłuczce.

Amelia powoli wrzuciła rybę do muszli, a ja postarałam się nie wzdrygnąć, gdy wylądowała tam z pluskiem, lekko rozbryzgując wodę.

– Żegnaj, Lindsay – szepnęła Amelia.

Cooper spuścił wodę i wszyscy patrzyliśmy, jak ryba spływa. Amelia przytuliła się do mnie na dłużej, a ja poklepywałam ją po plecach.

– Aha – powiedziałam. – Mam coś dla ciebie. Czekaaj na mnie u siebie w pokoju.

Wróciłam do samochodu, Cooper poszedł za mną.

– Co masz?

– Zobaczysz.

– Tak przy okazji, sądzę, że właśnie widzieliśmy, jak życie schodzi z tego świata – zauważył. – Będzie na liście.

Stałam jak wryta, przerwałam otwieranie bagażnika.

– Masz rację. Zdecydowanie tak. Fajnie. – Złapałam się na tym, że się uśmiecham. – Znaczą, fajnie nie jest. Nie twojej siostrze.

– Abby, jest okej. Dojdzie do siebie, jak sądzę.

Otworzyłam wreszcie bagażnik i ściągnęłam z obrazu przykrywającą go miękką tkaninę. Zanim zdążyłam wyjąć obraz, Cooper powstrzymał mnie.

– Ty to namalowałaś?

– Tak. Zamierzam dać go twojej siostrze.

– Nie możesz tego zrobić.

– Uważasz, że jej się nie spodoba?

– Uważam, że będzie zachwycona, ale musisz go pokazać panu Wallace'owi. Jest fantastyczny.

– Jest dobry. Stać mnie jednak na lepsze. Ten jest dla Amelii. – Pan Wallace chciał widzieć więcej uczuć, ale w tym przypadku czułam, że uczucie jest aż za dużo, za to techniki mało.

– Kiedy go namalowałaś?

– Wieczorem tamtego dnia, gdy odwiedziłam to fish spa.

– Wziął się stamtąd? Teraz żałuję, że nie pojechałem.

– Było naprawdę niesamowicie. – Podniosłam obraz.

– Czy ty aby nie grasz na zwłokę? Nie uważasz tego obrazu za wystarczająco dobry, ponieważ nie chcesz nic pokazywać panu Wallace'owi, dopóki nie uznasz, że osiągnęłaś perfekcję?

– Nie, nie uważam tego obrazu za wystarczająco dobry, ponieważ aż tak

go nie czułam podczas malowania.

– To znaczy?

– Nie wiesz, co to jest czucie? – zapytałam z nutą drwiny.

– Bardzo śmieszne.

Podniosłam obraz.

– Do czasu, aż podejmie ostateczne decyzje, mam szesnaście dni i szansę na zdobycie jeszcze trzech doświadczeń. Jeżeli któryś z tych dwóch obrazów nie wyjdzie, użyję tego. Bez obaw. Pokażę mu go.

– Świetnie. Bo chcę tego ze względu na ciebie.

– Wiem. Dziękuję.

Cooper kiwnął głową i odebrał ode mnie ten obraz, żeby go zanieść do domu.

Spodobał się Amelii i natychmiast powiesiła go sobie na ścianie nad łóżkiem.

– Abby, kochana jesteś. Ogromnie ci dziękuję. Ilekroć na niego spojrzę, będzie mi przypominał Lindsay.

– Świetnie. Cieszę się, że ci się podoba.

– Możliwe, że za jakiś tydzień będzie chciała go wypożyczyć, żeby pokazać dyrektorowi muzeum w związku z wystawą.

– Oczywiście – zgodziła się Amelia. – Do tego czasu będzie u mnie bezpieczny.

Wszyscy troje odsunęliśmy się, żeby przyjrzeć się obrazowi, jakbyśmy byli w naszej własnej galerii sztuki.

Cooper objął mnie ramieniem, wciąż wpatrując się w obraz.

– Moja mała Abby dorasta.

Przewróciłam oczami i uszczypnęłam go w bok.

– Bezbłędnie umiesz zepsuć nastrój chwili.

– A zawsze myślałem, że lepiej znam się na uświetnianiu.

Westchnęłam, ale ustąpiłam.

– Rzeczywiście się znasz.

Zostawiliśmy Amelię z obrazem w jej pokoju i poszliśmy do kuchni.

– Zeszłego wieczoru wydawało się, że z ciebie i Lacey... – zaczął Cooper.

– Że z nas co? – zapytałam, kiedy nie kończąc zdania, zaatakował spiżarkę. Wyszedł z niej z torbą cheetos. – Nie za wcześnie na to?

Obejrzał się na zegarek na mikrofali.

– Jest jedenasta. Prawie pora obiadowa. – Otworzył torbę. – Serdeczne.

– Serdeczne? Chyba serowe? – Zmrużyłam oczy, żeby przeczytać jasnoniebieski nadruk na torbie, którą trzymał.

– Nie, wyglądałyście z Lacey na serdeczne przyjaciółki.

– Aha. No tak.

– Kiedy do tego doszło?

– Sama nie wiem. Lubię ją. Trochę rozmawiamy.

– Mówiłaś chyba, że się nie przyjaźnicie.

– No cóż, wszystko się z czasem zmienia – powiedziałam, powtarzając jej tekst z poprzedniego wieczoru. Przyglądałam się jego twarzy – wokół oczu widać było napięcie, ale próbował grać brak zainteresowania. Jęknęłam, odrzucając głowę w tył.

– O co chodzi? – zapytał.

– Ty jesteś zazdrosny.

– No, może i jestem. Powinnaś być moją najlepszą przyjaciółką.

Zabrałam mu tę torbę cheetos i ruszyłam do wyjścia.

– Gdzie idziesz? – zdziwił się.

– Malować. Dostarczyłeś mi całego bogactwa emocji, które muszę przepracować. – Przede wszystkim chodziło tu o frustrację. Poprzedniego wieczoru myślałam, że Cooper był zazdrosny o Elliota. Myliłam się. Chodziło mu o Lacey. Oto dlaczego zachowywał się dziwnie. Zdecydowanie mogłam odnotować, że absolutnie nic się nie zmieniło.

Jak tylko wyszłam za drzwi, zabręczała mi w kieszeni komórka. Wyjęłam ją, żeby przeczytać wiadomość, pochodzącą, jak się spodziewałam, od Coopera.

„Jeśli trzeba, wyzwę Lacey na pojedynek”.

„Przekażę”.

Rozdział 22

Następnego ranka, po obudzeniu się i ubraniu, penetrowałam spizarkę.

– Znowu szukasz swoich płatków z cukrem? – zapytała mama. – Wydaje mi się, że dziadek wszystkie zjadł.

– Nie. Rozglądam się za szkicownikiem.

– W spizarce?

– Resztę domu już przeszukałam. To była moja ostatnia nadzieja. – Od dawna nie robiłam szkiców do swoich pomysłów, ale po tym, gdy dzień wcześniej, pomimo sfrustrowania Cooperem, tylko gapiłam się w puste płótno, pojęłam, że trzeba spróbować odmiennego podejścia.

– Myślę, że jakiś widziałam...

Mama podniosła się i podeszła do leżącego na blacie kosza, w którym trzymała luźne kartki, foldery reklamowe i kupony. Pogrzebała w nim i wyjęła jakiś notatnik.

– Wiem, że nie jest to szkicownik – powiedziała. – Ale może się nada.

– Żebrak bierze, co dają – odparłam, odbierając go od niej.

– To moje powiedzonko – oświadczył dziadek. Właśnie pojawił się w rozsuwanych drzwiach prowadzących na dwór. Niósł konewkę i niekształtnego ogórka. – O co żebrzesz?

Pomachałam mu notatnikiem.

– Już o nic. Idę się przejść.

– Ja chyba nie... – zaczęła mówić mama.

– Nie – przerwałam jej, uświadamiając sobie, że myśli, iż będę próbowała ją namówić na wspólny spacer. – Sama. Tym razem chcę się przejść sama.

– Aha. – Mama wyglądała prawie na urażoną. – Okej. Dobrej zabawy.

Zerknęłam na dziadka, najwyraźniej równie jak ja zaskoczonego tą wymianą zdań.

– Miałaś ochotę wyjść? – zapytałam.

Pokręciła głową przecząco, znów po dawnemu uśmiechnięta.

– Ani trochę.

– Pozdrów od nas Coopera – rzucił dziadek, gdy kierowałam się do drzwi.

– Nie umówiłam się z Cooperem. Idę naprawdę przejść się sama! –

zawołałam, a drzwi się za mną zamknęły. – Dam sobie radę sama – mruknęłam, schodząc z ganku.

Nie byłam pewna, czego szukam. Wcześniej wsadziłam do tylnej kieszeni szortów kilka ołówków z węglem drzewnym i teraz jeden z nich wyciągnęłam, idąc. Otworzyłam notatnik na czystej stronie, czekając na inspirację.

Spacerowałam już co najmniej czterdzieści pięć minut, a nabazgrałam sobie jedynie samotnego ptaka siedzącego na płocie. I nawet on nie najlepiej mi wyszedł. Niemal gotowa byłam już się poddać i wrócić do domu, kiedy po drugiej stronie ulicy zobaczyłam Drzewiarza, ciągle w łańcuchach.

Spojrzałam w lewo i w prawo, zaczekałam, aż przejedzie samochód, potem przeszłam. Zbliżyłam się do Drzewiarza, machając ręką.

– Dzień dobry. Jeszcze pan tu jest.

Wskazał buldożer.

– Będę, póki on nie zniknie.

Wyglądał młodziej, niż mi się przedtem wydawało. Zdecydowanie nie był w wieku mojego dziadka, może raczej koło trzydziestki. Trudno to było określić. Długie, cienkie włosy pozostawiały okazałe zakola na czole. Skórę miał opaloną, lekko nawet wysuszoną, co zasugerowało, że zanim stał się Drzewiarzem, zdecydowanie mógł być Plaźowiczem, a przynajmniej bardzo wytrzymałym Spacerowiczem.

– Mogłabym tam usiąść czy to popsuje akcję? – Skinęłam głową w stronę nisko wiszącej gałęzi.

– Rozgość się. Kiedyś też tam ciągle przesiadywałem.

– Kiedy zaczynał pan tę swoją misję pod hasłem „Ratujmy drzewo”? – zapytałam, wyjmując ołówki z tylnej kieszeni i wtykając je sobie w koński ogon.

– Dorastając. Wiele mnie łączy z tym drzewem.

– Spędził pan dzieciństwo na tej parceli? – Położyłam na gałęzi notatnik, a potem spróbowałam się podciągnąć, by tam wejść. Okazało się to trudniejsze, niż się zdawało.

– Na tych dwudziestu akrach. Należały do moich rodziców, a sprzedali je pół roku temu. Zawarli z nabywcą ustną umowę, że nie usunie tego drzewa. Ma ono sto lat. Nie dostali jednak tego na piśmie. No i...

– To wredne.

– Zgadza się. Jesteś reporterką? – spytał, wskazując mój notatnik.

– Oo. – Zaskoczył mnie tym pytaniem. – Nie, jestem... – Umilkłam, potem oświadczyłam: – Plastikzką. Jestem plastikzką.

– To super – stwierdził, jakby rzeczywiście tak uważał.

W końcu udało mi się wciągnąć na tę gałąź i oprzeć o pień tak, że stopy mi zwisały.

– Odwiedza pana wielu reporterów?

– Niestety nie. Liczyłem na trochę szumu, który zapewni mi poparcie.

Spojrzałam na konary nade mną. Były ciężkie od liści tańczących na wietrze. Dzięki nim drzewo wydawało się żywe. Wyjęłam z włosów ołówek i chwyciłam notatnik.

– Piękne jest to drzewo. Kiedy ma nastąpić egzekucja?

– Jestem pewien, że gdyby nie moja obecność, wyrok już byłby wykonany.

– Nie ma sposobu, by to osiedle zbudowali wokół niego?

– Sądzę, że przy kreśleniu planów stwierdzili, że właśnie tędy powinna przechodzić droga.

– A to drzewo stoi im na przeszkodzie.

– Otóż to.

Przypominała mi się moja rozmowa z Elliotem, to jak sobie mówiliśmy, co kochamy na tyle, by móc się przykuć.

– Musi pan mieć wspaniałe wspomnienia związane z tym drzewem.

– Mam. Dokładnie tam, gdzie teraz siedzisz, przeczytałem co najmniej pół setki książek.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się, żebym kiedyś czytała na drzewie. Chociaż to może być najlepsze miejsce na lekturę.

– Teraz przy tym drzewie już tylko robię na drutach. – Mówiąc to, kopnął zieloną ekologiczną torbę na zakupy, stojącą obok niego.

– Pan umie robić na drutach?

– Tak.

– Ja nigdy się nie nauczyłam. Co pan robi?

Wyciągnął rękę ze znacznie większą łatwością, niż się spodziewałam po człowieku przykutym do drzewa, i podniósł tę torbę. Wyjął z niej wielokolorową czapkę, wyglądającą na niemal skończoną.

– Coś takiego.

– Czy robienie na drutach jest trudne?

– Na początku może być. Ale im więcej się ćwiczy, tym jest łatwiej.

– To tak jak prawie ze wszystkim.

– Właśnie.

W kieszeni zabręczała mi komórka, spojrzałam więc na wyświetlacz. Cooper.

– Przepraszam na chwileczkę – powiedziałam do Drzewiarza. Wciąż nie wiedziałam, jak mu na imię. Czemu go o to nie zapytałam? Odebrałam połączenie i poleciłam Cooperowi: – Zaczekaj. – Potem zwróciłam się do mężczyzny przykutego do drzewa: – Jak panu na imię? Bo ja w myślach nazwałam pana Drzewiarzem.

Zaśmiał się.

– Jestem Lance.

– Lance. Ja jestem Abby. Okej, jedną chwilę. – I znowu do Coopera: – Hej.

– Co to za Lance? – zapytał.

– Ten człowiek, który przykuł się do drzewa.

– Gadasz z tym Drzewiarzem?

– Tak. Wspięłam się na gałąź i sobie siedzę.

– Łał.

– A żebyś wiedział.

– Jeszcze tam posiedzisz?

– Tak.

– Jak długo?

– Nie wiem. Aż do fajrantu buldożera.

– Do fajrantu buldożera?

– Zakładam, że pracują w dzień. Muszę kończyć. Rysuję. – Rozłączyłam się, zanim zdążył odpowiedzieć. Czy kiedykolwiek przedtem skończyłam tak rozmowę z Cooperem? Pomyślałam, czy by do niego nie zadzwonić, żeby się upewnić, że się nie wkurzył, ale zrezygnowałam. Naprawdę miałam zamiar rysować. Do niego mogłam zadzwonić później.

Przez następne pół godziny siedziałam na gałęzi, szkicując, a Lance na ziemi, robiąc na drutach. Wędrując dłonią po kartce, uświadamiam sobie, że choć teraz coś tworzę, od jakiegoś czasu nie czuję żadnej presji. Ciężaru oczekiwań. Miałam poczucie szczęścia, rozluźnienia. Dalej więc szkicowałam. Mój pierwszy rysunek przedstawiał listowie nade mną. Teraz skupiłam się na kilkucentymetrowym fragmencie kory i rysowałam jego zbliżenie.

Ręka trochę mi już cierpła, więc przerwałam pracę i wyprostowałam ramię.

– Jaką jeszcze historię związaną z tym drzewem mógłby pan opowiedzieć? – zapytałam, żeby wypełnić ciszę.

– Z tamtej gałęzi spadł mój brat, złamał rękę. – Wskazał konar nad moją głową.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że trzymamy się dzięki kościom, powinny być mocniejsze, niż są.

– Zgadzam się. Czasem wychodzi na to, że bardzo kruche z nas stworzenia.

Na pniu, w pobliżu swojego ucha, zauważyłam wyryte czyjeś inicjały.

– A tutaj o co chodzi? Jeden zaczyna się od L. To pan?

Nawet nie oderwał wzroku od robótki.

– Mój pierwszy pocałunek.

– Dokładnie tutaj? Tu, gdzie siedzę, wydarzyła się tak pamiętna chwila w pana życiu?

– Właśnie to powiedziałem.

– Kiedy już wrócę do domu, napiszę stanowczy list do... – Zawahałam się. – Do telewizji? Do burmistrza?

– Nie musisz tego robić.

– To nie jest moja sprawa, więc nie mogę siedzieć tu z panem przez następny miesiąc czy coś w tym stylu, ale w pisaniu stanowczych listów jestem dobra.

– To ile takich stanowczych listów już napisałaś?

– Okej, w porządku. Ten będzie pierwszy, ale chciałam, żeby mi pan zaufał.

Uśmiechnął się.

– Ufam w pełni.

Odchyliłam głowę i znów przyjrzałam się górującemu nade mną drzewu.

– Rozumiem, co pana do tego skłania – zauważyłam. – Nie ma pan nic przeciwko temu, że zrobię nam zdjęcie?

– Pewnie, że nie.

Otworzyłam aparat i strzeliłam fotkę nam dwojgu – mnie na gałęzi i jemu pode mną. Pomyślałam, czy nie dołączyć jej do e-maila do taty, ale przyszedł mi do głowy ktoś jeszcze, komu chciałabym je przesłać. Elliot.

„W imię mojej sztuki przykułam się do drzewa”.

„Przykułaś się do tamtego drzewa?”, odpisał prawie natychmiast.

„Nie dosłownie, ale właśnie dowiedziałam się, dlaczego ten człowiek chciał to zrobić, i przypomniała mi się twoja rzeźba. Nadal chcę ją obejrzeć”.

„Oglądaj moje prace, kiedy zechcesz”.

Po powrocie do domu przejrzałam szkice, które zrobiłam w notatniku. Połączyłam trochę tych motywów i namalowałam drzewo wraz ze wspomnieniami o nim – ułamaną gałąź, symbolizującą złamaną kość, dwie gałązki splecione w kształt serca, upamiętniające pocałunek, słowa wyryte w korze dla przypomnienia ksiązek, a u dołu pnia namalowałam łańcuch. Ten łańcuch symbolizował Lance’a. Wykorzystałam jedno z moich większych płócien, mimo to gałęzie drzewa sięgały od brzegu do brzegu. Już rozumiałam, czemu Elliot tak często rzeźbił drzewa. Były rzeczywiście wspaniałe.

Ale i tak mojemu obrazowi czegoś brakowało, bo jakkolwiek byłby wspaniały, nie widziałam w nim drzewa, do którego bym się przykuła.

Rozdział 23

Następnego dnia siedziałam na łóżku z notatnikiem, usiłując wnieść w szkice drzewa coś bardziej osobistego. Na obrazie opowiedziałam historię Lance'a, ale co z moją?

Leżący obok mnie komputer brzękiem ogłosił przyście wiadomości.

„Hej, dziecko”.

Uśmiechnęłam się, odłożyłam notatnik i napisałam: „Tato! Możesz wejść na wideoczat?”.

„Już dzwonię”.

Komputer zadzwieczał, a ja przesunęłam kursor na ikonkę wideo. Na ekranie pojawiła się twarz taty.

– Ale masz krótkie włosy – zauważyłam.

Przejechał dłonią po języku.

– Gorąco tutaj. Kumpel mi je wczoraj przystrzygł.

– Mam pójść po mamę? – Podniosłam się na łóżku, patrząc w stronę drzwi, jakby mogła się za nimi czaić, czekając na zaproszenie.

– Właśnie sobie pogadaliśmy. Jest u siebie w pokoju.

Parsknęłam śmiechem.

– Jesteś dobrze poinformowany.

– Miło raz na jakiś czas zaskoczyć cię wiedzą o waszym życiu domowym.

Uśmiechnęłam się, a z jego twarzy uśmiech zniknął.

– Jak się czuje? – zapytał. – Robiła dzielną minę, ale dam głowę, że wiesz o niej teraz więcej niż ja.

– Trzyma się. Ostatnio wyszła kilka razy na spacer. To dobrze. Obiecała mi, że przyjdzie na moją wystawę.

– Dostałaś się na nią? Lista serca poskutkowała!

– Właściwie to jeszcze nie. Nie pokazałam mu dotąd moich nowych obrazów. Ale to zrobię.

– Nadal mnie nie zachwyca, że pan Wallace zarzucił ci brak serca. Nie znam nikogo, kto miałby większe.

Prychnęłam.

– Musisz tak mówić, bo jesteś moim tatą. I dlatego, że słabo mnie znasz.

Oczy mu się zwęziły, a ja parsknęłam śmiechem.

– Tylko żartowałam. Znasz mnie przecież.

– Wiem, że stać cię na większy sarkazm niż...

– No i wpakowałeś się na drogę porównań, wiedząc, że się na niej wyłożysz na maksa.

– Niż twojego dziadka! – oznajmił, kończąc rozpoczęte zdanie.

– Niezła próba, ale według mnie dziadek nadal bije mnie na głowę. Jest starszy i o wiele bardziej doświadczony.

– Skoro mówimy o twoim dziadku, co tam u niego?

– Jeszcze żyje.

Za tatą otworzyły się i zamknęły drzwi, obejrzał się przez ramię.

– Strasznie cię przepraszam – zwrócił się znów do mnie. – Muszę iść. Prześlij mi zdjęcia swoich ostatnich obrazów. I, Abby, nie daj nikomu wmówić sobie, że nie masz serca.

– Dzięki, tato.

– Chciałbym móc być na twojej wystawie.

Wzruszyłam ramionami.

– Może żadnej nie będzie. A raczej ja nie będę brała w niej udziału, więc się nie przejmuj...

– Kocham cię – powiedział.

– Ja ciebie też.

Kliknął „Zakończ” i jego pikselowata twarz na moim ekranie na moment zastygła. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam tej gładkiej powierzchni.

Usilnie pracowałam nad szkicem kory, gdy w szparze moich drzwi niespodziewanie pojawiła się głowa Coopera.

– Hej – powiedział.

– Kto cię wpuścił?

Uśmiechnął się i wszedł do mojego pokoju.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? To dlatego się rozłączyłaś?

– Rozłączyłam się, ponieważ byłam zajęta. – Uśmiechnęłam się.

– Nadal jesteś na mnie wściekła, że chciałem się pojedynkować z Lacey?

– Nie. Od dawna wiem, jaki z ciebie głupek.

Przeniósł wzrok na moje ręce.

– Co robisz?

– Rysuję.

– Rysujesz? Kiedy ostatnio rysowałaś? – Usiadł przy mnie i spojrzał na

otwarty notatnik.

- Co to jest?
- Kora. W zbliżeniu.
- Okej – powiedział bez przekonania.

Miał rację. To już w niczym nie przypominało kory. Na pewnym etapie tak, jednakże po tylu poprawkach, mających uczynić ją ciekawszą, lepszą czy bardziej dynamiczną, wyglądała to teraz na jakąś bazgraninę.

- Widzę, że jesteś pod wrażeniem.
- Czemu nie malujesz?

– Malowałam... W pewnym sensie. Robię sobie burzę mózgow. – Szturchnęłam go w ramię. – A teraz przestań sobie drwić. – Ponownie przyjrzałam się liniom na papierze.

Odebrał mi notatnik i ołówek i położył je na mojej szafce.

- Hej! Oddawaj.
- Ratuję cię przed sobą samą.

Westchnęłam.

- Niech ci będzie. No to zrobimy coś z listy. – Może to by nam pomogło.

Cooper runął na moje łóżko, powędrował wzrokiem przez pokój ku liście i bez zapalu wzruszył ramionami. Jego entuzjazm dla listy regularnie topniał, w dużej mierze ku memu rozczarowaniu. Musiałam przecież zapracować na udział w wystawie. Nie mogłam odpuścić, mając jeszcze czas. Poza tym zdobywanie tych doświadczeń było fajne. Wczoraj po rozmowie z Lance'em odhaczyłam na liście „Poznaj historię nieznanego”. Nawet się o to nie starałam, samo wyszło.

- Przejdźmy do „Cooper mierzy się z lękiem” – powiedziałam.
- Jeszcze nic tu nie wymyśliłem.

– Akurat. Jestem przekonana, że znasz swój największy lęk, tylko bardzo boisz się mi to zdradzić. Daj spokój, wyrwę go z ciebie z korzeniami. – Wstałam i wyciągnęłam rękę.

- Będzie bolało.
- Poświęcę się.
- Będzie bolało mnie.
- Na takie poświęcenie też mnie stać.

Uśmiechnął się.

- A dlaczego musimy wyjść z domu, żeby to zrobić?
- Bo to jest wpisane w wyrywanie z korzeniami.

Dał mi się postawić na nogi i wyprowadzić z pokoju.

Mieliśmy z Cooperem swoje miejsce nad oceanem, takie, które lubiliśmy odwiedzać, bo nie było tam natłoku turystów. Przeważnie nie było tam żywej duszy. To miejsce wymagało specjalnej wyprawy. Było odizolowane, nieduże, wyżłobione przez przyływy i pełne niewygód. Jechało rybą, wodorostami i solą. Mimo to właśnie tutaj przychodziliśmy czasem, uciekając przed wszystkim wokół.

Gdy wychodziliśmy z domu, razem z torbą plażową zabrałam notatnik, znalazłam więc czystą kartkę i uniosłam długopis.

– Przeprowadzę wywiad – oznajmiłam, usadawiając się na skale. Jeden z fioletowych kwiatków porastających klif połaskotał mnie w stopę.

– Z kim?

– Z tobą.

– Po co?

– To część procesu wrywania z korzeniami. Zamierzam odkryć twój lęk. Jeśli i ty, i ja go nie znamy, musi się skrywać gdzieś głęboko w twojej podświadomości.

– Okej, wal. – Odchylił się, oparty na dłoniach.

– Jakie jest twoje najdawniejsze wspomnienie?

– Łatwizna. Miałem cztery lata. Pamiętam, jak wczepiam się w wujka, gdy wozi mnie quadem. Kiedy wróciliśmy, mama go ochrzaniła.

– Niewątpliwie z tym zdarzeniem wiązą się silne emocje, bo inaczej byś go nie pamiętał. Czy to był lęk?

– Nie. Czysta ekscytacja.

– Że też na to nie wpadłam.

Parsknął śmiechem.

Wpisałam notkę w kajecie.

– Okej. To coś takiego. Dowiadujesz się, że jutro umrzesz. Czego najbardziej będziesz żałował, że nie zrobiłeś?

Miałam wrażenie, że głęboko się nad tym zastanawia, ale gdy wreszcie udzielił odpowiedzi, wyglądało na to, że chce mnie zbyć i naprawdę pomyślał o czymś, co pragnął zachować dla siebie.

– Chyba tego, że nie objechałem świata. Ale co to ma wspólnego z lękiem?

– Pomyślałam po prostu, że może on powstrzymuje cię przed zrobieniem tego, czego pragniesz.

– Nie, bardziej chodzi tu o pieniądze i to, że jestem nieletni.

Przygryzłam nakładkę długopisu.

– Objechanie świata? Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek mówił o podróżowaniu.

– Jak już powiedziałem, to teraz niemożliwe, po co więc wałkować temat?

– Okej. – Zastanawiałam się, o co jeszcze go zapytać. – Miewasz powracające koszmarne sny?

– Nie przypominam sobie. – Spojrzał na mnie z ukosa. – A ty?

– Tak.

– Serio? Co ci się śni?

– Jestem w szkole i wpatruję się w ten wielki ceglany mur przy auli. Wiesz, o którym mówię?

– Tak. O tym, na którym wszyscy mażą i z powodu którego co roku musimy wysłuchiwać wykładu dyrektora, że ma pozostać czysty?

– No, właśnie o tym.

– Okej. Burzysz go? Bo aż się prosi o zburzenie.

– Nie. Maluję na nim.

– Oczywiście. Ale gdzie tu koszmar? Po mojemu, jak dotąd brzmi to idealnie.

– Słuchaj, maluję, a potem dyrektor mówi mi, żebym jeszcze raz się do tego zabrała, bo mur momentalnie robi się biały. Maluję więc tak samo, a on znowu każe mi powtórzyć. I znowu, i znowu, i znowu. – Przeanalizowałam sobie ten sen i doszłam do wniosku, że wziął się z tego, iż nie czuję się dość dobra. Nie dość dobra dla Coopera, nie dość dobra dla jego rodziców, a nawet czasem i dla mojej mamy. I zdecydowanie nie dość dobra jako malarka. Brzmiało to strasznie dramatycznie, dlatego w życiu bym się do czegoś takiego nie przyznała.

– Wow. Rzeczywiście okropne.

Wzruszyłam ramionami, decydując się na nonszalancję.

– Nie co noc mi się to śni.

– Myślałem, że powiesz coś o potworach lub demonach, ale skoro tak to ujmiesz, może ja też mam taki sen.

– Tak?

– Stoję w pokoju bez okien i drzwi i jestem w nim sam.

Zapisałam jego sen w moim notatniku.

– I co potem? Próbujesz się przebić przez ścianę czy coś?

– Nie. To wszystko. Budzę się w kiepskim nastroju.

– Przerażony?

– Raczej nie.

Westchnęłam.

– Jesteś beznadziejny.

Wyciągnął szyję, próbując zajrzeć mi do notatnika.

– To wszystkie pytania? Skończyłaś grzebać mi w głowie?

– Nie. Jeszcze jedno.

– Okej.

Spojrzałam mu w oczy.

– Czego się boisz?

Roześmiał się donośnie, odrzucając głowę w tył. Gdy przestał i już tylko się uśmiechał, zapytał:

– Spodziewałaś się, że już wiem?

Też się uśmiechnęłam, ale potem westchnęłam.

– Nie, jednak warto było spróbować.

Dotknął stopą mojej torby.

– Wzięłaś może ręczniki? Albo coś słodkiego?

– Jedno i drugie.

Wyciągnął ręce, a ja rzuciłam mu najpierw ręcznik, potem batonik musli. Położył się na skale, zwinął ręcznik i wsunął sobie pod głowę.

– Wiesz, tylko przy tobie umiem siedzieć spokojnie.

– Jak to?

– Chodzi o to, że lubię być w ruchu. Kiedy nic nie robię, nosi mnie. Ale ty jesteś w tym tak dobra, że nie mam nic przeciwko.

– Tak dobra w czym? W nicnierobieniu?

– No i nie tak wyszło.

– Nie tak?

– Bo od razu mnie usadziłaś. A to był komplement.

Kopnęłam go w stopę.

– Musisz popracować nad komplementowaniem.

Zachichotał i rozpakował batonik.

– Wiem.

Ponownie otworzyłam notatnik i zaczęłam szkicować kwiaty wyrastające ze szczelin w skale.

– Jak myślisz, czemu tak jest?

– Czemu kiepsko mi wychodzi komplementowanie?

– Nie. Czemu nie potrafisz siedzieć spokojnie?

– Ależ potrafię. Tylko popatrz. Jestem uosobieniem zen. – Odgryzł duży kawałek batona i powoli go przeżuwał.

– Boisz się nudy? Tego, że ludzie uznają cię za nudziarza? – Wycelowałam w niego palec. – Oo. Mam. Boisz się przebywać sam na sam ze swoimi myślami.

Uszczypnął się w nasadę nosa.

– Oho, zaczyna się bolesne wyrywanie tego, co mam pod czaszką.

– A więc zgoda? – Nie bardzo wiedziałam, czemu mi tak zależy na odkryciu jego lęków. Wiązałam to z listą i chęcią odpłacenia mu za przerażającą przejażdżkę quadem, ale gdzieś w sobie czułam, że chodziło o coś więcej.

– Nie – odparł. – Pod moją czaszką lepiej być nie może. Tu nieustannie trwa impreza.

Rysowałam dalej. Bezcelowe ćwiczenie tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że Cooper niczego się nie boi. Nadeszła pora, by zmienić temat.

– Jak tam twoja siostra? Opłakuje jeszcze swoją złotą rybkę?

– Nie. Próbuje namówić mamę na ptaszka w klatce.

– Przesuwa się w górę łańcucha pokarmowego. Nieźle.

– Potrzebny jest ci ten jej obraz, żebyś mogła pokazać go panu Wallace'owi?

– Jeszcze nie.

– Musisz namalować jeszcze jeden?

– Nie, no, ewentualnie. Jeśli wliczyć jej rybkę, to tej nocy skończyłam piąty, ale coś w nim jest nie tak.

– Przeciągasz sprawę – mruknął.

– Wcale nie. Mam czas.

Chwilę milczeliśmy, a Cooper kończył batonik musli. W oddali fale rozbijały się o skały, pchając wodę w kamienne zagłębienia i bliżej nas. Za kilka godzin miejsce, gdzie siedzieliśmy, miał zakryć przypyływ.

– Do czego doszło z Elliotem, Abby? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Jak to, do czego doszło? Byliśmy razem na imprezie. Spodziewałeś się zaproszenia na ślub?

– Nie spodobał ci się?

– Kto tak powiedział? – Mój głos podjechał o oktawę i nawet ja słyszałam w nim obronny ton.

– Ja. Sądziłem, że twoje plany towarzyskie zakładają spotkanie się

z artystą.

– Skąd wiesz, że on jest artystą?

– Sam mi powiedział.

– Kiedy?

– Nie pamiętam.

Zamknęłam notes i siadłam prosto, Cooper natomiast nie zmienił pozycji.

– Wydawało mi się, że pierwszy raz zetknęliście się wtedy w restauracji.

– Tak było – potwierdził.

– A drugi raz na tej imprezie. – Czułam narastającą we mnie frustrację.

– Tak, ale może wypytywałam.

– A dlaczego?

– Wolę wiedzieć, z kim chce się spotykać moja przyjaciółka.

Strzeliłam go ręcznikiem.

– Cooper, nigdy więcej nie wypytuj. Nie o takie rzeczy.

– A więc on ci się nie podoba?

Cisnęło mi się na usta: „Nie jest tobą”.

– Sama nie wiem. Jest fajny. Może będzie z tego przyjaźń. –

A przynajmniej na to liczyłam.

– Niepotrzebny ci kolejny przyjaciel.

Skrzyżowałam ręce na piersi. Nie przywykłam do takiej powagi u Coopera. Zdarzały się między nami spięcia, ale czemu teraz o to?

– Przepraszam. Co to miało znaczyć?

– Wyłącznie to, co powiedziałem.

– Możliwe, że niepotrzebny mi jest ten przyjaciel, którego teraz mam.

Wziął w garść trochę piasku i bez większego zapału sypnął w moją stronę.

– Reakcja typowo szczeniacka – oświadczyłam, czując, że napięcie zaczyna opadać.

Uśmiechnął się.

– To dlatego, że czasem doprowadzasz mnie do rozpacz.

– Nawzajem.

Zakrył oczy ręcznikiem.

– Już dobrze. Poddaję się.

– Jest mi dobrze. Czuję się szczęśliwa. Niepotrzebny mi chłopak. Może ty stale musisz mieć dziewczynę, żeby cię dowartościowywała czy coś w tym stylu, ja nie. Okej?

– Okej. Już powiedziałem, nie było tematu.

- W porządku.
- To w porządku. – Ściągnął z twarzy ręcznik i siadł prosto. – Nie jest tak, że stale potrzebuję dziewczyny.
- Okej.
- Nie potrzebuję.
- Powiedziałam okej... tylko tak się składa, że zawsze starasz się jakąś mieć.
- Wcale nie.
- Może to jest ten twój lęk.
- Co?
- Boisz się samotności. Utknięcia w pomieszczeniu bez okien, drzwi i jakiegokolwiek drogi wyjścia. Całkiem sam.
- Czemu tak się uczepiłaś moich lęków? Może powinnaś przeanalizować swój własny sen, Abby. Swoje własne strachy. Trochę sobie pogrzebać w mózgu. Odkryć, czemu ciągle malujesz to samo. Dowiedzieć się, co cię hamuje.
- Ze zdumienia aż mnie замуrowało. Nic mnie przecież nie hamowało.
- Przecież widać, jaka jestem.
- Spojrzał na mnie krzywo, potem wstał.
- Muszę już chyba wracać do domu.
- Też się podniosłam.
- No. Ja również.

Rozdział 24

Po powrocie do domu przemierzałam swój pokój od ściany do ściany, wydeptując w wykładzinie grubą krechę. Cooper sam nie wiedział, co mówi. Dążyłam do tego, żeby malować lepiej. Żeby dorosnąć. Żeby się zmienić. Nie było tak?

Ujrzałam w myślach tamten ceglany mur i obraz malowany raz po raz. Wiedziałam, że to był tylko sen, ale czemu w kółko malowałam w nim to samo? Ani na jotę nic nie zmieniając?

Bałam się zmian.

Ta myśl spłynęła na mnie jak jakieś objawienie, ale wiedziałam, że odpowiada prawdzie. Twierdziłam, że staram się dorosnąć i się zmienić, a naprawdę robiłam wszystko, by zostało po starym. W obliczu zmiany się zapierałam. Kiedy dziadek wspomniał o terapii dla mamy, powstrzymałam go. Gdy Lacey spróbowała się ze mną zaprzyjaźnić, zaczęłam trzymać ją na dystans. Ledwie Cooper zaczął stawiać tamę moim uczuciom, natychmiast je w sobie zdusiłam. Chciałam trwać pod swoim idealnym kloszem, gdzie nawet jeśli nie wszystko było doskonałe, to przynajmniej do ogarnięcia.

Przez to odkrycie rozzłościłam się na siebie. Pomaszerowałam do pracowni, zdarłam osłony ze wszystkich ostatnich obrazów: ze wschodu słońca, z Coopera na wydmach, ze sceny i z drzewa. Koniec z opieraniem się zmianom. Czas przestać. Nieważne, czy te obrazy są lepsze, muszę się z tym zmierzyć.

Stawiałam już czoło lękom. Nadeszła pora, by zrobić to ponownie, bez względu na rezultat.

Zatrzymałam się pod drzwiami domu Coopera i zapukałam. Otworzyła jego siostra.

– Cześć, Amelio – przywitałam się.

– Hej. Nie ma go.

Nie rozmawiałam z Cooperem od czasu naszej sprzeczki na plaży, czyli od dwóch dni. Byłam pewna, że w końcu i tak się dogadamy. Teraz jednak nie chodziło o Coopera i o mnie.

– W porządku. Właściwie przyszedłam spytać, czy mogłabym pożyczyć mój obraz.

– Postanowiłaś w końcu pokazać go temu facetowi od sztuki? – zapytała z szerokim uśmiechem.

– Na to wygląda.

Klasnęła w dłonie i aż stanęła na palcach.

– Będzie nim zachwycony. – Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w głąb domu. Jej rodzice siedzieli w kuchni, więc pomachałam im w przelocie.

Obraz wisiał u niej na ścianie, wskoczyła więc zaraz na łóżko i pomogła mi go zdjąć.

– Jeśli się nie sprzeda, żądam zwrotu po zakończeniu wystawy.

– Oczywiście. Natychmiast ci odniosę albo namaluję nowy.

Ścisnęła mnie za rękę.

– Powodzenia, Abby.

– Przyda się.

Wnosząc do budynku dwa obrazy ze swoich pięciu, miałam nadzieję, że pan Wallace będzie czymś zajęty. Cała byłam w nerwach. Poprzednio, gdy wkraczałam tu ze swoją teczką prac, byłam przekonana, że zachwyca go na pierwszy rzut oka. Teraz takiej pewności nie miałam. Nie do końca wiedziałam nawet, jak sama je oceniam.

Chciałam, żeby wszystkie obrazy zobaczył jednocześnie. Dlatego ukradkiem przemykałam po wypolerowanych muzealnych posadzkach. Czułam się jak w jakimś filmie szpiegowskim. Mijałam wyeksponowane obrazy, starając się nie patrzeć na nie. I tak już byłam załęczniona. Nie marzyło mi się akurat teraz porównywanie się z profesjonalistami. Kilku stałych bywalców spojrzało na mnie z zaciekawieniem, gdy ich mijałam, mnie jednak zależało przede wszystkim na spotkaniu z panem Wallace'em.

Obraz w lewej ręce był dłuższy od tego w prawej, przez co szłam trochę krzywo. Dotarłam do drzwi jego gabinetu i nacisnęłam klamkę. Nie było zamknięte. A kiedy otworzyłam drzwi na oścież, w środku panowała ciemność. Odetchnęłam z ulgą i zapaliłam światło. Wnętrze było jak zwykle zagracone, a pod ścianą po prawej zgodnie z moimi oczekiwaniami nadal leżał stos połamanych sztalug.

Ostrożnie oparłam swoje obrazy o najbliższą ścianę i poszłam przyjrzeć się tym sztalugom. Wyszukałam pięć, na których po odpowiednim ich ustawieniu – oparciu o biurko, dwóch jedna o drugą i dwóch o ścianę –

mogłabym rozlokować swoje obrazy. Potem wybiegłam i przyniosłam resztę prac.

Gdy kończyłam umieszczać je na sztalugach, ponad górną wargą perlił mi się pot. Centralne miejsce zajmowało wielkie płótno z drzewem.

Cofnęłam się, by je ocenić. Serce mi strasznie waliło. Na moment pozwoliłam sobie spojrzeć na nie obiektywnie, a nie okiem twórczyni. I przez ten ułamek chwili wydawały mi się dobre. Naprawdę dobre. Wytarłam wargi wierzchem dłoni, wyleciałam stamtąd, a potem ruszyłam na poszukiwanie pana Wallace'a. Rozmawiał z jakąś kobietą ubraną w damski garnitur. Stali przed jednym z obrazów impresjonistycznych. Możliwe, że pora nie była najlepsza. Na to jednak nigdy nie będzie dobra. To musi nastąpić teraz. Teraz albo nigdy. Odwrócił się w moją stronę.

Delikatnie mu pomachałam. Kobieta przeszła do kolejnego obrazu, ale pan Wallace nie ruszył za nią. Czekał. Pokonałam dzielące nas trzydzieści kroków.

– Jest pan zajęty? – zapytałam.

Obejrzał się na kobietę w garniturze.

– Nie. Nie wiedziałem, że dziś pracujesz.

– Bo nie pracuję.

– Chciałbym, żebyś od środy pomagała mi w przygotowaniach do wystawy. Zbliża się wielkimi krokami.

– Pamiętam. W środę tu będę.

– Okej, świetnie. – I już się oddalał, jakbym tylko po to przyszła.

– Chwileczkę – zawołałam odrobinę za głośno. – Chwileczkę – powtórzyłam ciszej. – Muszę panu coś pokazać.

– Co takiego?

– Proszę pójść za mną. – Poprowadziłam go w stronę jego biura.

– Do magazynu znów dostała się mysz? – zaniepokoił się.

– Nie. Nie chodzi o myszy.

Klamka była śliska. Wytarłam dłonie w dzinsy i znów ją przekręciłam. Potem otworzyłam drzwi i odsunęłam się na bok, gestem zapraszając go, by wszedł pierwszy. Zrobił to. Zaciskając powieki, odczekałam chwilę, potem weszłam za nim.

Od razu je zobaczył. Nie sposób było ich przeoczyć. Podchodził do nich kolejno, analizował, nie mówiąc słowa. Ja zajęłam pozycję przy drzwiach, jak na warcie. Może dlatego, żeby uciec po pierwszym negatywnym sygnale. A może, żeby dać mu chwilę na dokonanie oceny w samotności.

Mocno przełknęłam ślinę i wykonałam krok.

– Twoje? – zapytał pan Wallace.

– Tak.

– Są interesujące.

Nie byłam pewna, czy to dobrze, czy źle.

– Włożyłam w nie wiele emocji.

– To widać.

– Chcę wziąć udział w wystawie. Chcę pokazać te obrazy.

– Już poinformowałem wszystkich, którzy się zakwalifikowali. Lista jest zamknięta.

Serce mi stanęło i miałam ogromną ochotę uciec jak poprzednio. Nie zrobiłam tego. Nawet nie drgnęłam.

– Słucham? Mówił pan, że to dopiero za kilka dni.

– Uporałem się wcześniej. – Znów przyjrzał się mojemu drzewu. – Ale...

– Ale?

– Możliwe – mówił dalej – że przeanalizujemy rozkład prac i zobaczymy, czy w części sprzedażowej da się jeszcze wcisnąć dodatkowego twórcę.

– Czyli zgoda? Pan się zgadza?

– A jeśli nie otrzymasz żadnych ofert?

– I tak będzie świetnie. Pragnę po prostu szansy.

– Abby, ale masz w sobie zapał.

– Czasami.

– Okej, chciałbym, żebyś rozrysowała nowy układ wystawy, taki, który uwzględni wszystkich, i przyniosła mi do akceptacji.

Klasnęłam w dłonie.

– Czyli naprawdę pan się zgadza?

Uśmiechnął się.

– Tak.

Wydałam krótki okrzyk i chwyciłam go w ramiona.

– Tak bardzo panu dziękuję!

– Abby, to nie było profesjonalne. – Jego uśmiech słyszało się nawet w tonie głosu.

Opuściłam ręce.

– Ma pan rację. – Zamieniłam to w uścisk dłoni, machając jego ręką nazbyt entuzjastycznie. Nie panowałam nad krążącą we mnie adrenaliną. – Dziękuję. – Już pędziłam do drzwi, żeby się nie rozmyślił, równie gwałtownie jednak zawróciłam, przypominając sobie o obrazach.

– Zostaw obrazy tutaj – powiedział. – Nie będziesz musiała ponownie ich dźwigać. Ustaw je pod ścianą. Przyniosłaś coś do przykrycia?

– Przyniosłam.

Szybko skończyłam sprawę obrazów, a potem wyszłam, cała w skowronkach.

Rozdział 25

Udało mi się nie paść, a nawet dojść do samochodu i do niego wsiąść. Natychmiast napisałam do Coopera: „Powiedział tak! Powiedział TAK!!!”.

Chwilę później przyszła odpowiedź: „Oświadczyłaś się komuś?”.

Nie w głowie były mi sarkastyczne odpowiedzi, za bardzo byłam podekscytowana. „Moje obrazy trafią na wystawę. Powiedział tak. Wszystkie pięć! Moje serce rozrosło się chyba monumentalnie”.

„Najwyższy czas, żeby docenił twój geniusz. Jedziemy to uczcić. Za dziesięć minut u ciebie?”

„Daj mi pół godziny. Muszę udać, że nie zaczęłam od powiadomienia ciebie i powiedzieć o tym w domu”.

– Mamo! Dziadku! – Wparowałam do domu.

Mama poderwała się, jej książka poleciała na podłogę. Nie zważając na to, dopadła do mnie.

– Co takiego? Coś się stało? Wypadek samochodowy? Trzęsienie ziemi? Wywalili cię? – Złapała mnie za ramiona i uważnie się przyjrzała.

Otworzyłam usta, a potem zamknęłam.

– Serio? Takie są twoje pierwsze skojarzenia?

– Nigdy przedtem nie wpadałaś tak do domu. Zaniepokoiłaś mnie.

– Wszystko dobrze. Nawet lepiej. Gdzie jest dziadek?

– Za domem.

Poszłam do kuchni i otworzyłam tylne drzwi. Mama przyszła za mną.

– Dziadku, do domu! To, co obwieszczę, bije na głowę sprawy zdrowia twoich warzyw!

Dziadek skierował się od drzwi do kuchennego zlewu i zabrał się do szorowania rąk mydłem.

– Wszystko w porządku?

Możliwe, że przynosząc takie wieści, powinno się popracować nad tonem.

– W każdym razie trzęsienia ziemi nie było – oznajmiłam.

– Powinienem domyślić się z kontekstu? To młodzieżowe określenie czegoś wstrząsającego? Abby, czyżbyś stała na niepewnym gruncie?

Zakręcił wodę i wytarł ręce w ręczniki wiszące nad kuchenką.

Roześmiałam się.

– Tak. W pewnym sensie. Dostałam się na tę wystawę!

– Słucham? Dostałaś się? – Mama klasnęła w dłonie i chwyciła mnie w objęcia. – Wiedziałam, że ci się uda!

Odwzajemniłam uścisk, potem odwróciłam się do dziadka.

Z jego oczu biła duma.

– Musiało ci się udać – stwierdził. – Powinienem wyrazić zdumienie?

– Nic nie musisz wyrażać, tylko ciesz się ze mną.

– Załatwione. – Zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Muszę napisać do taty – powiedziałam, biegnąc już do swojego pokoju.

Ledwie nacisnęłam „Wyślij”, rozległ się dzwonek u drzwi.

– Cooper gdzieś mnie zabiera, żeby to uczcić! – wydarłam się, gnając, żeby otworzyć.

Stał przed drzwiami, świeżo po prysznicu. Włosy miał mokre, a w jego oczach jaśniała radość. Rzuciłam mu się na szyję. Podniósł mnie.

– Gratulacje!

– Dzięki. I dziękuję, że robiłeś ze mną tę listę. – Bo dzięki niej zajrzałam w siebie głębiej, niż mogłam się spodziewać.

Postawił mnie na podłodze, a gdy ruszyłam z powrotem w głąb domu, chwycił mnie za rękę. Obróciłam się gwałtownie.

– Przepraszam za tamtą głupią sprzeczkę.

– Ja też.

– Możemy się umówić, że kończymy z analizowaniem, co siedzi nam w głowach.

Zdecydowanie.

– Jestem za tym. – Machnęłam ręką za siebie. – Tylko wezmę buty i możemy jechać.

– Okej. A ja się przywitam z twoją mamą i dziadkiem.

– Dobra. – Poszłam do siebie, a on do dużego pokoju. Szukając w szafie kłapek w kropki, słyszałam, jak się wita.

– Ta nowina Abby to coś wspaniałego – powiedział.

– Owszem, jesteśmy z niej dumni, tak samo jej tata – odparła mama.

Mój tata? Dopiero co do niego napisałam. Czyżby mama też się z nim skontaktowała? Wyciągnęłam jeden kłapek, drugiego nie mogłam znaleźć. Wkopałam się pod stos ciuchów. Przydałoby się posprzątać w szafie.

– Ja też – przyznał Cooper.

- Dokąd ją zabierasz? – zapytał dziadek.
- Nie wiem. Może na mleczny koktajl. Lubi koktajle.
- Aha! – zawołałam, uwalniając drugi kłapek. Wsunęłam je na stopy i zeszałam do reszty towarzystwa.
- Baw się dobrze – powiedziała mama, jak tylko mnie zobaczyła.
- Dzwoniłaś dziś do taty?
- Spojrzała na zegar ścienny.
- Nie. Teraz jeszcze jest tam za wcześnie. Powiadomię go.
- Ale powiedziałaś, że jest ze mnie dumny.
- Uśmiechnęła się.
- Oczywiście, że jest. Stale opowiada o twoim malarstwie.
- Aha. – Czyli mówiła ogólnie. – Dzięki, mamó.
- Gotowa? – zapytał Cooper.
- Tak. Jedziemy.

Jak na niedzielny wieczór, koktajl bar był niezłe zatłoczony. Czekaliśmy w kolejce już dziesięć minut, dzwonek nad drzwiami rozdzwięczał się po raz enty i weszła nowa grupka gości.

- Cooper!
- Uśmiechnął się szeroko.
- Ris! Cześć.
- Stała za nami w kolejce, zostawiając swoją grupkę.
- Myślałem, że dzisiaj jesteś zajęty.
- Bo jestem. Abby przyniosła dobre wieści, więc musiałem ją zaprosić, żeby to uczcić.
- Spróbowałam ukryć uśmiech, ale tak nieudolnie, że Iris to zauważyła.
- Jakie dobre wieści? – zapytała.
- Och, nic wielkiego – zapewniłam.
- Właśnie że wielkiego. Jej obrazy trafią na wystawę w muzeum. Jako jedynego niepełnoletniego uczestnika.
- Wow – powiedziała Iris. – To wspaniale. Gratulacje.
- Dziękuję.
- Mogę się do was dosiąść?
- Powinnam odmówić. Miałam na to ochotę. Ale na kogo bym wyszła? Na strasznie małą przyjaciółkę?
- Hm... Nie mam nic przeciwko – stwierdziłam, splawienie jej pozostawiając Cooperowi.

Nie zrobił tego. Objął ją i powiedział:

– Oczywiście.

Możliwe, że tylko mi się zdawało, ale mogłabym przysiąc, że obdarzyła mnie uśmiechem satysfakcji. Przeniosłam uwagę na podświetlone menu, chociaż w zasadzie znałam je na pamięć. Wypróbowaliśmy z Cooperem niemal wszystkie kombinacje koktajli, które mieli w ofercie, a do tego jeszcze parę naszych wynalazków. Jednak wpatrywanie się w czarne litery na białej tablicy wydawało mi się lepsze od patrzenia, jak Cooper głaszcze Iris po karku.

W końcu dotarliśmy na początek kolejki i Cooper spojrzał na mnie, po czym wskazał głową menu.

– Hej, pamiętasz, jak połączyliśmy...

– Powtórki nie będzie.

– Nie było złe.

– Dobre też nie – stwierdziłam.

Parsknął śmiechem.

– W porządku. A chcesz...

– Nie, wybiorę ten o smaku ciasta bananowego.

– Przecież uznajesz go tylko, jeśli banany osiągnęły idealny stopień dojrzałości.

Koleś w kasie uniósł brwi, gdy na niego spojrzałam.

– Osiągnęły? – zapytałam go.

– Kto i co?

– Banany, idealny stopień dojrzałości? – dopytał Cooper. – Czyli zero brązowych plam, ale już nie zielone.

– Wyszukam odpowiednie – zapewnił tamten.

Cooper kiwnął głową.

– To weźmiemy jeden taki, a dla mnie o smaku zapiekanego musu czekoladowego.

– Ostatnio cię po nim zemdliło – przypomniałam.

– Trenowałam żołądek – odpowiedział Cooper po czym, wciąż obejmując Iris, zapytał ją: – Co byś chciała?

– Zaskocz mnie – odparła.

Cooper nienawidził tego tekstu. Teraz ja uśmiechnęłam się z satysfakcją.

– Twoje kubki smakowe decydują – odrzekł.

Westchnęła, a potem zwróciła się do kasjera.

– Jaki jest twój ulubiony? – zapytała.

– Sam nie wiem. Lubię sernikowy.

– Okej, to ja też spróbuję.

Skasował nas i poszliśmy szukać stolika. We wnętrzu wszystkie były zajęte, zmuszeni byliśmy więc czekać na nasze koktajle na zewnątrz, przy jednym z tych okrągłych, metalowych.

Iris przysunęła się z krzesłem jak najbliżej Coopera, a on znów ją objął. Serio? To było moje święto, a nagle poczułam się jak piąte koło u ich wozu. Postarałam się jednak nie psuć sobie tym nastroju. Jeśli Iris miała się dłużej przy nas kręcić, powinnam przyłożyć się do tego, by ją lepiej poznać.

– Co lubisz robić? – zapytałam.

– Wypieki.

– Wypieki? Takie jadalne?

– Nie, na twarzy – wtrącił Cooper, kopiąc mnie pod stolikiem. – Pewnie, że do jedzenia, Abby.

Zerknęłam na niego krzywo.

Iris położyła dłoń na piersi.

– Moim marzeniem jest mieć kiedyś własną cukiernię.

– To super. Ja również marzę o nieograniczonym dostępie do słodczy.

Chyba sobie pomyślała, że z niej drwię, a przynajmniej nie traktuję dość poważnie, bo oświadczyła:

– Tu nie chodzi tylko o jedzenie. Musiałabym się również nauczyć, jak prowadzić taki interes.

– Abby chciałaby, żeby pewnego dnia jej obrazy zawisły w muzeach na całym świecie – powiedział Cooper.

– Skoro już mowa o muzeach, mógłbyś dwudziestego pierwszego zabrać moją mamę na wystawę? Samochód będę miała ja, poza tym to ułatwi jej wyjście.

– Oczywiście.

– Ale nie przyjeżdżajcie tak od razu. Będzie za duży tłok. Może około ósmej?

– Pasuje.

– Dlaczego on ma wozić twoją mamę? – zdziwiła się Iris.

– Bo ona nie znosi siedzenia za kółkiem – bezbłędnie odparł Cooper.

To też zresztą była prawda. Siedzieć za kółkiem również nie lubiła.

Wywołano nasz numer i Cooper poszedł odebrać koktajle. Uśmiechnęłam się do Iris i już miałam zapytać ją, co najbardziej lubi piec, gdy usadziła mnie wyznaniem:

– Polubiłam Coopera.
– Wiem – potwierdziłam.
– No to powinnaś skończyć z próbami sabotowania naszego związku.
– Z czym? Nic takiego nie robię.
– To oczywiste, że wolałabyś, żeby mnie tu nie było. Tyle że to ty powinnaś się wycofać i pozwolić mu mieć dziewczynę. Odstraszasz każdą, z którą chciałby być.

Skąd jej to przyszło do głowy? Z rozmów z byłymi dziewczynami Coopera?

– A ja myślałam, że staram się być miła.
– Obie wiemy, że to nieprawda. Widać, że jesteś zazdrosna.

Uniosłam brwi.

– Wow. Okej. Od razu cię więc uprzedzę, że włożenie mi na odcisk to nie jest mądry pomysł.

Uśmiechnęła się drwiąco.

– Zapamiętam.

Cooper pchnął nogą drzwi i wyszedł, niosąc wszystkie trzy koktajle. Iris znów zmieniła się w słodkie niewiniątko. Ja nie.

Wzięłam koktajl i wstałam. To było moje święto i ona się wprosiła, a nie ja.

– Cooper, możemy jechać? – Błagam, nie zawieź mnie teraz.

– Słucham? – Właśnie usiadł i wziął potężnego łyka. Spojrzał na Iris i na mnie.

Wydęła usteczka.

– Nie zostawiaj mnie tutaj.

– A dokąd jedziemy? – zapytał. – Iris też może?

Nigdy jeszcze nie robiłam czegoś takiego Cooperowi, teraz jednak musiałam.

– Moglibyśmy tym razem pobyć tylko we dwoje?

Cooper wstał.

– Przyjechałaś ze znajomymi, prawda? – zapytał Iris. – Mogą cię odwieźć do domu?

Machnęła ręką, jakby jej to nie ruszało.

– Tak, oczywiście. Bawcie się dobrze.

– Zobaczymy się w tygodniu? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Dzięki – powiedziałam, biorąc Coopera pod rękę i prowadząc nas do

jego samochodu z taką ulgą, że mało się nie rozplakałam. Wszedł ze mną. Mnie wybrał, nie ją.

– O co chodziło? – zapytał.

– Twoja dziewczyna mnie nie trawi.

– Dziewczyna? Zaliczyliśmy tylko kilka randek. Jeszcze mnie z nią nie wiąż.

To jeszcze nie etap dziewczyny i chłopaka? Interesujące.

– W każdym razie ona mnie nienawidzi.

– Nieprawda. Sądzę, że po prostu peszy ją nasza przyjaźń. Lepiej się poczuje, gdy już wrócą Justin i Rachel.

– Kazała mi się odwalić.

Roześmiał się, jakby było z czego.

– Ależ to słodkie.

– Nie wyczuwałam słodyczy. Raczej groźbę. Jakby zamierzała spróbować nas rozdzielić.

– Prawdopodobnie źle ją zrozumiałaś.

– Nie. Ale nieważne. Nie mówmy już o tym.

– Zbudujmy na plaży zamek z piasku.

– Jest za ciemno.

– Mam w aucie dwie latarki.

– Okej, zbudujmy.

– Jakim cudem twój zamek wygląda tak fachowo, a mój zupełnie jak robota lipnych budowlańców? – zapytał Cooper, gdy za pomocą znalezionej patyczka wycinałam okna.

– Nic na to nie poradzę, że jestem niesamowita.

Wymach stopy Coopera zburzył prawą wieżę.

Zatkało mnie.

– Nie trzeba było tego robić. – Klęczał, nachylając się nad swoim zamkiem, więc tak naskoczyłam na tę budowlę, że wilgotny piach przecisnął mi się między palcami nóg. Cooper złapał mnie pod kolana, przewracając na swoje ramie. Podniósł mnie i obrócił. Uderzyłam o jego plecy, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

– Krew spłynie mi do głowy. Postaw mnie.

Zrobił to, ale tak bardzo kręciło mi się w głowie, że opadłam na czworaki, a potem przekręciłam się na plecy. Pomyślałam, że przez ten piach we włosach nie obędzie się bez prysznic.

Stojący teraz nade mną Cooper szturchnął mnie stopą w zębra.

– Jestem z ciebie dumny, Abby.

– A to czemu? Z powodu moich wybitnych talentów w dziedzinie architektury piaskowej?

– Wiesz czemu. Ciężko pracowałam. Włożyłam w to siebie. Zaslugujesz na to. – Wyciągnął do mnie rękę, a ja zgodziłam się, by pomógł mi wstać i chwycił w ramiona.

Staliśmy tak razem, wpatrzeni w przetaczające się fale przez długą i piękną chwilę.

– Dziękuję ci – powiedziałam. I właśnie w tym momencie pojęłam, że będę musiała spróbować. Że będę musiała włożyć całą siebie w coś jeszcze. Możliwe, że to wszystko zmieni. Możliwe, że spełnią się moje obawy, utracę przyjaciela, nie będzie już z kim tak gadać i zostanę sama. A może, po prostu może, jednak wyjdzie mi to na dobre.

Jeszcze tego samego wieczoru, wciąż pod wpływem upojenia chwilami spędzonymi z Cooperem, napisałam do Lacey: „Miałaś rację. Czas wszystko zmienia. Jestem gotowa znów spróbować z Cooperem. Pomożesz mi ułożyć strategię?”

Odpowiedziała natychmiast. „Koniecznie”.

Rozdział 26

Następny tydzień przeleciał mi szybko w wirze przygotowywania sal wystawowych i rozsyłania zaproszeń. Z Cooperem spotykaliśmy się na kilka godzin, to tu, to tam, ale odkąd przestaliśmy podporządkowywać nasze działania liście, wróciła rutyna byczenia się na plaży, piątkowego wieczornego kina i koktajli mlecznych na molo. Lacey poleciła mi wstrzymać się z jakimikolwiek wyznaniem, dopóki nie wysmażymy genialnego planu.

I oto teraz, zaledwie tydzień przed wystawą, siedziałam na podłodze w pokoju Lacey, kombinując. Ona miała w ręce notatnik.

– To tak jak w sztuce, którą kiedyś widziałam – oznajmiła.

Siedziałam obok niej, wpatrując się w pustą stronę i czując, że ta pustka doskonale obrazuje to, jak się czuję. Nie miałam pojęcia, jak zdobyć Coopera. Coś podobnego przecież już przerabiałam. A gdyby znów zareagował tak samo? Tym się nie przejmowałam. Zmieniłam się. Tym razem nie wystraszy mnie, że w razie niepowodzenia pewne sprawy mogą potoczyć się inaczej.

– W sztuce, którą widziałas? – powtórzyłam.

– Tak. O dziewczynie i niedomyślnym chłopaku.

– Dobrze się skończyła?

– Darujmy sobie sztukę. Tu mamy prawdziwe życie.

– Czyli nie było szczęśliwego zakończenia? – Otworzyłam szeroko oczy.

Machnęła ręką.

– Oj tam, wiesz, typowy dramatyczny finał: śmierć, rozpad, złamane serce. Ale rzecz w tym, że ona musiała pokazać temu niedomyślnemu, co traci.

Postanowiłam zignorować przerażające aspekty tego porównania i zapytałam:

– Jak to zrobić?

– Najpierw doprowadź do tego, by odczuł stratę.

– Hm?

– Dziś mamy poniedziałek. Otwarcie wystawy będzie w niedzielę. Czyli za sześć dni.

– Tak.

– Do czasu wystawy nie widzisz się z Cooperem.

– Dlaczego?

Nawet nie pamiętałam, kiedy zdarzyło mi się tyle dni bez Coopera.

– Zanim chłopak uświadomi sobie, że czegoś pragnie, musi zatęsknić za tym swoim nieświadomym jeszcze pragnieniem.

– To brzmi...

– Absolutnie logicznie.

– Chciałam powiedzieć: brzmi jak zagranie z jakichś miłosnych podchodów.

– Cooper najwyraźniej potrzebuje takich podchodów. Ty postawiłaś na podejście bezpośrednie. Czas wypróbować coś innego.

Okej, czyli nie widzimy się przez sześć dni. Może być ciężko. Cooper odwiedzał mnie nieustannie. Jak miałabym go unikać?

– Zaraz do niego napisz. Powiedz, że przez cały tydzień będziesz zajęta w muzeum.

– Będę zajęta w muzeum przez cały tydzień. Od jutra.

– No widzisz. Nie trzeba żadnych podchodów.

– Będzie wpadał do muzeum. Podrzuci mi sernik czy coś w tym stylu.

– Czemu miałby to zrobić?

– Bo tak czasem robi. To się nazywa przyjaźń.

Warknęła.

– To będziesz musiała go wypatrywać i chować się, jak go zobaczysz.

– To może być skomplikowane – stwierdziłam. Nie znosiłam komplikacji.

– Miłość jest skomplikowana.

– Powinni dawać takie nadruki na koszulki.

– Na pewno już dali.

Uśmiechnęłam się i znów zajrzałam do jej notesu. Nie zapisała nic z tego, co omawiałyśmy. Jedynie narysowała dwa ludziki trzymające się za ręce i serce między nimi.

– Który to ja? – zapytałam.

– Ten niższy, oczywiście. – Dorobiła ludzikowi sukienkę. – Potrzebna ci nowa sukienka. Idealna. Coś, co sprawi, że zobaczy w tobie kobietę, a nie dziewczynę.

Powstrzymałam się od śmiechu, bo wiedziałam, że mówi poważnie.

– A to zabrzmiało jak tekst z jakiejś sztuki.

– Może tekst, ale prawdziwy. W tygodniu wybierzemy się na zakupy.
O której kończysz pracę?

– Prawdopodobnie około siódmej.

– Okej, wybierzemy się jutro. Dzięki temu będę mieć pewność, że się nie wykradniesz na spotkanie ze swoim uzależnieniem.

– Nie jestem uzależniona.

– Próbowалам kiedyś rzucić kofeinę – powiedziała, ignorując moje zapewnienia. – Dorobiłam się bólu głowy. Ciekawe, czy i ciebie będzie bolała przez ten tydzień.

Lacey może i była w moim życiu kimś nowym, ale nauczyłam się już rozróżniać, kiedy się ze mną drażni. Odebrałam jej notatnik i uzupełniłam naszkicowaną przez nią sukienkę o kilka dodatków – jakieś kwiatki wokół dekoltu, zakładki poniżej talii i kieszenie. Uwielbiałam sukienki z kieszeniami.

– Ktoś, kto potrafi zmienić sukienkę ludzika w coś ładniejszego od wszystkich moich ciuchów, musi być artystą.

Oddałam jej notatnik, a ona uważnie przyjrzała się temu ubranku.

– Żadnych kwiatków – stwierdziła. – Żegnamy dziewczynę, a witamy kobietę, zapomniałaś? Ale reszta mi się podoba. I musi być czerwona.

– Czerwona? Myślałam o czarnej.

– Zaufaj mi. Włóżysz czerwień.

– Okej, no to on widzi mnie na wystawie w mojej nowej czerwonej sukience, w której wyglądam bardziej kobieco niż dziewczęco, a potem... co?

– Potem mówisz mu, co czujesz, i go całujesz. Z tego już nie będziesz mogła wykić się żartem.

– Mam go pocałować na środku sali wystawowej, w tłumie ludzi?

– Nie. Gdy będziesz całować go po raz pierwszy, niepotrzebna ci publika. To musi być pocałunek, który odmieni życie. Z gatunku tych, co roztopiają uparte serca.

– Byle nie pod presją – mruknęłam.

– Zaczekaj. Chyba to nie będzie twój pierwszy pocałunek, tak w ogóle?

– Nie, całowałam się już z chłopakami. – Nie przez ostatni rok, ale jednak na tyle niedawno, że o swoje umiejętności się nie obawiałam.

– Świetnie. Znajdzie się w pobliżu jakieś miejsce, do którego mogłabyś go wyciągnąć? Najlepiej ciche, romantyczne.

– Magazynek na szczotki?

Uzupełniała swój rysunek o kolejne detale.

– Nie jest to magazynek na szczotki.

– Żartowałam.

Podniosła wzrok, żeby widzieć moją minę.

– Racja. Stale zapominam o twoim sarkazmie.

– Taki już mój urok.

– Masz więc na myśli inne miejsce?

Miałam. Z ławkami do siedzenia i widokiem na ocean. Otoczone drzewami i krzewami, mogłoby, o ile nie ubiegną nas inni goście, okazać się wspaniałą scenerią pierwszego pocałunku.

– Mam.

– Potem reszta powinna pójść łatwo.

Zmusiłam się, żeby odetchnąć.

– Łatwiutko. Zakocha się we mnie, nim wieczór dobiegnie końca.

– A do tego sprzedasz wszystkie pięć obrazów. To naprawdę będzie wieczór twojego życia.

– To coraz bardziej przypomina sceny z jakiejś sztuki.

– I dobrze. – Podniosła swój skończony już rysunek, jakby stanowił podsumowanie wszystkiego, o czym rozmawiałyśmy.

Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że właśnie tak jest. Uśmiechnęłam się, wzbierała we mnie pewność siebie. Cooper i ja będziemy razem. To było nam pisane.

Rozdział 27

Byłam zmęczona. Ostatnie cztery dni spędziłam w muzeum na inwentaryzacji, sprzątaniu i magazynowaniu prac oraz wszystkim innym, czego wymagało przygotowanie wystawy. A każdy wieczór poświęcałam wraz z Lacey na doskonalenie naszego planu.

Zadbała, żebym wybrała idealną sukienkę – czerwoną, bez rękawów, tuż nad kolana, z podwyższonym stanem, zakładkami i kieszeniami. Zajęłyśmy się też fryzurą. A co najważniejsze, że odkąd zajmowałyśmy się z Lacey planowaniem, ani razu nie widziałam się z Cooperem. Głowa mnie bolała, ale byłam przekonana, że to od nadmiaru trosk, a nie przez ten mój detoks.

Był piątkowy wieczór. Do wystawy zostały dwa dni. W pokoju Lacey omawiałyśmy ostatnie szczegóły tego, co rozegra się w niedzielę. Siedziałam na jej łóżku zasłanym większą liczbą poduszek, niż mieliśmy w całym moim domu.

Ona studiowała półki z butami; zajmowały w całości jedną ze ścian jej garderoby.

– Jaki rozmiarnosisz?

Wydeła wargi.

– Jak sądzisz, udałoby ci się na ten wieczór wcisnąć w trzydzieści dziewięć? Bo te tutaj byłyby doskonałe. – Podniosła prawą ręką parę butów. Były to czarne szpilki z odkrytymi palcami i czerwonymi podeszwami.

– Będę na nogach co najmniej cztery godziny.

– Czyli nie?

– Ogromne nie.

– W porządku. Ale będziesz musiała włożyć śliczne szpileczki. Nic z tych twoich płaskich obcasów.

– Okej, okej. Jutro się rozejrzę.

– Świetnie. Szkoda, że nie wybiorę się z tobą. Wolałabym zobaczyć, jak to wszystko zagra. Może powinnam odpuścić sobie najbliższe przesłuchanie w Los Angeles?

– Żartujesz, prawda? Niczego nie odpuszczaj. Musisz pojechać i zdobyć tę rolę, wiem, że cię na to stać.

Zasalutowała mi.

– Tak jest.

Uśmiechnęłam się.

– Wygłaszanie mów motywujących nieźle ci wychodzi, gorzej z przyjmowaniem tego typu uwag.

– Hej, w niedzielę czeka mnie pocałowanie Coopera Wellsa, najlepszego przyjaciela w całym moim życiu. Możesz być pewna, że w niewinne gadki motywujące wsłuchuję się aż do przesady.

– Nie nazwałabym moich strategii niewinnymi gadkami motywującymi, ale rozumiem, o co ci chodzi. A wypadniesz świetnie. Wiem, że możesz dać sobie radę, nawet jeśli mnie tam nie będzie.

– Mogę. I dam. – Mimo że nie do końca przekonana, wyrzuciłam w górę pięść. – Auć. Bark mnie boli.

– Od czego?

– W muzeum przenosiliśmy masę obrazów.

Stuknęła palcami w usta.

– Tak się zastanawiam. Już za późno, żeby namalować specjalny obraz dla Coopera? Coś, co on uzna za znaczące?

– Wystawę otwieramy za dwa dni!

– Czyli nie?

Parsknęłam śmiechem.

– Zawsze jak coś powiesz, to ludzie to spełniają?

Podniosła wzrok, zastanawiając się.

– Nie zawsze. Ale na tyle często, by mnie to rozbawiło.

– Zdaje się, że dobrana z nas para. Ty sprowadzasz mnie na ziemię, a ja rozbudzam w tobie marzenia.

Możliwe, że miała rację. Rzeczywiście popchnęła mnie do śmiałych marzeń. Wpoila we mnie myśl, że Cooper za dwa dni może być cały mój.

– Właściwie mam już obraz dla niego. Przerobiłam taki przedstawiający Coopera na quadzie. Jeszcze mu nie pokazałam nowej wersji. Jak sądzę, będzie zachwycony. Planowałam dać mu go w prezencie po wystawie, o ile się nie sprzeda.

– Doskonale. Tylko spójrz. Powiedziałam coś i się spełniło.

Podniosłam jedną z setki poduszek i cisnęłam w nią.

Złapała i okręciła się z nią jak z partnerem w tańcu. Potem walnęła poduchę na podłogę i usiadła na niej.

– A co zamierzasz zrobić z jego dziewczyną? Jeżeli pojawi się z nim w muzeum.

Uśmiech zniknął mi z twarzy.

– Oni nie są parą – powtórzyłam to, co usłyszałam od niego. – Spotkali się zaledwie kilka razy. Wątpię, żeby ją przyprowadził.

– Okej, ale jeśli tak zrobi, będziesz musiała uprowadzić go w to twoje tajemnicze miejsce.

– Wyjdzie niezręcznie.

– Nie zapominaj, że Cooper powinien być twój już od roku. To ona wykrada go tobie. Przypomnij sobie, jak się poznali. Chociaż był z tobą, nie miała oporów, żeby z nim flirtować.

– Fakt.

– Chcę usłyszeć, że w to wierzysz.

– Fakt!

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – zawołała.

Zajrzał jej tata.

– Cześć, Bill – powiedziała.

– Hej. Wyskakujemy z mamą do sklepu. Twój brat i siostra oglądają telewizję. Możesz mieć ich na nasłuchu?

– Tak, mogę.

– Dzięki. – Wyszedł, zostawiając drzwi otwarte.

– Nazwałaś go Bill. W grę wchodzi „traktuję tatę jak rówieśnika”, czy „do taty czuję taki dystans, że nie potrafiłabym zwracać się do niego inaczej niż po imieniu”?

– Dlatego, że to mój ojczym.

– Aha. To ma sens. Nie wiem, czemu sama na to nie wpadłam.

Roześmiała się.

– To dlatego twoje rodzeństwo jest od ciebie o tyle młodsze?

– Mhm. Przyrodnie.

– Jasne. A co z twoim nieojczymem?

– Masz na myśli prawdziwego tatę?

– Tak.

Rzuciła we mnie poduszką, a ja ją złapałam.

– Jesteśmy w kontakcie. Odkąd skończyłam siedemnaście lat, mam do pewnego stopnia wybór, kiedy go widywać. Przedtem dzielili się opieką pół na pół. Ciężko jest jednak przenosić swoje życie co pół tygodnia. Dlatego teraz przeważnie raz na tydzień jemy razem, a od czasu do czasu spędzam u niego trzy tygodnie.

– Mieszka blisko?
– Z godzinę stąd. I nie jest zbyt zachwycony moją wizją kariery.
– Aktorstwem? Dlaczego?
– Uważa, że jestem za młoda. Wolałby, żebym najpierw trochę dorosła.
– Ale twoja mama jest za tym?
– I to bardzo. Z zapałem mi kibicuje. A że uwielbiam grać, cieszy mnie, że chociaż jedno z nich mnie wspiera. Artystów mało kto bierze poważnie. Coś o tym wiesz.
– Wiem. Mam to szczęście, że żadne z moich rodziców nie czepia się tego malowania.
– Masz szczęście.
W kieszeni zabrzczała mi komórka, więc ją wyjęłam. Przyszedł SMS od Coopera.
„Jestem chory. Zaopiekuj się mną”.
Pokazałam Lacey telefon.
– Odmów mu. Wytrzymałaś cztery dni. Popsułyby nasze plany. Żadnych spotkań z nim przed niedzielą.
Odpisałam więc: „Na pewno twoja mama doskonale się tobą opiekuje”.
„Rodzice wyjechali z miasta”.
„Iris nie może się Tobą zaopiekować?”
„Jestem o krok od śmierci. Błagam”.
– Grr! – warknęłam sfrustrowana. – Pisz, że jest o krok od śmierci.
– Abby – upomniała mnie.
– Wiem. Ale co, jeśli jest naprawdę chory i całkiem sam?
– Zapomniałaś, że ma Iris?
– Jeśli ona będzie się nim opiekować w chorobie, to tylko pogłębi ich związek. To, że napisał do mnie, jest chyba bardzo wymowne?
– Owszem. Mówi, że nasze plany się udadzą.
– Czyli mogę do niego zajrzeć?
Lacey zmroziła mnie spojrzeniem.
– Cokolwiek powiem, i tak pojedziesz, prawda?
– To mój przyjaciel.
– Wiem. Leć już. Może chłopak jest na tyle nieogarnięty, że nasz plan i tak zadziała.
Uśmiechnęłam się.
– Dzięki za wszystko.
Uściskała mnie.

– W niedzielę wieczorem prześlij mi szczegółowy raport.

– Prześlę.

Podniosła szpilki, które wcześniej rzuciła obok łóżka.

– Weź je, tak na wszelki wypadek. Udany związek wymaga poświęceń. –
Uśmiechnęła się. – Tak, możesz to wypisać na koszulce.

Zabrałam więc te buty i wybiegłam z jej domu. Serce mi waliło. Tak łatwo dałam się namówić Cooperowi, bo się za nim stęskniłam.

Rozdział 28

Kiedy dotarłam do domu Coopera, wpuściła mnie Amelia.

– Gdzie on jest?

Machnęła ręką w głąb korytarza.

Rzuciłam torbę przy drzwiach frontowych i poszłam do jego pokoju. Zastukałam cicho w drzwi.

– Hej, to ja.

Tylko jęknął.

– Dziesięć minut temu czuleś się na tyle dobrze, żeby esemesować. Aż tak się od tamtej pory pogorszyło? – Weszłam do jego pokoju. Jedyne światło dawała tam nieduża biurkowa lampka, chwilę więc trwało, nim wzrok mi się do tego dostosował. Cooper leżał na łóżku. Ciężko oddychał. Położyłam dłoń na jego czole. Było rozpalone.

– Czekał, naprawdę jesteś chory? – Wcześniej liczyłam się z tym, że może odrobinę udaje lub przesadza, żeby mnie tu ściągnąć. – Masz straszną gorączkę. Brałeś jakieś leki, żeby ją obniżyć?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Może. – Wargi miał suche i spękane, a mówił jedynie szeptem.

– Od jak dawna to trwa? Dłużej niż ten dzień?

– Co?

– Zaraz wrócę. – Poszukałam jego siostry i znalazłam ją przed telewizorem, jedzącą lody.

– Cooper brał coś przeciwigorączkowego?

– Nie. Wrócił do domu jakieś trzy godziny temu i poszedł prosto do siebie. Próbowałam go obudzić, żeby zapytać, czy mama zostawiła nam jakieś pieniądze na kolację, ale powiedział, że śpi.

– Czyli to zaczęło się dzisiaj?

– Tak sądzę.

– Okej. Ja mam pieniądze, jakbyś chciała zamówić pizzę czy coś takiego.

– Dzięki! – Pobiegła do telefonu, a ja poszłam do apteczki. Znalazłam buteleczkę nyquilu. Poza tym zwilżyłam okład. Z tymi zdobyczami w garści wróciłam do jego pokoju.

– Hej, choraczku, usiądź na sekundkę. Muszę dać ci lekarstwo.
– Abby?
– Tak.
– Co ty tu robisz?
– Przysłałeś mi SMS-a. No już, siadaj. – Pomogłam mu usiąść. Połknął lekarstwo i położył się na boku. Mokry okład położyłam mu na karku, gdzie był najbardziej rozpalony. – Skąd się to wzięło?
– Nie wiem – wymamrotał.
– Jeśli zrobisz ci supkę, zjesz?
– Nie jestem głodny.
– Czegoś potrzebujesz? – Przewróciłam okład na drugą stronę.
– Tylko bądź przy mnie.
– Okej. To mogę zrobić, ale jeśli mnie zarazisz, nie będę zachwycona. Za dwa dni mam wielką wystawę.

Uśmiechnął się słabo, a ja przysiadłam na jego łóżku, opierając się o wezglowie.

Momentalnie położył mi rękę na kolanach, a czołem oparł się o moje biodro. Czułam bijący od niego żar. Miałam nadzieję, że lek szybko zadziała, bo oglądanie go w takim stanie wcale mi się nie podobało. Przeniosłam okład z jego karku na skroń i lekko przesunęłam go po jego twarzy.

– Zniknęłaś na tydzień – powiedział.

– Byłam zajęta.

– To wkurzające.

Odgarnęłam mu włosy z czoła.

– Zimno mi – wyznał, dygocząc.

– Raczej bardzo gorąco.

– Wiem.

Jeden z kącików jego ust spróbował unieść się w uśmiechu.

– Wow, chociaż nie możesz się pozbierać, masz siłę żartować.

Wydał z siebie coś, co pewnie uważał za parsknięcie śmiechem, a co w rzeczywistości bardziej przypominało jęk.

Okład całkiem się już ogrzał, chciałam więc wstać, by go ponownie namoczyć, ale ręka, którą mnie Cooper obejmował, wzmogła nacisk.

– Muszę go znowu oziębic, a przy okazji przyniosę trochę kruszonego lodu, to sobie pogryziesz, okej?

– Nie odchodź.

– Nie, wychodzę. Zaraz wrócę.

Uwolniłam się z jego objęcia.

Kiedy weszłam do kuchni, była tam Amelia.

– Zamówiłaś pizzę?

– Tak, kilka minut temu. Powiedzieli, że najpóźniej za pół godziny będzie.

Wyjęłam z torby dwie dychy i podałam jej.

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedziała. – Cooper poczuje się lepiej?

– Tak. Nic mu nie będzie. Po prostu ma gorączkę. Do jutra na pewno mu przejdzie.

– W porządku. To ja czekam na faceta z pizzą.

– Ale daj mi znać, kiedy przyjdzie. Nie otwieraj drzwi sama.

– Mam czternaście lat, wyobraź sobie.

Popatrzyłam na nią groźnie.

– Dobrze, już dobrze.

Z lodem i ponownie oziębionym okładem powędrowałam znów do Coopera. Wyglądało na to, że chłopak zdążył zasnąć.

Położyłam mu okład na czole, a lód na szafce. Ponownie usiadłam obok niego. Rzadko zdarzało mi się przyglądać Cooperowi nieprzerwanie przez długi czas. Teraz, gdy siedziałam obok niego, a on z zamkniętymi oczyma znów mnie obejmował, nie mogłam się temu oprzeć. Miał długie jasne rzęsy, podwijające się na końcach. Na nosie widać było zgrubienie, pamiątkę po złamaniu, które zaliczył w dzieciństwie, spadając z quada. Wargi, normalnie pełne i miękkie, teraz były suche i spękane. Rany, uwielbiałam tego chłopaka.

Głowę nadal miał rozpaloną i to mnie niepokoiło. Wzięłam trochę lodu i zwilżyłam mu usta. Przeszły mnie ciarki, od karku aż po dłonie. Stop. Zaczęło mi odbijać? Wrzuciłam lód z powrotem do kubka, zwinęłam dłonie w pięści i przycisnęłam je do boków. Długi czas tak siedziałam, wsłuchując się w jego oddech, marząc, żeby doszedł do siebie.

Ktoś zadzwonił do drzwi, więc wysunęłam się spod ręki Coopera i opuściłam pokój. Miałam pretekst, żeby się wyrwać.

Gdy dotarłam do przedpokoju, dostawca pizzy stał w otwartych drzwiach i wydawał Amelii resztę.

– Zdawało mi się, że miałaś na mnie zaczekać – przypomniałam jej.

– Ups – powiedziała, odbierając pizzę i zamykając drzwi. – Sorki.

Strzeliłam ją biodrem.

– Też chcesz?

- A jaka?
- Z pepperoni i pieczarkami.
- Jasne.

Położyła pizzę na stole i wyjęła z kredensu dwa talerze.

– Słyszałam, że obraz z rybą będzie na wystawie. Wiedziałam, że się spodoba.

– Też się z tego cieszę.

– Jak myślisz, Cooper pozwoli mi pójść na wernisaż?

– Tak. Oczywiście. Wszyscy jesteście zaproszeni. Wasi rodzice też mogą przyjść. To będzie w niedzielę wieczorem.

– Rodzice wyjechali.

– No tak. To zabierz się z Cooperem. Będzie podwoził moją mamę. –

Moje plany na ten wieczór przewidywały uprowadzenie Coopera z dala od wszystkich, na taras. Czy w tych okolicznościach będę w stanie to zrobić? I czy on na tyle dojdzie do siebie?

Odgryzła wielki kęs pizzy.

– Będzie musiał odebrać mnie z domu przyjaciółki. Mama załatwiła, że tam spędzę niedzielę.

– Gdzie w ogóle pojechali wasi rodzice? – zapytałam, siadając.

– Tata zabrał mamę na cały weekend na jakiś rejs rocznicowy.

– Fajnie.

– Dzwoniła. Ma chorobę morską.

– Oo. Nie tak fajnie. – Przełożyłam trójkąt pizzy z pudełka na talerz przede mną. – A Cooper gdzie był dzisiaj? – Postarałam się, by to pytanie padło od niechcienia, tak dla porządku. Dziwnie było nie wiedzieć, co robił przez ten tydzień.

– Chyba zabrał Ris do jakiegoś fish spa – powiedziała to tak, jakby nie wiedziała, co kryje się pod tą nazwą.

– Że co? – upewniłam się, wściekła, bo nie tylko nie zrobił tego ze mną, ale i ukradł pomysł, żeby rozerwać tamtą.

– Zgadzam się. Dziwaczne, prawda?

– Tak... Dziwaczne. – Wzięłam kilka głębokich oddechów. Nie miałam zamiaru wpaść w złość. – Lubisz ją? – spytałam.

Amelia wzruszyła ramionami.

– Jest okej. Dużo piecze.

– No, mówiła mi, że lubi piec. To super.

Amelia nachyliła się do mnie i zniżyła głos, jakby Iris była w pokoju

obok.

– Przydałoby się, żeby jeszcze to poćwiczyła.

Parsknęłam śmiechem, zanim zdążyłam się powstrzymać. Amelia się zaczerwieniła.

Gdy zjadłyśmy po dwa trójkąty pizzy, rzuciłam na mój talerz serwetkę i wstałam od stołu.

– Lepiej zajrzę do twojego brata.

– Jest jak dziecko.

– Przeważnie.

– Zadzwoił, żebyś przyszła?

– Wysłał SMS-a.

– Hm. – Nieznacznie skinęła głową.

– O co chodzi?

– O nic... Jak dziecko.

Widząc, że nie zanosi się na to, iż się dowiem, co sobie pomyślała, wyszłam. Kiedy stojąc w drzwiach, patrzyłam na Coopera, jego ramię podnosiło się i opadało miarowo. Zdecydowałam się wejść do pokoju i delikatnie przyłożyłam mu dłoń do czoła. Głowę miał o wiele chłodniejszą, odetchnęłam więc z ulgą. Istniała nadzieja, że to tylko jakaś dwudziestoczwierogodzinna infekcja.

Powoli krążyłam po jego pokoju, przyglądając się wszystkiemu na ścianach. Byłam tu z milion razy i choć z milion razy oglądałam te rzeczy, od dawna właściwie nie poświęciłam im większej uwagi. Miał tu mnóstwo zdjęć. Kilka lat temu kupiłam mu na urodziny polaroida, aparat, z którego natychmiast wyskakuje zdjęcie, choć niskiej jakości. Tutaj były ich całe tony, opasywały pokój na wysokości oczu jak szlaczek. Wiele, z różnych lat, ukazywało jego i mnie w najróżniejszych miejscach – na plaży, w Taco Bell, na wydmach, w szkole. Część przedstawiała całą naszą czwórkę – Coopera, Justina, Rachel i mnie. Na większości jednak byliśmy tylko we dwoje.

Od jakiegoś czasu wszędzie chodził z tym aparatem, choć strzelenie foty komórką było przecież łatwiejsze. „Tę mogę przynajmniej zaraz wziąć do ręki”, odpowiedział mi, gdy o to zapytałam. Z czasem jednak chodził z nim coraz rzadziej, a od kilku miesięcy wcale tego sprzętu nie widziałam. Dlatego zaskoczył mnie ostatni ciąg zdjęć – z nim i Iris. Oboje na jego quadzie, oboje na plaży. Załapała się na ścianę. To też było nowe.

Patrząc na te zdjęcia, czułam, jak pocą mi się dłonie. A przecież nic się nie stało. Jeszcze nie było za późno. Moje plany się sprawdzą. Tamtego dnia

wybrał mnie. Dziś zrobił to ponownie. Znow postawi na mnie.

A jeżeli tego nie zrobi? Co, jeśli już było za późno? Zawróciłam gwałtownie i byłam już prawie przy drzwiach, gdy usłyszałam głos Coopera.

– Abby?

– Tak, co jest? – spytałam trochę za głośno. Podbiegłam do jego łóżka.

– Myślałem, że wyszłaś.

– Nie wyszłam. Jestem tutaj.

– To dobrze. Lubię, kiedy tu jesteś.

– Ja też.

– Jesteś najlepsza – wymamrotał.

Z moich ramion zeszło napięcie.

– Wiem. Też jesteś najlepszy.

Rozdział 29

Do Coopera przyjechałam o ósmej. Teraz dochodziła północ – graniczna godzina mojego powrotu. Przysypiał i budził się. Trochę sobie porozmawialiśmy, nie zawsze z sensem (z jego strony). Co rusz zmieniałam mu okład. A teraz, gdy gorączka minęła i słodko spał obok mnie, mogłam wyjść. Amelia zajrzała tu godzinę wcześniej, żeby powiedzieć dobranoc. Wszystko się ułożyło. Należało wrócić do domu.

Zdjęłam z kolan ciężką ręką Coopera i zesłałam z łóżka. Jego komórka leżała na szafce nocnej. Prawie padła – jakiś czas temu słyszałam brzęczenie sygnalizujące niski poziom baterii. Podłączyłam ją do ładowarki, żeby po przebudzeniu mógł do mnie zaesemesować. Potem wyjęłam swoją komórkę i wysłałam mu wiadomość.

„Pora spania. Musiałam lecieć. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej”.

Do drzwi się nie spieszyłam. Właściwie czemu nie? Czemu liczyłam na to, że się obudzi i poprosi, żebym została? Powinnam przecież wyjść. I wyszłam.

Tej nocy śniło mi się, że przespałam wernisaż. Obudziłam się rano, panikując, aż dotarło do mnie, że to dopiero sobota. Takie koszmary powinny mnie dręczyć dobę później, ale już teraz przyniosło mi ulgę, że to tylko zły sen.

W telefonie czekały na mnie dwa SMS-y. Pierwszy był od Lacey: „Widzieliście się wieczorem dziś, więc jutro unikaj go jak zarazy, żeby to zrównoważyć”.

„Tak, szefie” – odpisałam.

Drugi przysłał Cooper. „Podobno wczoraj byłem jak dziecko. Dzięki za opiekę”.

Czyżby nic nie pamiętał? Dlatego tak napisał? Potwierdziłam: „Rzeczywiście taki byłeś. To znaczy, że czujesz się lepiej?”.

„O wiele. W sam raz na quada i wydmy. Jedziemy?”

„Bardzo śmieszne”.

„Zdawało mi się, że pokonałaś ten lęk”.

„Zmierzyłam się z nim. Nie pokonałam”.

Kolejny SMS był znów od Lacey. „I nie piszcie ze sobą całymi dniami”.

Roześmiałam się i zastosowałam się do zaleceń. Nic więcej mu nie napisałam, więc pewnie doszedł do wniosku, że jestem zajęta przygotowaniem do wystawy, bo sam też przestał pisać. Nie zwracałam sobie zresztą tym głowy (raczej), bo przecież absorbowały mnie przygotowania do wystawy. Tego dnia wyszorowałam tyle listów przygodłogowych i poręczy, że pod koniec pracy rozboleły mnie barki.

– Dziadku, potrzebny masaż ramion. Ale nie ten tkanek głębokich – powiedziałam po powrocie do domu. Klapnęłam na podłogę przed jego krzesłem.

– A jak inaczej miałbym zapobiec zakwasom?

Mama odwróciła do mnie komputer i zobaczyłam na ekranie uśmiechniętą twarz taty.

– Hej, mała! Będziesz miała wystawę!

– Tak! Udało się. Dostałeś mojego maila?

– Dostałem. Od razu odpisałem, ale jak słyszę, miałaś zajęty tydzień.

– Strasznie zajęty. Przepraszam.

– Nic się nie stało – zapewnił. – Powodzenia. Szkoda, że nie dam rady być.

– Nie dasz rady? Akurat. Pewnie planujesz niespodziankę jak ci ojcowie żołnierze, których ciągle pokazują w internecie, jak wyskakują z pudeł na meczach futbolowych lub z tortów na urodzinach?

– Wyskakują z pudeł na meczach futbolowych? – zdziwił się.

– Tak. To szalenie spektakularne. I leje się mnóstwo łez.

Dziadek zaczął rozcierać mi ramię, musiałam więc powstrzymać syk bólu.

– Niestety, mała. Do niczego takiego nie dojdzie. A chciałbym – stwierdził tata.

– Oni wszyscy tak mówią. Próbują zmylić tropy. Ale ja swoje wiem. Tylko nie wyskakuj z jakiegoś mojego obrazu, bo będziesz musiał za niego zapłacić. A ja poćwiczę zalewanie się łzami.

– Abby, ja...

– Paul, ona żartuje – wtrąciła mama. – Wie, że nie przyjedziesz. – Zza komputera machnęła ręką, żebym odpuściła sobie ten temat.

Dziadek, zawsze gotów wejść do gry, gdy czuł, że robi się niezręcznie, oznajmił:

– Obyś tylko miał kamerzystę, który to nakręci, Paul. Takie filmiki

zaliczają miliony odsłon w internecie.

Mama westchnęła i znów odwróciła komputer do siebie, gotowa do przeprosin.

– Znasz ich przecież – powiedziała. – Kiedy żartują, lubią przeginać.

– Co takiego? – oburzyłam się. – Według mnie dopiero wspinaliśmy się na wyżyny dowcipu.

– Zgadzam się – przyznał dziadek, wbijając mi się w mięśnie karku. – Zwłaszcza że zaliczyłem więcej o co najmniej dwa trafienia z rzędu.

– Dziadku, już się nie mówi „trafienia z rzędu”.

– Nieprawda, ja tak mówię.

– Auć. Prosiłam, bez tkanek głębokich.

Trochę złagodził nacisk.

– Jesteś już całkiem gotowa na jutro?

– Tak. Tak sędzę. – Byłam gotowa pokazać moje prace. I byłam pewna, że również na to, żeby pocałować Coopera, ale jedno i drugie i tak nastąpi, niezależnie od stanu mojej gotowości. Miałam tylko nadzieję, że on będzie gotów.

Rozdział 30

Krążyłam po swoim stanowisku w szpilkach od Lacey. Nie miałam czasu kupić własnych, a jej były zdecydowanie za małe. Cisnęły mnie w palce i obcierały stopy. Za to wyglądały dobrze. Co takiego powiedziała wtedy o poświęceniu?

Zdażyła mi już przysłać SMS-a, który jeszcze teraz wywołał u mnie uśmiech. „Powodzenia. Pamiętaj: słowami odmienisz serce”.

Jeszcze nie otwarto drzwi dla gości, ale wkrótce miało to nastąpić, więc wyciągnęłam komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Szósta czterdzieści pięć. Piętnaście minut. Poprosiłam Coopera, żeby zaczekał do ósmej, pozostawało więc mieć nadzieję, że o tym pamięta. Tak byłoby lepiej dla mojej mamy. Dla pewności wysłałam mu jeszcze szybkiego SMS-a. Ze względu na ścisły nakaz unikania go ostatnie tego typu uzgodnienia zapadły przed tygodniem przy koktajlach mlecznych i przysłuchującej się Iris.

W tyle głowy poczułam ćmienie bólu, pnącego się ku skroniom. Miałam nadzieję, że się nie nasili.

Na sąsiednich stanowiskach działało po troje, czworo ludzi, wieszających i przewieszających obrazy i podpisy. Zatarłam ręce, potem kolejny raz wygładziłam sukienkę. Mama pomogła mi ułożyć włosy w luźny kok z pojedynczymi kosmykami, przemyślnie pozostawionymi tak, by okalały twarz.

Moje obrazy wisiały na ścianie za mną niczym tło. Wyrównałam jeden z podpisów. *Drzewo życia*. Dotyczył oczywiście obrazu z drzewem. W tym tygodniu wszystkim pokazywanym pracom nadałam tytuły. Tę z Cooperem na wydmach nazwałam *Nieustraszony*. Widziany ze sceny reflektor stał się *Nową perspektywą*. Rybkę z fish spa postanowiłam nazwać *Zniekształconą*. I wreszcie wschód słońca. Ten obraz z jakichś przyczyn odzwierciedlał te wszystkie nowe rzeczy, z którymi w ciągu minionych tygodni zmierzyłam się wraz z Cooperem. *Przebudzenie do życia*.

Szczególnie polubiłam ten obraz, bo i tamten ranek, gdy siedzieliśmy i chłonęliśmy dzień, zaliczałam do moich ulubionych. Dlatego temu wschodowi słońca nadałam tytuł *Lista serca*.

Byłam podekscytowana, że ludzie zobaczą te obrazy. Nie mogłam się

doczekać zwłaszcza tego, gdy mama zobaczy scenę w teatrze. Stała się ona jakby zapowiedzią dzisiejszego wieczoru. Mama miała wreszcie ujrzeć mnie w świetle reflektorów.

Pan Wallace robił ostatni obchód. Odwiedzał wszystkich twórców, pytając, czy czegoś nie potrzebują. Znałam te zasady. Jak dotąd jednak nie od tej strony. Kiedy do mnie podszedł, uściskał mi dłoń. Wyglądał dziś nieco schludniej. Ciemny garnitur, który miał na sobie, nie był jak zwykle za duży. Po niedawnym przycięciu siwych włosów pan Wallace prezentował się bardziej stylowo.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Podekscytowana.

Omiótł wzrokiem moje obrazy.

– Powodzenia – powiedział.

– Dziękuję.

– Powinnaś odłożyć telefon. Postaraj się wyglądać jak najbardziej profesjonalnie.

– Właśnie miałam tak zrobić. Dzięki. – Włożyłam komórkę z powrotem do torby, a tę położyłam na krześle za ścianką, którą ustawiłam dla mamy. Znalazłam na zapleczu pięknie malowany parawan i pomyślałam sobie, że byłby wspaniałym schronieniem, gdyby potrzebowała oddechu.

Chwilę później otworzyły się drzwi i zaczęli napływać ludzie. Obchodzili sale, przyglądali się obrazom. Oglądali też moje. Obym tylko nie odleciała z tego podekscytowania.

W polu mojego widzenia pojawiła się znajoma twarz.

– Elliot! – powiedziałam. Nie widzieliśmy się od czasu tamtej imprezy, a esemesowaliśmy ostatnio po rozmowie z Drzewiarzem.

– Nie miałem pojęcia, że też się tu dziś wystawiasz – powiedział.

– Sama nie byłam pewna, czy to się naprawdę dzieje.

– Wyglądasz wspaniale.

– Dzięki. – Zeszłam na bok, bo starał się zająrzeć za mnie, zobaczyć moje obrazy.

– Abby, są niesamowite.

– Dziękuję. – Szłam za nim, gdy zatrzymywał się kolejno przed wszystkimi. – Ty kiedyś pokazywałaś swoje rzeźby na takiej wystawie?

– Nie. Nie pokazywałem. A przydałoby się. – Zatrzymał się teraz przed wschodem słońca. – Podoba mi się, jak posłużyłaś się tu kolorem. Od zimnych do ciepłych.

Miło było móc rozmawiać z rówieśnikiem rozumiejącym niuanse sztuki.

– Dużo ludzi tu podeszło? – zapytał.

– Kilkoro wyglądało na zainteresowanych, a oglądających było mnóstwo.

Jeśli chodziło o oglądających, jakaś dobrze ubrana para w starszym wieku zatrzymała się właśnie obok Elliota, żeby się przyjrzeć wschodowi słońca. Wśród zwiedzających wielu było milczków, dręczyło mnie nawet, że nie słyszę, jak oceniają moje prace – dobrze czy źle.

– Fantastyczny, prawda? – zwrócił się Elliot do mężczyzny stojącego teraz bardzo blisko niego.

– To ma być abstrakcja czy coś z realizmu? – odpowiedział pytaniem tamten.

– Pogranicze abstrakcji i realizmu.

Mężczyzna coś burknął, jakby nie podobało mu się ingerowanie w klasyczne formy. Oboje przeszli dalej.

– Tuman i tyle – szepnął Elliot.

– Daj spokój, sztuka jest subiektywna, właśnie to czyni ją wielką – stwierdziłam. – Każdy z nas uwielbia coś lub tego nienawidzi na własnych warunkach.

– Dobrze powiedziane.

Odwróciłam się od obrazów w stronę środka sali. Buty mnie dobijały.

– Nie widziałeś może kogoś z mojej rodziny albo Coopera?

– Tutaj?

Uśmiechnęłam się.

– Nie, w McDonalddie, kawałek dalej. Oczywiście, że tutaj.

– Nie widziałem. Chcesz, żebym zrobił obchód i ich poszukał? – Wskazał drugi poziom, zajęty przez pozostałą część ekspozycji.

– Nie. Nie trzeba. – Gdyby się pojawili, zaraz by mnie odnaleźli.

– To idę dokończyć swoją rundkę. Przyjrzeć się innym artystom.

– Oczywiście. Idź. Gdy skończysz, daj znać, który ci się najbardziej podobał, to i ja potem popatrzę.

– Ale przecież sztuka jest subiektywna, Abby. Sama musisz dokonać wyboru. – Mrugnął do mnie.

Szturchnęłam go na rozpęd, z uśmiechem obejrzał się przez ramię. Wróciłam do czekania. Gdy koło mojego stanowiska przesunęły się trzy kolejne grupki zwiedzających, poddałam się, wyciągnęłam komórkę i skryłam się za parawanem.

Według telefonu była już ósma trzydzieści. Do końca wernisażu zostało

półtorej godziny. Miałam trzy nieodebrane połączenia, wszystkie z naszego domowego numeru. Nic od Coopera. Znowu do niego napisałam. „Gdzie jesteś?! Moja mama i dziadek czekają!”

Odpaliłam apkę Znajdź Znajomego i spróbowałam go zlokalizować, lecz dowiedziałam się tylko, że jest niedostępny. Coś takiego pojawiała się jedynie wtedy, gdy miał telefon wyłączony lub rozładowany.

Pospiesznie wybrałam numer domowy. Po drugim dzwonku odebrał dziadek.

– Gdzie jest Cooper? – zapytał.

– Nie wiem. Właśnie dzwonię, żeby się dowiedzieć.

– Tu go nie było – odparł dziadek.

– Jak tam mama?

– W porządku. Ale znacznie lepiej się czuje, kiedy wszystko toczy się tak, jak to sobie skrzętnie ułożyła w głowie.

– Wiem. Cooper w piątek wieczorem się rozchorował. Wczoraj rano mówił, że czuje się lepiej, ale od tamtej pory z nim nie rozmawiałam. Zastanawiam się, czy mu się nie pogorszyło.

Poczułam, że na lewo ode mnie ktoś stoi, a gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam pana Wallace’a. Zaskoczona, o mało nie krzyknęłam.

– Muszę kończyć – powiadomiłam dziadka. – Spróbowałbyś zadzwonić do Coopera?

– Spróbuję.

– Przyjedźcie, nawet jeśli nie będzie mógł.

– Bez Coopera nie mamy samochodu. Ty wzięłaś.

Ten szczegół mi umknął.

– A taksówką?

Dziadek zaśmiał się ironicznie.

– Uważasz, że twoja matka wsiadłaby do taksówki?

– Nie.

– Tak czy inaczej, Abby, baw się dziś dobrze. I bez mamy to przecież ogromny sukces.

Rozłączyłam się, ponieważ pan Wallace jeszcze się nie ruszył i wciąż się we mnie wpatrywał.

– Przepraszam – powiedziałam prędko. – Miała przyjechać moja mama i mój przyjaciel i zaczęłam się już martwić... – Umilkłam, ledwie dotarło do mnie, że moje tłumaczenia nic go nie obchodzą. – Przepraszam.

– Abby, proszę, postaraj się zachowywać dziś jak dorosła. To nie jest taka

wystawa, gdzie rodzice przychodzą oglądać prace dzieci.

Auc. Skinęłam głową i wyszłam z za parawanu. Przy moim stanowisku nikogo nie było, ale i tak zajęłam swoje miejsce przy obrazach.

Minęło kolejne pół godziny. Tak przynajmniej mi się zdawało. Bez telefonu nie mogłam mieć pewności. Wcześniejsza ekscytacja ustępowała miejsca rozczarowaniu, a ból głowy coraz bardziej się nasilał. Zobaczyłam w oddali Elliota i przywołałam go machaniem.

– Co jest? – zapytał.

– Która godzina?

Spojrzał na smartwatcha na swojej ręce.

– Pięć po dziewiątej.

– Została niecała godzina. Cooper miał przywieźć moją mamę. Bo ja wzięłam samochód. Mogę cię o coś prosić?

– Pewnie.

– Napisz w moim imieniu do Coopera. – Uznałam, że ma wyłączony telefon, ale może po prostu apka Znajdź Znajomego nie działała. Albo mój telefon sfiksował. Albo... cokolwiek.

– Pamiętasz jego numer?

Podyktowałam mu.

– Co mam przekazać?

– Napisz: „Abby cię szuka. Gdzie jesteś? Powiedziała, że jeśli nie jesteś chory, włamie się do najbliższej placówki naukowej, wykradnie najbardziej śmiertelny wirus i uwolni go w twoim pokoju”.

Elliot uniósł brwi. Patrzyłam, jak pisze na telefonie: „Abby chce wiedzieć, gdzie jesteś”.

– Tak też może być – stwierdziłam.

Oboje wpatrzeni w jego komórkę czekaliśmy na odpowiedź. Kiedy nic z tego nie wynikło, westchnęłam.

– Przepraszam – odezwał się ktoś za naszymi plecami. – Czy to pana obraży? – Gdy się odwróciłam, ujrzałam kobietę patrzącą na Elliota.

– Nie – zaprzeczył. A ja w tej samej chwili powiedziałam:

– Nie, moje. Pozwoli pani, że je pokażę. – Podchodząc do najbliższego, zauważyłam kątem oka, że pan Wallace patrzy w moją stronę. Czy widział całą tę wymianę zdań? Dziadek miał rację. Powinnam przestać zaprzętać sobie tym głowę i uznać, że dziś chodzi o moje obrazy, a nie o przewyciężenie lęków mamy... czy o Coopera i o mnie. Odsunęłam od siebie obie te sprawy, a z nimi swoje uczucia.

Rozdział 31

Jak tylko ta kobieta przeszła do innego plastyka, znów pojawił się przy mnie pan Wallace. Elliot też chyba sobie poszedł, bo nigdzie go nie było widać.

– Abby, jestem rozczarowany – oświadczył pan Wallace. – Twój ojciec zapewniał mnie, że zachowasz się dojrzałe.

– Mój ojciec? Pan zna mojego ojca?

– Przysłał mi maila. Nie powiedział ci? Myślałem, że to dlatego w zeszłym tygodniu przysłaś z obrazami.

– On... przysłał panu maila? To dlatego pan się zgodził?

– Napisał, że jeden z obrazów, które pokażesz, został już sprzedany, więc ze względów finansowych byłoby dla muzeum rozsądnym posunięciem stworzenie sposobności pokazania pozostałych. Miałem ci wcześniej powiedzieć, że przy podpisie pod tym obrazem powinnaś umieścić nalepkę „Sprzedane”.

Mój tata kłamstwem załatwił mi udział w tej wystawie? Same obrazy by nie wystarczyły?

– Masz klienta. – Pan Wallace skinął głową komuś za mną, potem zostawił mnie z zamętem w głowie po tej nowej informacji, zmagając się z napływem łez. Zdusiłam jakoś płacz i zbliżyłam się do starszego pana, oglądającego obraz z Cooperem na wydmach. Ta praca wydała mi się nagle strasznie infantylna. Na żadnym innym płótnie na tej wystawie nie zobaczyłoby się quada.

– Spodobałby się mojemu wnukowi – stwierdził starszy pan.

Tępo kiwnęłam głową.

– To mój przyjaciel. Lubi jeździć.

– Tak samo jak mój wnuk. Ile?

On pierwszy zapytał o cenę, a mnie замуrowało. Ten człowiek chciał kupić go dla swojego wnuka. Przeniosłam wzrok na wiszącą obok niego rybkę. Oto moje obrazy – zachwycające tylko dzieciaki. Może naprawdę były niedojrzałe. Nagle poczułam wstyd. Jakbym sprzedawała wypchane zwierzęta, gdy wszyscy wokół handlują żywymi i egzotycznymi. Jakbym była jedyną amatorką w sali pełnej profesjonalistów. Możliwe, że pan

Wallace naprawdę chronił mnie, odmawiając. Bo nie byłam jeszcze gotowa. Moje obrazy nie były gotowe.

– Młoda damo – zapytał starszy pan z troską w głosie. – Wszystko dobrze?

– Hm. Tak. Ja... mm... Nie jestem pewna, za ile powinnam go sprzedać. – Przed wystawą trochę poszperałam i wyceniłam swoje obrazy, teraz jednak te ceny wydały mi się za wysokie.

– Może ja coś zaproponuję?

Odwróciłam się twarzą do niego. Dam sobie radę. On pragnął tego obrazu, ja byłam w stanie go sprzedać. Już otwierałam usta, by odpowiedzieć, gdy w oczy rzucił mi się znaczek w klapie jego marynarki – flaga Stanów Zjednoczonych skrzyżowana z wojskowym sztandarem.

Ten człowiek znał tatę. Tata go tu przysłał. Skoro mój tata zdobył się na okłamanie pana Wallace'a, żeby załatwić mi udział w wystawie, nie ulegało wątpliwości, że namówił kilku swoich kolegów, żeby przyszli mnie wesprzeć. Pewnie nawet powiedział, że zwróci im za obraz. Ogarnęła mnie złość.

– Właściwie ten nie jest na sprzedaż. – I tak planowałam dać go Cooperowi, jeśli więc ten klient był tylko kimś przysłanym przez mojego tatę, nie miał co liczyć na ten obraz. I gdzie w ogóle podział się Cooper? Martwiłam się o niego. Jego rodzice jeszcze nie wrócili, a siostra nocowała u koleżanki. Czyżby leżał w domu rozpalony gorączką?

– Rozumiem. Jak sądzę, ktoś przebił ofertę – powiedział starszy pan. Wręczył mi swoją wizytówkę. – Gdybyś namalowała inny z quadem, proszę o kontakt.

– Dobrze. Dziękuję.

Pożegnał się, a ja zaczęłam krążyć, nie zważając na pęcherze na obu stopach. Krążyłam i co rusz spoglądałam na drzwi. Przedtem błagałam czas, by płynął wolniej, teraz pragnęłam tylko, by ten wieczór już się skończył. Zabrzęczała moja komórka. Trzęsła torebką, leżącą na krześle za parawanem. Już się nie przejmowałam tym, co powie pan Wallace. Wyjęłam ją. Na wyświetlaczu widniało imię „Elliot”, zmarszczyłam więc brwi, zaskoczona.

– Słucham?

– Hej. – Dopiero teraz poczułam się naprawdę skołowana, bo to był dziadek. – Dzięki za podesłanie Elliota, ale ona nie da rady. Zrób dla nas masę zdjęć.

– Elliot jest u was? – spytałam szeptem.

- Tak.
- Nie możesz namówić mamy na przyjazd?
- Próbowałem i nic to nie dało.
- To ty przyjedź.
- Abby, nie mogę zostawić twojej mamy w takim stanie. Jest w rozsypce.
- Co? – spytałam z niedowierzaniem. – Nie chce żebyś przyjechał?
- Nie jest tak, że nie chce, żebym przyjechał...
- To znaczy chce?
- Chyba nie powinienem jej zostawiać w takim stanie.
- Okej – uciełam i rozłączyłam się, a łzy złości szczypały mnie w oczy. Nie porobiłam zdjęć. Będą mogli zobaczyć obrazy, gdy wrócę do domu.

Bo nadal wszystkie będą moje.

Podjęłam ostatnią próbę. „Cooper, wszystko dobrze?”

Komórka pokazała, że zostało pięć minut. Całe pięć. Policzyłam do stu, potem jeszcze raz i jeszcze, aż w drzwiach stanął pan Wallace, żegnając się z ostatnim gościem. Potem, najszybciej jak się dało, uprzątnęłam swoje stanowisko, robiąc kilka kursów do samochodu, żeby znieść moje obrazy.

– Abby – zawołał pan Wallace, gdy mijalam go z ostatnią transzą.

– Teraz nie mogę! – rzuciłam przez ramię. – Muszę jechać. Sytuacja alarmowa. – Nie obejrzałam się, żeby nie widzieć jego twarzy. Wiedziałam, że maluje się na niej rozczarowanie.

W samochodzie zdjęłam szpilki i rzuciłam je za przednie siedzenie. Obrazy wcześniej upchnęłam z tyłu. Gdy odpalałam silnik, trzęsły mi się ręce. Pod dom Coopera zajechałam w rekordowym tempie. Budynek tonął w ciemności. Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy.

Najpierw zadzwoniłam do drzwi. Nie czekając długo, znalazłam się pod oknem.

– Cooper! Nic ci nie jest?

Uchyliłam je jak przedtem i przelazłam przez parapet. W pokoju było totalnie ciemno. Gdy zapaliłam lampę na biurku, zobaczyłam, że łóżko jest puste. Przeczesałam cały dom, zaglądając nawet do pokoju rodziców. Nikogo nie było. Niepokój, który mnie przygnał do tego domu, przerodził się w poczucie ulgi, a potem w złość. Jeśli nie tutaj, to gdzie się podziewał Cooper?

Mogłam czekać. Usiadłam na jego łóżku. Pachniało nim, więc przeniosłam się na podłogę pod oknem. Minęła dziesiąta trzydzieści, czas płynął dalej. Potem jedenasta. Mój telefon zabrzączał.

SMS był od dziadka. „Jeszcze jesteś w muzeum?”

„Nie. Wyszłam. Wrócę późno”.

Trzymanie się z dala od nich wydawało mi się teraz najlepszą formą kary. Wiedziałam, że nie powinnam się wkurzać na mamę. Była przecież chora. Uświadomiłam sobie, że rzeczywiście potrzebuje pomocy. Tyle że mój rozum i emocje niezbyt się teraz dogadywały. Dlatego że byłam wściekła. Zła dosłownie na wszystkich. Na Coopera, oczywiście. Na dziadka za to, że nie zdołał namówić mamy na przyjazd, a potem sam nie przyjechał. Na tatę, że wymusił to wszystko, choć jeszcze na nic takiego nie zasługiwałam. Odchyliłam głowę, licząc się z tym, że walnę w ścianę. I tak obolały łeb przeszył dodatkowy ból. Roztarłam sobie skronie i pomyślałam o poszukaniu jakiejś aspiryny w apteczce w łazience Coopera, ale nie wykrzesalam z siebie dość siły, by wstać.

Nie domknęłam okna i lekki wietrzyk targał mi włosy. Zastanawiałam się, czy nie należałoby zadzwonić na policję. Może Cooper miał wypadek? Marzyło mi się, żeby miał na dzisiejszy wieczór naprawdę dobre wytłumaczenie. Lepiej, żeby miał.

Do głowy co rusz przychodziło mi też coś, o czym usilnie starałam się nie myśleć. W miarę jak przepełniał mnie żal, odzywały się wszystkie głęboko tłumione od dawna urazy.

Rok temu. Pamiętny wieczór na plaży. Byczyliśmy się z Cooperem po uczczeniu jego entego zwycięstwa. Justinowi i Rachel z tych czy innych powodów nie udało się załapać na tę imprezkę. To jednak nie miało znaczenia. Cooper cieszył się życiem, a jego uśmiech wywoływał mój. Uświadomiłam sobie całkiem nagle, że żyję tymi jego uśmiechami. Ilekroć je widziałam, sama też nie mogłam się nie uśmiechać. Wiedziałam też, że zrobiłabym wszystko, by je oglądać. Rozpierało mnie poczucie szczęścia, upojne i oszałamiające.

– Dobrze nam razem – powiedziałam.

Spotkał się ze mną wzrokiem i uśmiech powoli znikł mu z twarzy. Myślałam, że to dlatego, iż dostrzega powagę chwili, tego, co cisnęło mi się na usta, więc parłam naprzód.

– Zdaje się, że cię kocham.

Spochmurniał jeszcze bardziej, a ja już wiedziałam. Nie czuł tego samego.

Wesoło strzelił mnie w ramię i stwierdził:

– Z ciebie też jest świetna kumpela.

Miałam nadzieję, że rumieniec na moich policzkach ginie w mroku. Udało mi się powstrzymać szczypanie oczu od przemiany w łzy, a nawet zmusiłam się do śmiechu.

– Żałuj, że nie widziałeś swojej miny. Myślałeś, że chodziło mi o coś więcej niż przyjaźń?

Jeszcze nie skończyłam mówić, a już malująca się na jego twarzy zgroza ustąpiła miejsca odprężeniu. Też wybuchnął śmiechem i sprawa się rozmyła.

Rozpamiętywanie wydarzeń sprzed roku przerwał mi trzask drzwiczek samochodu gdzieś przed domem, a po nim śmiech. Odgłos wpadł przez uchylone okno, krystalicznie czysty.

– Świetnie się dzisiaj bawiłem – powiedział Cooper. – Dzięki za niespodziankę.

– Nie ma sprawy. – To była Iris. – A tobie za to, że jednak zdecydowałeś się przyjechać. Przepraszam za twój telefon.

– Nic się nie stało. Wypróbuję tę sztuczkę z ryżem.

Cooper już chyba się oddalał, bo Iris zawołała:

– Hej! Nawet mnie nie przytulisz? – Nastąpiła chwila ciszy, a potem pisk. Cooper najwyraźniej podniósł ją w uścisku.

Siłą powstrzymałam łzy. Za bardzo byłam wściekła. Nie mogłam sobie pozwolić na ból.

Gdy jej samochód odjechał, podniosłam się i obciągnęłam sukienkę. Czemu tu jeszcze jestem? Mogłam przecież wyjść przez okno, a zmierzyć się z nim następnego dnia, bardziej panując nad emocjami. Postąpiłam inaczej.

Cooper wszedł do pokoju i zapalił górne światło. Zaskoczony wrzasnął, a potem się roześmiał.

– Wystraszyłaś mnie.

Nie odezwałam się.

– Stęskniłaś się za mną? – Zauważył moją sukienkę. – Wow. Seksownie wyglądasz. Miałaś dzisiaj randkę?

Naprawdę o to zapytał? Zapomniał?

– Nie. Miałam swoją wystawę. Nic wielkiego.

Mina mu zrzędła, ściągnął brwi.

– Nie, będzie jutro.

– Serio? Hm. To chyba nikt nie powiadomił tych wszystkich plastików i zwiedzających, bo przyszli dzisiaj. – Mój ton był jak lód.

– Mówiłaś, że będzie dwudziestego pierwszego.

– Dziś jest dwudziesty pierwszy, Cooper.

– Nie, przecież dwudziesty? Sobota?

Parsknęłam nieszczerym śmiechem. Rozsadzający mnie ból był tak intensywny, że miałam ochotę zedrzyć ze ścian wszystkie te fotki i podrzeć je na strzępy.

Pokręcił głową.

– Naprawdę jest niedziela? Wyszedłem na totalnego kretyna. Dzisiaj na skałkach komórka wleciała mi do wody. Całkowicie padła. A ty przez cały tydzień nie pisałaś. Nie przywykłem do tego, że mi się nie przypomina.

Mnie obwiniał? Poczułam, jak spływa po mnie obojętność. Najpierw poczułam ją na czubku głowy, a potem oblała moje ciało odrętwieniem. Nie do końca był to spokój, na pewno pogodzenie. Może też postanowienie.

– To koniec – powiedziałam i poczułam, że mówię to szczerze.

– Przez tę gorączkę musiałem zgubić jeden dzień – ciągnął, nie przyjmując do wiadomości tego, co powiedziałam. – Jest lato. Dni się zlewają. Poza tym Iris też rano mówiła, że jest sobota. Widocznie i jej się pomyliło.

– No, na pewno jej się pomyliło.

– Skąd nagle tyle sarkazmu?

Podniosłam rękę, poddając się.

– Bez powodu, Cooper. To koniec.

– Niby z czym? Czemu to ciągle powtarzasz?

– Jednostronny układ się nie sprawdza. I tak nie daję rady go ciągnąć. Życzę pomyślności. – Mogłam albo wyjść przez okno, jak durna podciągając sukienkę prawie pod pachy, albo, dając wyraz swojej determinacji, drzwiami, które wciąż jeszcze tarasował.

Zdecydowałam się przejść obok niego. Kiedy doszłam do drzwi, nawet nie drgnął. Przyjrzałam mu się. W jego oczach widać było ból. To odrobinę rozmroziło moje serce.

– Przepraszam, Abby. Proszę, nie odchodź w ten sposób. Pozwól, żebym ci to wynagrodził. – To był ten Cooper, który przekonywał mnie, do czego zechciał. Błaganie w oczach, urzekający uśmiech, przekonujący ton. Tym razem nie podziałało.

– Cooper, odsuń się.

– Abby, proszę, nie rozstawajmy się tak. Jak się udała wystawa? Twoja mama jest zła, że po nią nie przyjechałem?

– Nie pojechała.

Zacisnął palce na zamkniętych oczach.

– O nie. Strasznie cię przepraszam. Potworny ze mnie palant. Największy na świecie.

– Odsuń się – warknęłam.

Sięgnął po moją rękę, a ja cofnęłam ją gwałtownie. Tego się nie spodziewałam. Poznałam to po jego zaskoczeniu. Już nie prosiłam, żeby się odsunął. Odepchnęłam go i wybiegłam.

Dopałam do samochodu i dopiero gdy oddaliłam się o przecznicę, pozwoliłam sobie na łzy. Popłynęły strumieniem.

Rozdział 32

Kiedy dojechałam do domu, mama z dziadkiem czekali na mnie. Mama rzeczywiście była w rozsypce. Oczy miała zapuchnięte, makijaż spłynął. Nie miałam ochoty na kolejną sesję przeprosin. Widocznie jednak dzisiaj nie liczyło się to, czego chcę, bo właśnie nimi mnie uraczyła.

Runęła na mnie, obejmując za ramiona, z twarzą przytuloną do mojej szyi.

– Tak mi przykro.

– Nie chce mi się dziś o tym gadać. – Odepchnęłam ją. Nigdy przedtem jej nie odrzuciłam, a teraz gniew i poczucie winy tak we mnie wezbrały, że ledwie mogłam oddychać.

Mama załkała.

– Powinnaś się leczyć – burknęłam.

– Wiem – przytaknęła.

– Idę do łóżka. – Wiedziałam, że nieprędko zasnę, musiałam jednak uciec z tego pokoju, zanim padnie więcej słów, których nie będę mogła cofnąć. Gwałtownie zawróciłam i pognałam w głąb korytarza.

Dziadek, który dotąd się nie odzywał, wyszedł za mną.

– Co? – rzuciłam.

– Chcesz o tym porozmawiać? – powiedział to spokojnie, jakby nic się nie stało.

– Chcę zostać sama.

– Jesteś zła.

– Tak, jestem zła!

– Nic dziwnego. Ja też bym był.

– To dobrze. Bo ja jestem.

– Przykro mi, że nie pojechała.

– Na ciebie jestem zła, dziadku! Na ciebie!

– Nie mogłem jej zostawić.

– Poważnie? Poważnie? Takie znalazłeś sobie wytłumaczenie? Właśnie ty? Ty, który zawsze starasz się ją mobilizować. Tym razem cię to przerosło?

– Jeszcze jej nie widziałem w takim stanie, Abby.

– To może trzeba było poprosić Elliota, żeby z nią został. Może mógłbyś

zostawić ją na pół godziny, podjechać i trochę mnie wesprzeć! To był ważny wieczór, a ja cię w ogóle nie obchodziłam.

– Obchodzisz mnie. Wiesz o tym.

– No to tym razem na pewno tego nie okazałeś! I proszę, opuść mój pokój. – Wiedziałam, że połowa tej tyrady należała się Cooperowi, ale na resztę dziadek zasłużył, więc nie próbowałam go zatrzymać, gdy wychodził z opuszczoną głową.

To wrzeszczenie na niego jakoś wcale mi nie pomogło. W głowie mi dudniło, a oczy paliły.

Z wysłaniem tacie e-maila powinnam zaczekać, aż ochłonę. Ale i on zapracował na mój gniew. List był krótki, ale oddawał to, co czułam.

Tato, nigdy już nikogo nie okłamuj ani w nic nie wrabiaj, w tym także swojej córki. Daj jej samodzielnie osiągnąć sukces.

Wcisnęłam „Wyślij” i zamknęłam laptop. Potem poszłam do łazienki, łyknęłam dwie aspiryny i zagrzebałam się w łóżku.

Następnego ranka komórka obudziła mnie strasznym brzęczeniem. Siadłam prosto. Spałam w ubraniu i umalowana. Czułam, że rzęsy mam posklejane. Spojrzałam na telefon. Dostałam dokładnie trzydzieści dwie wiadomości od Coopera. Widocznie jakoś udało mu się naprawić komórkę. Większość sprowadzała się do powtarzania w kółko słowa „Przepraszam”. Miałam też SMS-a od Lacey. „Nie przysłałaś raportu. To musi oznaczać, że wszystko poszło nadspodziewanie dobrze”.

Jęknęłam i wylazłam z łóżka. Wzięłam długi i bardzo gorący prysznic. Kiedy spod niego wychodziłam, cała byłam w czerwone plamy. W ciągu dwudziestu minut, które spędziłam w łazience, Cooper przysłał kolejne pięć wiadomości. Te również zignorowałam. Nie było za to odpowiedzi na e-mail, który wysłałam tacie. Nie bardzo miał tam czas na sprawdzanie poczty. Wiedziałam, że może się to odwlec kilka dni. Miałam nadzieję, że nie będę wtedy żałować, iż ten list wysłałam.

Wzięłam się w garść i poszłam do kuchni. Przy stole siedział dziadek, rozejrzałam się, ale mamy nie zobaczyłam.

– Jeszcze śpi. Miała nerwową noc.

– Kto nie miał – mruknęłam.

– Możemy o tym porozmawiać?

– Jeszcze nie, dziadku, błagam. – Zakręciło mi się w głowie i oparłam się o blat.

– Możesz przynajmniej powiedzieć, czy z Cooperem wszystko w porządku? Wczoraj mnie zaniepokoiło, że się nie pokazał.

– Nie mam ochoty rozmawiać o Cooperze.

Uniósł brwi.

– Nie. Serio. Skończyłam z Cooperem. Na dobre. – Wiedziałam, że przemawiają przeze mnie emocje. Gdyby chodziło o Rachel czy Justina, parę dni bym się powścickała, a potem przeszła nad tym do porządku dziennego. Tylko że nie chodziło o nich. Rzecz dotyczyła Coopera. Chłopaka, którego kochałam. I właśnie przez tę miłość przebaczenie nie mieściło mi się w głowie.

– Tak... hm... na dobre? – upewnił się dziadek.

Ból głowy wrócił. Do tego mi w niej tętniło. Dziadek przyjrzał mi się, mrużąc oczy, potem wyciągnął rękę i dotknął mojego czoła.

– Jesteś rozpalona.

– To przez Coopera – warknęłam.

– Nie wydaje mi się, żeby powodem gorączki mógł być zawód miłosny – stwierdził.

– Nie o to chodzi. On gorączkował. – Jakby było mu mało, jeszcze mnie zaraził. Dziadek wyszukał w szafce jakieś lekarstwo. Wzięłam je i wróciłam do łóżka.

Cooper cały dzień wydzwaniał i zasypywał mnie wiadomościami. Musiałam w końcu wyłączyć telefon.

Jeszcze tego samego dnia w drzwiach mojego pokoju stanęła mama.

– Jak się czujesz? – Cierpienie w jej oczach nie miało nic wspólnego z moją chorobą, za to bardzo dużo z jej poczuciem winy.

– Nieciekawie.

– Mogłabyś mi zrelacjonować ostatni wieczór? – zapytała.

– Nie. Nie mogłabym. Mam wrażenie, że od dawna na zbyt wiele ci pozwalam – odparłam. Chodziło mi to po głowie od tamtej nocy. – I nie mam teraz nastroju na rozmowę.

– Dziadek powiedział mi o Cooperze.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

Udała, że mnie nie słyszy.

– Abby, jesteś człowiekiem wielkiego serca. Wiem, że dasz sobie z tym radę.

Akurat w tej chwili czułam się tak, jakbym w ogóle nie miała serca. Jakby ściśle określony ktoś wyrwał je i zjadł.

No, może nie zjadł, ale rzucił je jakimś wściekłym psom czy coś w tym stylu. Zeszłej nocy gotowa byłam oddać mu serce. Zamierzałam się ponownie odsłonić. I tym razem nie okazał mi nawet przyjaźni. Uważałam go za najlepszego przyjaciela, ale ktoś taki nie zawałiłby tak ważnego dla mnie wieczoru. Nie potrafiłam stwierdzić, co bardziej mnie zabolalo – świadomość, że na dobre utraciłam chłopaka, którego pokochałam, czy myśl, że straciłam najlepszego przyjaciela. Prawdopodobnie to drugie.

Mama zostawiła mnie samą, mogłam więc wpatrywać się w ściany mojego pokoju. Komórka leżała na nocnej szafce obok mnie, zapchana zlekceważonymi wiadomościami od Coopera. Musiałam się od tego oderwać. Napisałam do Lacey: „Najgorszy wieczór w moim życiu”.

Komórka zadzwoniła i myślałam już, że będę musiała odrzucić kolejne połączenie od Coopera, ale to była Lacey. Odebrałam.

– Kiedy wrócisz? – zapytałam na wstępie.

– Za dwa dni.

– Mam nadzieję, że tyle wytrzymam.

– Opowiedz mi wszystko.

Tak zrobiłam.

Następnego dnia, pięćdziesiąt cztery zlekceważone SMS-y od Coopera później, akurat gdy siedziałam u siebie na podłodze, machając parą niesfornych drutów, które sobie sprawiłam, w uchylone drzwi zapukał dziadek.

– Proszę.

Drzwi, skrzypiąc, otworzyły się szerzej.

– Hej, lepiej się czujesz?

– Fizycznie? Tak. – Powiedziałabym, że gorączka ustąpiła, a wraz z nią dręczący mnie od kilku dni ból głowy. Wciąż jednak tlił się we mnie gniew, jak zło wymagające egzorcyzmów.

– Co robisz? – zapytał dziadek.

– Pracuję nad ostatnimi czterema punktami mojej listy. – Pokazałam mu włóczkę i druty. Przez Lance’a używanie ich wydawało mi się łatwizną, a wcale nią nie było. – Właściwie nad trzema. Bo na odwzajemnioną miłość w przewidywalnym czasie nie liczę.

– Z listy serca? Myślałem, że powstała tylko ze względu na wystawę.

– Nie. Po to, żebym malowała lepiej, a to jeszcze nie nastąpiło.
– Oczywiście, że nastąpiło. Dostałaś się na wystawę.
– Bo tata napisał do pana Wallace’a. To dlatego się zgodził na pokazanie moich obrazów.

Dziadkiem aż zatrzęsło.

– Przykro mi, skarbie.

Obym nie musiała już dłużej słuchać tego rodzaju zapewnień.

Dziadek podszedł do mojej listy, wciąż wiszącej na ścianie.

– Jest na niej coś o robieniu nierównych rzędków?

Na podłodze, obok mnie, rozbrzęczała się komórka. Spojrzałam na ekran.

„Abby, proszę. Porozmawiajmy”.

Warknęłam i odwróciłam telefon.

– Chcesz coś jeszcze? – rzuciłam do dziadka.

– Nie. – Nie mówiąc nic więcej, wyszedł.

Zdecydowanie przydałyby mi się porządne egzorcyzmy.

Rozdział 33

Była sobota, dzień, w którym pobiłam obowiązujący od przeszło roku rekord niewidywania się z Cooperem. Sześć dni. Ta liczba kołatała mi w głowie, gdy jadłam śniadanie. Przy myciu zębów. I kiedy włączałam komputer. Miałam w głowie też inne liczby. Choćby dziesięć. Tyle wiadomości głosowych nagrał mi w ciągu tych sześciu dni Cooper. Pierwszych dwóch wysłuchałam, ale kiedy się przekonałam, że stanowią wyłącznie powtórki z nocnej rozmowy w jego pokoju – „przepraszam, że pomyliłem dni”, „ale ze mnie palant”, „wybacz, proszę” – zaczęłam od razu je usuwać. Dwieście jedenaście... i to na pewno nie wszystko. Czyli liczba SMS-ów, które od niego dostałam. Trzy. Tyle razy pokazał się pod moimi drzwiami i został odprawiony przez dziadka. Dwadzieścia trzy. Tyle dni minęło od czasu, gdy ostatnio coś namalowałam. I nadal nie ciągnęło mnie ani do pędzla, ani do pójścia do muzeum. Cztery. Liczba telefonów, które w tym tygodniu wykonałam, tłumacząc, że z powodu choroby nie przyjdę do pracy. Nie marzyło mi się spotkanie z panem Wallace'em. Jak miałabym mu wyjaśnić moje okropne zachowanie tamtego wieczoru?

Sprawiłam skrzynkę mailową. Nadal żadnej wiadomości od taty. Czy w ogóle dostał list, który mu wysłałam? Przez to nierozmawianie z dziadkiem, mamą, tatą czy Cooperem czułam się tak osamotniona, jak nigdy przedtem.

Podniosłam komórkę i zadzwoniłam do jednej z nielicznych osób, na które się jeszcze nie wściekłam.

- Słucham? – odpowiedziała Lacey.
- Muszę się wyrwać z domu.
- No to masz szczęście. Właśnie wyruszamy ku przygodzie. Napiszę ci adres. Tam się spotkamy.

Nawet nie poprosiłam o więcej szczegółów. Wstałam, wyszykowałam się po raz pierwszy od sześciu dni, a potem wyszłam.

Kiedy wjechałam na parking przy dawnym kościele na R Street, stały już tam trzy samochody. Zaparkowałam obok bmw należącego, jak wiedziałam, do Lacey. Nie bardzo wiedziałam, dlaczego tutaj się umówiłyśmy, ale w tym

momencie zgodziłabym się na wszystko. Dążyłam przecież do tego, żeby zastąpić złe nawyki dobrymi. Wybranie się gdzieś bez Coopera było dobre. Sześć dni. Sześć.

Wyskoczyłam z auta i w podskokach pokonałam zachwaszczony kamienny chodnik wiodący do głównego wejścia. Po obu stronach drzwi, zabitych na głucho kilkoma długimi deskami, zobaczyłam okna z witrażami o brakujących szybkach, rzucające na ziemię kalejdoskop barw. Zapukałam, bez przekonania, że ktoś otworzy, ale i nie wiedząc, jak miałabym się dostać do środka.

Nikt się nie pojawił, więc obeszłam budynek. Na tyłach znalazłam drugie drzwi, w których przez brak deski powstała na tyle duża szczelina, że można się było przeczołgać. Wzięłam głęboki wdech i dałam nura. Wyciągnęłam komórkę, żeby oświetlić sobie drogę.

– Halo? – zawołałam, ale raczej szeptem. Nikt nie odpowiedział. W całym wnętrzu czuć było zastarzałym kurzem. Przystępując odłamki barwionego szkła, dostałam się w końcu do dużej sali w samym środku tego budynku.

– Lacey? – upewniłam się, dostrzegając na jej środku jakieś sylwetki. Na ten widok serce tak mi zaczęło walić, że niewiele brakowało, bym zawróciła i dała w długą.

– Abby? – Przez panującą ciszę jej głos niemal wydał mi się dudnieniem.

– Tak.

– Chodź do nas.

Tak zrobiłam.

– Co tu robicie?

– Dopiero co przyszliśmy. Daj mi sekundę.

Nacisnęła guzik i zapaliła reflektorek.

– Mam robić za kozła ofiarnego w jakimś waszym dziwnym obrzędzie otrzęsinowym?

– Nie, nic z tych rzeczy. Chodzi o coś, o czym ci już mówiłam. O wypadki poszerzające perspektywę. Lubimy wyszukiwać wokół nas nietypowe miejsca, warte odwiedzenia. To pomaga pobudzić zmysł twórczy. Niesie nam nowe doznania. O to tu chodzi.

No tak. Racja. Opowiadała mi o czymś takim. O jej własnym odpowiedniku listy serca.

– Kojarzę. – Przysiadłam na podłodze obok Lacey, wzbijając nieco kurzu, przez co momentalnie kichnęłam.

Przyjaciółka walnęła mnie w plecy, uznając to widocznie za właściwą reakcję na kichnięcie, a potem zapytała:

– Abby, znasz już Lydię, Karę, Nicka i Colby’ego?

W mroku trudno było zobaczyć ich twarze.

– Was dwie poznałam na imprezie.

Zęby Kary błysnęły w uśmiechu.

– A co robicie, jak traficie w takie miejsce? – zapytałam.

– Opowiadamy historie, jest też trochę impro – odparł jeden z chłopaków. Nick? Colby? Jeszcze nie wiedziałam, który jest który.

– Impro? – spytałam.

– To takie teatralne określenie, zasadniczo oznaczające robienie rzeczy na żywo.

– Pociąga cię teatr? – zaciekawiał się Nick (lub Colby).

– Nie. Malarstwo.

– Malarstwo. To jest też dobre miejsce na czerpanie inspiracji – stwierdziła Kara.

Rozejrzałam się. Miała rację, to wnętrze mogłoby stanowić inspirację. Wszystko tutaj, od zakurzonych klęczników po figurę Maryi przed nami, spowijała miękka żółta poświata bijąca z reflektora. Przez przybrudzone witraże w oknach otaczających salę usiłowały się przebić promienie wieczornego słońca. Z przodu stała stara pianola, pozbawiona połowy białych klawiszy, co przywodziło na myśl szczerbaty uśmiech. Moje palce po raz pierwszy od długiego czasu zatęskniły za pędzlem.

Kiedy przypomniałam sobie wystawę i mój żalony udział w niej, zaraz mi to przeszło. Wzruszyłam ramionami.

– Rzeczywiście, jest klimat.

– Najnowsze wieści – odezwała się Lacey, ściskając mnie za ramię, jakby wyczuła, że chcę zejść na dalszy plan. – Oddzwonili do mnie.

Jedna z dziewczyn wrzasnęła tak, że odbiło się to echem od ścian i na nasze głowy posypał się pył.

Nick (lub Colby, w każdym razie ten, który dotąd się nie odzywał) złapał się za głowę.

– Lydia, daj spokój. Chcesz, żeby ktoś nas tu przyłapał?

Zakryła usta dłonią.

– Sorki. To takie ekscytujące. Kiedy jedziesz? Do jakiej roli startujesz?

– W przyszłym tygodniu. A startuję do głównej.

Teraz wszyscy się rozgadali, dając wyraz zaaferowaniu.

Nachyliłam się do Lacey.

– Przepraszam, że się tobą nie interesowałam. Za bardzo zapętliliłam się we własnych problemach.

– Nie ma sprawy, rozumiem.

– Gratulacje – powiedziałam. – To rzeczywiście super.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się, potem podniosła ręce i wszyscy umilkli. – Okej. Zacznijmy. Niech każdy wybierze sobie jeden przedmiot w tym wnętrzu, a potem opowie jego historię.

Czułam, że w tej grze wypadnę okropnie. W grze? Na pewno tak to nazywali? Czy raczej ćwiczeniem? Jakkolwiek brzmiałaby oficjalna nazwa, raczej nie była to moja bajka. Wybrałam pianolę, gdyż wcześniej już nadałam jej w myślach cechy ludzkie, i opowiedziałam o dziewczynce przemienionej w nią przez złą królową. Mieli masę pytań, jakbym sobie wszystko to dokładnie przemyślała. Mając już występ z głowy, z przyjemnością słuchałam ich znacznie bardziej rozbudowanych opowieści o kobietach zastygłych w czasie, ławach zrobionych ze złota i kluczach otwierających portale. Historie te były w pełni dopracowane, z mnóstwem szczegółów i zwrotów akcji.

– Wymyśliłaś to na poczekaniu? – zapytałam Lydię, kiedy skończyła.

– Tak.

– Jakim cudem?

– To chyba kwestia wprawy.

Wrażenie na mnie zrobiły nie tylko ich opowieści. Także pewność, z jaką je przedstawiali. Jakby nie obchodziło ich, co inni pomyślą.

Nie potrafiłam stwierdzić, jak długo tam siedzieliśmy, ale kiedy wstaliśmy i otrzepywałam džinsy, cienie były znacznie głębsze, a przez witraże nie prześwitywało już światło. Gdy wychodziliśmy, Lacey wzięła mnie pod rękę.

– Dzięki, że mogłam przyjechać – powiedziałam.

– Polecam się na przyszłość.

Przez otwór prowadzący na zewnątrz wychodziłam jako czwarta i chwilę potrwało, nim dotarło do mnie, że tych troje, którzy wyszli przede mną, wpatruje się w coś w oddali. Przyszło mi do głowy, że ktoś nas nakrył. Że przyjechała policja i zaraz nas zgarnie za włamanie. Chociaż technicznie rzecz biorąc, o włamaniu nie mogło być mowy. Jedynie o wejściu na cudzy teren. To coś okazało się jednak straszniejsze od policji.

Bo to był Cooper.

Trzymał w ręce coś, czego nie potrafiłam zidentyfikować. Jakby pudło z rączką.

Moje nie całkiem jeszcze wyleczone serce zabiło.

„Skąd wiedział, że tu jestem?” Wystarczyły dwie sekundy, bym przypomniała sobie o dużej apce, którą mieliśmy w komórkach, Znajdź Znajomego. Doniósł na mnie mój własny telefon. Powinnam natychmiast pozbyć się tej apki.

Lacey, która po mnie przeszła przez otwór, też zobaczyła Coopera.

– Mam mu powiedzieć, żeby sobie poszedł? Zaraz to zrobię.

– Nie, ja z nim porozmawiam.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Serio, bez obaw. Nic do niego nie czuję.

Niedowierzenie ustąpiło miejsca współczuciu.

– Po wszystkim wpadnij do mnie, okej? Pojemy sobie czekolady i obejrzymy film o zabijaniu chłopaków. Istnieje taki? Na pewno znajdziemy.

– Ścisnęła mnie za ramię. – Bądź silna.

Uśmiechnęłam się, potem patrzyłam, jak wszyscy moi nowi znajomi wsiadają do samochodów i odjeżdżają. Wróciłam wzrokiem do Coopera. Przetrwałam sześć dni. Po tym tutaj trzeba będzie odliczać od nowa. Podchodziłam powoli, aż dzieliły nas ze trzy metry. Wtedy się zatrzymałam. Może i stałam się silniejsza, ale lepiej było nie chłonać jego zapachu.

Czułam, że po wizycie w budynku, z którego właśnie wyszliśmy, ręce i twarz mam brudne. Zastanawiałam się, czy cała nie jestem umorusana. Przypomniałam sobie jednak, że nie powinno mnie to teraz obchodzić.

Cooper spojrzał na tę budowlę za mną i widać było, że chciałby zapytać, co tam robiliśmy. Poznałam to po dobrze mi znanym uniesieniu brwi. Nie zapytał. Podniósł trzymane w ręce pudełko – czteropak szklanych butelek.

– Mleko czekoladowe – oznajmił. – Mleko czekoladowe jest dobre na wszystko.

Przytaknęłam i przełknęłam ślinę.

– Rzeczywiście.

– Przepustka na teren wroga – dodał, wyciągając w moją stronę to pudło.

Dało znać o sobie moje dawne przyzwyczajenie – wola przywracania wszystkiego do poprzedniego stanu. Pragnienie sfastrygowania naszych relacji i udawania, że wszystko gra. Oparłam się mu.

– Cooper, nie dam rady.

– To kiedy?

– Nie wiem. Potrzebuję czasu. Ty mi go nie dajesz.

– Dałem ci sześć dni. To kawał czasu. Czuję się okropnie. Myślisz, że chciałem przegapić twoją wystawę? W życiu. Chciałem ją zobaczyć. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

– Wiem, że ci się zdaje, że chciałeś ją zobaczyć. Rzecz w tym, Cooper, że kiedy naprawdę chcesz coś zrobić, to robisz to. I tyle.

– Dni mi się pokićkały.

– O tym mówię.

– Ty mi nie wybacysz – stwierdził, nie zapytał.

– Nie wiem. Możliwe. Potrzebuję czasu.

– Czasu na co?

– Żeby się w tobie odkochać, Cooper – wypaliłam. – Przeboleć ciebie. Zmienić to.

Jego brwi zjechały w dół, podbródek też opadł.

Oddech zrobił mi się płytki, policzki poczerwieniały, on jednak nadal się nie odzywał.

– Pamiętasz tamten wieczór na plaży przed rokiem? Powiedziałam ci wtedy, że cię kocham, a potem obróciłam to w żart.

Kiedy teraz na niego patrzyłam, stojącego z tym mlekiem czekoladowym i wpatzonego w chodnik, pojęłam, że od początku wiedział, iż nie żartowałam.

– Szkoda, że wtedy od razu mi nie powiedziałeś, że nie dałeś się nabrać. Może do teraz wszystko by się już ułożyło. Odkryłam wtedy wszystkie karty, a ty za łatwo pozwoliłeś mi je zgarnąć z powrotem.

Ani tamtego dnia, ani przez cały późniejszy rok nie byłam zła na to, jak się to wszystko rozegrało. Co najwyżej zażenowana i urażona. Teraz czułam złość. Za to, że od roku wiedział, a nawet nie stać go było na tyle, żeby o tym ze mną porozmawiać, pozwolić mi wyjaśnić lub chociaż powiedzieć, czemu powinniśmy być parą lub czemu go kocham. Totalnie to olał. Zlekceważył moje uczucia.

Kiedy teraz na niego patrzyłam, łzy spływały mi po twarzy. Miałam wrażenie, że wypływa wraz z nimi cała moja nienawiść i uraza.

– Ja... Ja nie wiem, co powiedzieć – oświadczył. – Przyznaję, że znów wyszedłem na palanta. Powiem ci też, że źle to wszystko rozegrałem.

Nie wiem, czego oczekiwałam po tym, gdy ta prawda wreszcie wyjdzie na jaw. W jakimś zakamarku mózgu liczyłam na to, że wtedy jednak pojął, że też mnie kocha. Że zgroza, którą tamtej nocy widziałam na jego twarzy, brała

się z zaskoczenia, nie z nieodwzajemnienia uczuć. I że one przez ten rok jeszcze się nasiliły. I że ten ostatni tydzień bez mnie przeżył z takim trudem, iż wreszcie do niego dotarło, że mnie kocha. Nic jednak na to nie wskazywało.

– Cooper, odpuszczam to sobie. Ciebie też muszę sobie odpuścić, nawet jeśli mnie to przeraża.

Patrzyłam, jak grdyka wędruje mu w górę i w dół, gdy mocno przełykał. Kiwnął głową. Postawił przed sobą na ziemi czteropak czekoladowego mleka i cofnął się chwiejnie.

Ja nawet nie drgnęłam. Stałam twardo, gdy się oddalał tyłem, ani na moment nie zrywając kontaktu wzrokowego. Nie drgnęłam nawet wtedy, gdy wsiadł do auta, a silnik ryknął. Nawet gdy wyjeżdżał z parkingu i się oddalał, trwałam w absolutnym bezruchu. A kiedy jego samochód zniknął za rogiem, osunęłam się na ziemię.

Rozdział 34

W drzwiach domu Lacey dałam przedstawienie. Nie chcąc jej dołować po tym, jak uraczyła mnie dobrą nowiną, zrobiłam, co mogłam, żeby zmusić się do uśmiechu.

– Daj spokój – powiedziała. – Przecież widziałam cię na przesłuchaniu. Nie za dobra z ciebie aktorka.

Parsknęłam śmiechem, co zabrzmiało jak czknięcie, a ona wciągnęła mnie do środka.

– Przyniosłaś czekoladowe mleko? – stwierdziła. – Czekaj, właśnie to trzymał Cooper? Cztery litry mleka czekoladowego?

Przytaknęłam.

– Mleko czekoladowe jest dobre na wszystko.

Zabrała mi ten czteropak i zaniósła go do zlewu. Myślałam, że zaraz wyciągnie szklanki, ona jednak odkręciła butelkę i zabrała się do wylewania jej zawartości.

Zamurowało mnie.

– Lacey, to płynne złoto.

– Raczej trucizna w płynie. Oto uwalniamy się od Coopera. – Opróżniona butelka szczęknęła o blat, a ona wzięła się do następnej i znowu zaczęła lać.

– Może przekazałybyśmy je głodnym dzieciom?

– Czy ty to słyszysz? – odpowiedziała pytaniem. Umilkłyśmy, uwydatniając przez to bulgot towarzyszący przedstawianiu się wielkich ilości płynu przez szyjkę o niewielkiej średnicy.

– Słyszę jedynie, jak wylewasz mleko czekoladowe do zlewu.

– O to chodzi. Właśnie ten odgłos musisz zapamiętać. Odgłos wolności.

Pokręciłam głową, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

– Czyli to odgłos wolności?

– Te słowa bardziej mi się podobają.

Powstrzymałam ją od odkręcenia następnej butelki.

– Zachowajmy trochę dla twojej rodziny. Założę się, że siostrzyczka i braciszek ucieszą się z trucizny w płynie.

– Fakt. – Otworzyła lodówkę i schowała w niej obie pozostałe butle. – Wyszukałam idealny film.

– Jaki?

– Nosi tytuł *Wyliczanka*. Spodoba ci się. Masa trupów i zemsty. A potem zrobimy sobie ognisko. Chcesz spalić jakieś rzeczy po Cooperze?

Chwyliłam ją w ramiona.

– Dziękuję ci za to.

Odwzajemniła uścisk.

– Przykro mi, że cię zranił.

Potrząsnęłam głową, czując, że znów zbiera mi się na płacz. Otrząsnęłam się i zmieniłam temat.

– Lubię twoich znajomych.

Zaprowadziła mnie do salonu.

– Oni też cię polubili. Witaj więc w świecie, w którym ma się niejedną grupę przyjaciół. To wspaniała okoliczność na takie nieuniknione sytuacje.

– To znaczy na jakie?

– Oczywiście na te, gdy chce się jednego z nich zamordować.

– Oczywiście. – Przyjrzałam się swoim dłoniom, wciąż jeszcze wyglądającym na brudne. – Mogę skorzystać z łazienki?

– Tak. W głębi korytarza, drugie drzwi po prawej.

Lustro w łazience dowiodło, że wyglądam gorzej, niż sobie wyobrażałam. Brud ściekający mi po policzkach za sprawą późniejszej domieszki łez zmienił się w coś w rodzaju błota. Odkręciłam kran nad umywalką i wyszorowałam ręce oraz twarz. Wylałam je do sucha ręcznikiem do rąk. Oparłam się o umywalkę i kilkakrotnie głęboko odetchnęłam. Na końcu kranu zawisła kropla wody. Zaczekałam, aż spadnie. Potem ponownie odkręciłam kran. Woda, bulgocząc, zniknęła w odpływie.

– Odgłos wolności – szepnęłam.

Lacey, zanim do niej dołączyłam, usadowiła się już na sofie.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Okej. Będzie dobrze. – Bo będzie. W końcu.

Włączyła odtwarzacz. Już pierwsza scena dowiodła, że trup będzie ścielił się gęsto.

– Może taki powinien być rzeczywisty odgłos wolności – zauważyła Lacey, naśladując serię z broni maszynowej.

– Nie byłby tak żałosny, ale może dlatego mniej adekwatny.

Lacey parsknęła śmiechem.

– Już łapiesz. A ja jestem przy tobie. Raz, dwa będziesz miała kogoś innego na celowniku.

Następnego dnia, stojąc na środku pokoju, przypatrywałam się temu wszystkiemu, z czego zbudowałam swoje otoczenie. Większość wycinków i zdjęć pochodziła sprzed lat. Zdejmowałam kolejno to, co wisiało na ścianach, segregując. Jedna sterta zawierała rzeczy „zdecydowanie do wywalenia”, druga te do upchnięcia w szufladzie biurka, a ostatnia nadające się do ponownego powieszenia, choć już w nowym układzie, żeby odświeżyć to moje miejsce do życia. Podobnie jak Cooper miałam na ścianach nasze polaroidowe fotki. Takie, które zwinęłam mu z pokoju albo dostałam od niego zaraz po zrobieniu. Na razie położyłam je na stosie „do szuflady”.

Zadzwoniła komórka. Numer był zamiejskowy. Wiedziałam, co to znaczy. Odebrałam.

– Tata?

– To ja – potwierdził. Zawsze kiedy dzwonił, słychać go było jakby z bardzo daleka. Bo przecież właśnie w takim miejscu był. – Jeszcze jesteś na mnie wściekła?

Zastanowiłam się nad odpowiedzią. Złość, którą pałałam od tygodnia, w dużej mierze przygasła, nie znaczyło to jednak, że nie martwiło mnie, co zrobił.

– Myślałeś, że jak trochę odczekasz, to mi przejdzie?

– Dzwonię, bo dopiero teraz mogę. Przez cały tydzień mieliśmy ćwiczenia. A więc tak? Jeszcze jesteś wściekła.

– Nie podoba mi się, że bez mojej zgody skontaktowałeś się z panem Wallace’em.

– Gdy widzę, że mojej malutkiej potrzebna jest moja interwencja, nie siedzę beczynn timer – odpowiedział.

Miałam ochotę mu wybaczyć, ale nawet nie udawał skruszonego. To komplikowało sprawę.

– Tato, mówię ci, że sobie tego nie życzę. Zwłaszcza bez uzgodnienia ze mną. Gdybym cię poprosiła, to co innego. Ale nie prosiłam.

– Dlatego sam się tym zająłem.

– Wiem! I możliwe, że popsujesz moje relacje z osobą, od której potrzebuję rekomendacji.

– Niech on lepiej napisze te rekomendacje.

Warknęłam i się rozłączyłam. Czemu w moim życiu trafiali się wyłącznie uparci faceci? Nigdy wcześniej nie kończyłam rozmowy z tatą, rozłączając się i nie przypłacając tego natychmiastowym poczuciem winy. Przecież tata

nie miał nieograniczonego dostępu do telefonu.

Rana po Cooperze znów się odezwała. Zerwałam ze ściany listę serca i cisnęłam ją na stos „do wywalenia”. Okazała się bez sensu.

Chwilę później zaskrzypiały otwierane drzwi.

– Kruszyńko. – To była mama.

Odwróciłam się do niej.

– Twój ojciec ma ci coś do powiedzenia. – Wyciągnęła w moją stronę swój telefon.

Wzięłam go od niej.

– Tak?

– Przepraszam – powiedział.

Westchnęłam. Mama była dla niego dobra. Chciałabym, żeby więcej czasu spędzał w domu, bo naprawdę świetnie się uzupełniali.

– Dziękuję – odparłam. – Właśnie to chciałam usłyszeć.

– Wiem. Czasami po prostu chcę cię chronić, a jakoś nie pamiętam, że nie jesteś już dzieckiem.

– Rozumiem. Cieszę się, że mam tatę gotowego mnie chronić, ale może lepiej zaczekać, aż poproszę o pomoc, okej?

– Czyli nie powinienem nastukać Cooperowi, kiedy wrócę?

Wiedział więc też o sprawie z Cooperem. Spojrzałam na mamę spode łba, a ona udawała chodzącą niewinność.

– Nie. Załatwiłam to we własnym zakresie.

– Nastukałaś mu? – zapytał.

Zaśmiałam się, zaraz jednak umilkłam.

– Tak, tato. Tak mi się wydaje.

– Znalazłem tutaj coś dla ciebie.

– Naprawdę?

– Zamierzałem zaczekać z tym do powrotu, ale prześlę ci zdjęcie, jak tylko się rozłączymy.

– Okej.

– Kocham cię, mała.

– Ja ciebie też.

Rozłączyliśmy się, a po dwóch minutach zalogowałam się na pocztę. Tata dotrzymał słowa – przysłał e-maila. Jedyne, co zawierał, to zdjęcie w załączniku. Kliknęłam w nie. Ekran wypełnił mały szary kamyk, spoczywający na jego dłoni. Przypominał przekrzywione serce. Znalazł więc jednak kamień w kształcie serca. Przełknęłam mocno ślinę i się

uśmiechnęłam.

Po wyrzuceniu, spakowaniu na później i ponownym rozwieszeniu moich pamiątek uznałam, że jeśli chcę zachować pracę, nie mogę dłużej migać się przed panem Wallace'em.

Kiedy pojawiłam się w muzeum, był w swoim biurze. Musiał też zrobić porządki, bo pokój wyglądał pusto.

– Dzień dobry – powiedziałam, starając się wypaść jak najpokorniej.

– Abby, lepiej się już czujesz?

– Tak, i to od jakiegoś czasu. Po prostu pana unikałam.

Pokręcił głową, zaraz się jednak uśmiechnął.

– Na twoją szczerłość zawsze można liczyć.

– Przepraszam za to, jak się zachowałam w tamtą niedzielę. Przepraszam też za to, że mój tata wymusił na panu dopuszczenie mnie do wystawy.

Westchnął i wstał.

– Wejdz, proszę. Usiądź.

Zrobiłam, o co prosił.

– Niczego nie wymusił. Sam już się prawie zdecydowałem. A w twoich obrazach widać zadziwiający rozwój.

– Tak pan uważa?

– Pewnych rzeczy musisz się jeszcze nauczyć, ale tak. Mam nadzieję, że nie zamierzasz się z nami rozstać. Naprawdę cenię to, jak tu pracujesz.

– Nie chcę stąd odchodzić. Uwielbiam pracę wśród dzieł sztuki.

– Świetnie. Mam cię zapisaną na jutro. Będiesz w stanie przyjść?

– Zdecydowanie tak. A jak pan sądzi...

– Słucham?

– Chcę wziąć udział w zimowych warsztatach plastycznych. Mogłabym liczyć, że napisze mi pan list z rekomendacjami?

– Z przyjemnością.

– Dziękuję bardzo.

Rozdział 35

Wyglądało na to, że cztery tygodnie lata, które jeszcze zostały, będą mi się dłużyć jak odsiadka za niewinność. Rachel i Justina wciąż jeszcze nie było, bałam się więc, że cały czas upłynie mi na rozpamiętywaniu. Na rozmyślaniu o Cooperze, zawałonej wystawie i nadal napiętych stosunkach z mamą i dziadkiem. Zastanawiałam się, czy Cooper opowiedział Rachel lub Justinowi, co się wydarzyło. Niepokoiło mnie, czy gdy zacznie się szkoła, nasza grupka się nie rozpadnie, czy może jakoś będę w stanie przemóc urazę i złość.

Życie mi się pochrzaniło.

Ale przynajmniej Lacey dotrzymała słowa. Obiecała, że będzie przy mnie, i była. Zapraszała mnie na imprezy, na wypadki zmieniające perspektywę i na wieczorne obżarstwa. Poza tym pan Wallace znów uwzględniał mnie w grafiku, a ja nie żałowałam sobie nadgodzin.

Minęły dwa tygodnie i choć wyrwa w moim życiu ani trochę nie zmaląła, jakoś łatwiej udawało mi się ją omijać. Zastanawiałam się, czy w życiu Coopera też jest taka dziura. Od tamtego wieczoru pod dawnym kościołem nie pisał do mnie ani nie dzwonił. Dał mi czas. Tak jak prosiłam.

Starłam się nie myśleć, czy ta decyzja była słuszna. Próbowałam żyć chwilą. W tej akurat chwili jechałam na miejscu dla pasażera samochodem Lacey. Zmierzałyśmy do domu Elliota. Poprosiłam ją, żeby pojechała ze mną przyjrzeć się jego pracom. Był upał. Pot zbierał mi się pod kolanami i nad górną wargą.

– Celowo nie włączyłaś klimy? – zapytałam, bo wilgotne powietrze wpadające przez uchylone okna wcale nie chłodziło.

– Owszem. Bo czasem dobrze jest doświadczyć niewygód. To pomaga mi w trakcie występów lepiej przekazywać tego rodzaju emocje.

– Czyli całe życie w imię sceny?

– Prawie tak.

Uśmiechnęłam się i znów skupiłam się na oknie, akurat gdy przejeżdżaliśmy przez rejony Coopera. Zmrużyłam oczy, jakbym posiadała umiejętność prześwietlania wzrokiem budynków. Musiałam dosłownie zacisnąć zęby, żeby nie poprosić Lacey o przejechanie obok jego domu.

Tego udało się nam uniknąć, ale zaraz przejechaliśmy obok pustej teraz działki, na której jeszcze niedawno rosło stuletnie drzewo. Wyrwali je z korzeniami. Ten widok był jak cios w splot słoneczny. Położyłam dłoń na szybie. Biedny Lance.

Dotarło do mnie, że Lacey o coś pyta. Nie powinnam tak błędzić myślami. Spojrzałam na nią, skupiłam się na tym, co mówiła.

– ...z nią nie spotyka?

– Słucham? – spytałam, wiedząc, że zbyt wiele mi umknęło, bym mogła zaryzykować odpowiedź.

– Rozmawiałam z Kendrą, która gadała z Delaney, jak się okazało, znającą starszą siostrę Iris, i ona powiedziała, że Cooper zerwał z Iris. To prawda?

Rozdziawiłam usta, potem zamknęłam i dopiero wtedy odpowiedziałam:

– Nie wiem.

– Poważnie? Czyli nie zaktualizował tego w sieci?

– Nie sprawdzałam.

– Wow. Jestem pod wrażeniem.

Nie miała powodu. Kiedy nie zmuszałam się do wypadów z nią, jedynie pracowałam lub spałam.

– W końcu jestem królową samokontroli.

– Czyli ucieszyły cię wieści o zerwaniu Coopera z Iris?

– A powinny? – Prawdę mówiąc, jeszcze wszystko pogorszyły, bo wiedziałam teraz, że on nie ma nikogo. Ja miałam przynajmniej Lacey. Z kim Cooper miałby się kumplować? Rachel i Justin powinni niedługo wrócić, na razie jednak ich tu nie ma.

– Zastanawiałam się, czy ci to powiedzieć. Uznałam, że może nie powinnam, ale potem przyszło mi do głowy, że ja, na twoim miejscu, chciałabym coś takiego wiedzieć.

– Fajnie było się dowiedzieć, ale to nic nie zmienia.

– Pewnie, że nie. – Pokiwała głową, jakby to jej, a nie mnie zależało na tym, żeby mieć w tym względzie pewność.

Elliot mieszkał przy plaży. Powinnam się tego domyślić po tych jego opowieściach o prywatnych nauczycielach i obawach, czy nie wypada pretensjonalnie, ale i tak mnie to zaskoczyło. Jego dom był zjawiskowy. Po ścianach z czerwonej cegły piął się bluszcz, a skrzynki pod oknami pęczniały od jaskrawych kwiatów, do tego wszystkiego ocean w tle.

– Wow – powiedziała Lacey. – Czy aby Elliot nie stał się nagle ciut

atrakcyjniejszy?

Walnęłam ją w ramię.

– No co? – oburzyła się ze śmiechem.

Wysiadaliśmy z samochodu i wspięliśmy się po kamiennych schodkach pod dom, gdzie powitał nas siedzący w doniczce gnom. Jego mina chyba miała nas odstraszyć. Zaciekawilo mnie, czy to Elliot go wyrzeźbił.

Lacey nie przejęła się straszakiem w postaci gнома. Zadzwońiła do drzwi.

Elliot, gdy nam otworzył, minę miał znacznie serdeczniejszą.

– Cześć. Witam miłe panie. Wchodźcie.

Odsunął się na bok. Wnętrze domu okazało się równie urzekające jak to, co na zewnątrz. Urządził je na pewno ktoś ze zmysłem artystycznym. Z wnek w ścianach kusily ławy z celowo niezbyt do siebie pasującymi poduszkami, na wszystkich ścianach wisialy obrazy, regaly zapełnione były barwnym szkłem o różnych kształtach, widać było też metaloplastykę i egzotyczne maski. Wszędzie było na czym zawiesić oko, mimo to nie miało się wrażenia natłoku.

– Mama uwielbia kolekcjonować – powiedział Elliot, widząc, że się rozglądam.

– Ma świetny gust – stwierdziłam. – Któreś z tych rzeźb są twoje?

– Nie. Dalej jest poświęcony mi pokój. Nazywam go kapliczką Elliota – zażartował, widziałam jednak, że tylko po to, by ukryć skrępowanie.

Poprowadził nas w głąb domu, a każde z pomieszczeń, na które natrafialiśmy, było urządzone piękniej od poprzedniego. Najbardziej zachwyciła mnie kuchnia. Szafki były w kolorze bladej żółci, a blaty odrobinę jaśniejsze. Ściany wyłożono tłoczoną blachą. Takie zderzenie mogło budzić wątpliwości, a jednak współgrało. Zwłaszcza wzbogacone kolorowymi akcentami w postaci naczyń na półkach.

– Na twoim miejscu w ogóle nie wychodziłabym z domu – powiedziałam. – Mogłabym tutaj całymi dniami malować.

– Naprawdę? To przychodź i maluj, kiedy tylko zechcesz.

Może powinnam. Nadal nie sięgałam po pędzel. Już od ponad miesiąca. Potrzebowałam czegoś, co wyrwie mnie z tego zastoju, i może ten dom by pomógł.

– Możemy zobaczyć twoją kapliczkę? – zapytałam. Pochylił głowę, zarumienił się.

– Chyba po to przyszłyście.

Dobrze scharakteryzował ten pokój. Jego rzeźby zajmowały półki na wszystkich ścianach, z sufitu padało na nie światło reflektorków. Przekonałam się, czym tak szcycili się jego rodzice. Były niesamowite. Powoli obchodziłam pokój, uważnie studiując każdą z rzeźb. Były tam drzewa, twarze, misternie żłobione formy, naczynia i mnóstwo innych rzeczy.

– Jest gdzieś tu ta rzeźba, do której byś się przykuł? – spytałam.

– Przykuwasz się do rzeźb? – zaciekała się Lacey.

– Nie – odparł. – Jak dotąd nie. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, czy stworzyliśmy takie dzieła, w których obronie poświęcilibyśmy życie.

– A raczej osłonilibyśmy własnym ciałem – sprostowałam. – O życiu nie było mowy.

Uśmiechnął się do mnie.

– Prawda. Nie, tamta rzeźba nie należy do mamy ulubionych, więc się na niej nie poznała. Mnie akurat to cieszy, bo oznacza, że mogę ją trzymać u siebie.

– To ją obejrzymy – zaproponowała Lacey.

Jego pokój był urządzony bardziej skąpo, niż się spodziewałam. Założyłam po prostu, że będzie podobny do mojego, o ścianach obwieszonych pracami i źródłami inspiracji. A taki nie był. Umieblowany został nowocześnie i prosto. W rogu stała rzeźba, w którą Elliot włożył serce. Widać to było po tym, jak na nią patrzył. Tworzyły ją dwie formy skrócone razem, niczym splecione postacie. Właściwie nie wiedziałam, czemu nazwałam je postaciami. Nie dałoby się w nich doszukać ludzkich kształtów. Ale niewątpliwie te wysmukłe, eleganckie formy jakby się nawzajem przyciągały.

– To jest piękne – stwierdziłam.

– Mnie bardziej podobało się tamto wielkie drzewo w kapliczce – oświadczyła Lacey.

Elliot wzruszył ramionami.

– Każdy ma swój gust.

Bawiła się jedną z bransoletek opasujących jej nadgarstek.

– Miałbyś coś przeciwko najazdowi na twoją lodówkę w poszukiwaniu czegoś gazowanego?

– Jasne, że nie. Bierz śmiało. Też byś coś chciała? – zwrócił się do mnie.

– Mnie nic nie trzeba.

Ruszyli z Lacey do drzwi. Ja poświęciłam jego rzeźbie jeszcze chwilę.

Przesunęłam dłonią po gładkiej powierzchni. Zaskoczyła mnie swoim chłodem.

– Przysłał mi SMS-a – powiedział Elliot, a ja podskoczyłam. Nie przypuszczałam, że jeszcze tu jest.

Odwróciłam się. Lacey wyszła, a w drzwiach naprzeciwko mnie stał tylko on.

– Słucham? – zdziwiłam się. – Kto?

– Cooper. Pytał, czy się z tobą widziałem. Chciał się upewnić, czy wszystko u ciebie okej.

Po tych słowach znów mi się zachciało płakać.

– Co odpowiedziałeś?

– Jeszcze nic. I nie zrobię tego, jeśli nie będziesz chciała.

– Napisz mu, że jest mi... – Jak? Fajnie? Beznadziejnie? Tego wołałabym mu nie zdradzać. Czyżbym go jeszcze kochała? Co jest ze mną nie tak? – Nieważne. Nic mu nie pisz.

Czekał, być może na to, że zmienię zdanie. Potem pokazał mi telefon, jakby Cooper był wciąż na linii.

– Chyba nawet nie powinienem do ciebie startować, co? Ciągle coś do niego czujesz.

Nabrałam tchu.

– Chyba rzeczywiście to nie najlepszy czas na startowanie, bo rzeczywiście coś do niego czuję.

– Rozumiem.

– Ale przyjaźnić się możemy, prawda? Przydałby mi się teraz przyjaciel.

– Oczywiście.

Ruchem głowy wskazałam rzeźbę.

– Jest naprawdę dobra.

– Dzięki. Z twoich ust to nie byle co.

– Z moich? Amatorki?

– Brałaś udział w wystawie z zawodowcami.

– Dowiedziałam się, że nie ja na to zapracowałam.

– Istotne jest tylko to, czy według siebie na nią zasługiwałaś.

O tym akurat byłam przekonana. Wyczytał to chyba w mojej twarzy, bo oznajmił:

– Myśląc o swoich pracach, musisz się liczyć przede wszystkim z własną opinią.

– Kiedy się zrobiłeś taki mądry?

- W sumie mam tak od zawsze – zazartował z błyskiem w oku.
- Tak przy okazji, dzięki, że tamtego wieczoru próbowałaś wyciągnąć moją mamę.
- Wiedziałem, że chciałaś, żeby przyjechała. Sorki, że to nie wypaliło.
- Nie ma sprawy. – Wiedziałam, że powinnam wyjaśnić mu coś na temat mamy i tego, czemu nie pojechała, i że nie była to jego wina, ale na taką rozmowę z nim nie byłam jeszcze gotowa. – Pracuje na tym – powiedziałam tylko. – U nas w domu wiele się teraz dzieje.
- A u kogo nie? Chodźmy, Lacey pewnie przyszykowała już nam jakąś ucztę.

W kuchni chwyciłam Lacey za rękę i uścisnęłam.

- Dziękuję wam obojgu – powiedziałam do niej i Elliota. – Nie przypuszczałam, że potrzebuję w swoim życiu kolejnych przyjaciół, ale najwyraźniej tak. To fajne.

Lacey odwzajemniła uścisk.

Rozdział 36

Myśląc o swoich pracach, muszę się liczyć przede wszystkim z własną opinią. Elliot dobrze to ujął. Za bardzo się przejmowałam tym, co o mojej twórczości myślą inni. Zawsze w grę wchodzili moi rodzice, Cooper lub mój dziadek. Wszyscy wokół. A co ja sama sądziłam o swoim malarstwie? Obeszłam teraz swoją małą domową pracownię, przestudiowałam każdy obraz. Opinię pana Wallace'a na temat moich prac uznałam za słuszną, gdy tylko ją wyraził – że są niedojrzałe, jednowymiarowe. I może nawet nadal tak myślałam o moich wcześniejszych obrazach. Te nowsze jednak oddawały emocje, głębię. Były dobre, może nawet świetne. Wyraźnie widziałam w nich rozwój, a także miejsce na dalszy progres. Ale czy nie jest tak, że zawsze będzie na to miejsce? Nie jest tak, że będę uczyć się i rozwijać, dopóki nie zabraknie mi chęci do podejmowania takich starań? Dopóki będę otwarta na zmiany wokół mnie?

Znów wędrowałam przez swój cichy dom. Mama czytała na kanapie. W pierwszej chwili myślałam, że to coś z medycyny – książka przypominała jedną z czytanych przez nią wcześniej – zaraz jednak dotarło do mnie, że to powieść.

Spojrzałyśmy sobie w oczy i mama wzruszyła ramionami.

– Mały postęp.

– Dobra robota, mamo.

– W tym tygodniu mam pierwsze spotkanie z terapeutą – oznajmiła.

– Poważnie? To świetnie. – Uśmiechnęłam się.

– Miło, że cię to cieszy.

– A ciebie?

– Nie. Przeraza, ale i tak pójdę.

– To dobrze. Czasem trzeba robić też to, czego się boimy, prawda?

– Tak właśnie jest z tobą? – zapytała. – I z Cooperem?

– Może... Tak. Po prostu staram się wyzwolić.

– Nie daj się – powiedziała.

– Ty też nie.

– A będzie okej, tu między nami? – zapytała.

– Tak, mamo. Miłość polega przecież na akceptowaniu drugiej osoby

nawet z jej słabościami, prawda? Ty na przykład kochasz mnie pomimo mojego sarkazmu i lenistwa.

– Kocham cię za nie – zażartowała.

– Wiem. – Nachyliłam się i uściskałam ją. Przez długą chwilę nie chciała mnie puścić.

– Gdzie jest dziadek? – spytałam. Nadeszła pora, by z nim też porozmawiać. Jego potraktowałam najostrzej. Może dlatego, że nigdy wcześniej mnie nie zawiódł i to po nim spodziewałam się najwięcej.

Mama wskazała mi drzwi na podwórze, więc wyszłam. Dziadek klęczał na samym końcu ogrodu, wyrywał chwasty spomiędzy warzyw.

– Chyba się przy tym nie połamiesz? – zapytałam, siadając na murku okalającym ogródek.

Ściągnął jedną z rękawic i mi rzucił.

– Zobaczmy, czy rękoma też potrafisz narobić tyle spustoszenia, co gadaniem.

Wzięłam głęboki oddech, czując, że dostałam za swoje, i włożyłam tę rękawicę. Zaczęłam rozumieć, czemu dziadek lubi ogrodnictwo. Wyciąganie szkodliwego zielska z nagrzonej miękkiej ziemi dostarczało ogromnej satysfakcji. Nie mogłam jednak dać tego poznać po sobie, bo dziadek wrobiłby mnie w cotygodniowe dyżury przy pieleniu.

Spojrzałam na niego przez włosy spadające mi na twarz i zakrywające widok.

– Przepraszam za to, co powiedziałam.

– A ja za to, że nie udało mi się dowieźć twojej mamy na wystawę.

– To nie twoja wina, dziadku.

– A jeszcze bardziej za to, że sam nie przyjechałem. Powinienem. Myślałem tylko o niej i jej potrzebach, a nie o tobie. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Bo zależy mi na tobie i martwi mnie, że w to zwątpiłaś.

Łzy popłynęły mi po twarzy aż na ziemię.

– Ja to wiem. Zawsze wiedziałam. Niepotrzebnie tamto powiedziałam.

Dziadek podniósł się, choć nie bez trudu, otrzepał kolana, potem zdjął rękawicę. Siadł na murku i klepinięciem wskazał mi miejsce obok siebie. Usiadłam, bawiąc się palcami rękawicy, którą wciąż jeszcze miałam na dłoni.

– Trudno mi z tym – wyznał. – Mam wrażenie, że czegokolwiek bym spróbował, ona się broni. Gdy próbuję naciskać, odpycha mnie. Gdy staram się zrozumieć, pograża się bardziej. Chcę zdjąć z niej to brzemień. – Głos mu się załamał, a ja spojrzałam na niego zaskoczona.

Rękę bez rękawiczki wsunęłam w jego dłoń.

– To nic nie da. Sama musi dokonać tego wyboru.

– Ale jestem jej ojcem.

– Mówisz, jakbyś to ty był winny.

– A kto?

– Dziadku, ona sama za siebie odpowiada.

– Twoja babcia lepiej by sobie z tym poradziła. Ja mogę tylko pomarzyć.

– Tego lata nauczyłam się paru rzeczy.

– Dzięki twojej liście?

– Dzięki wszystkiemu.

– Czego więc się nauczyłaś? – zapytał.

– Że mamy wpływ tylko na siebie. Nieważne, jak bardzo byśmy chcieli nagiąć czyjąś wolę i narzucić swoją, on sam też musiałby tego czegoś chcieć.

– Mądre z ciebie dziecko.

Oparłam głowę o jego ramię i ścisnęłam za dłoń.

– Wiesz, mogłam wyrosnąć na kogoś strasznie popieprzonego.

– Słucham? – zapytał, wyraźnie zaskoczony moim stwierdzeniem.

– Mam mamę, która jest świetna, ale prawie nie wychodzi z domu, i tatę, którego nigdy nie ma.

– Owszem, mogłaś wyrosnąć na kogoś zbuntowanego lub zblazowanego.

– Ale miałam ciebie, dziadku. Zawsze byłeś przy mnie. Przy tobie czułam się bezpiecznie. Ty dałeś mi siłę.

– A ty, dziecko, wyleczyłaś mi serce.

Tego popołudnia w mojej pracowni było jasno. Zupełnie jakby stanowiła odbicie tego wszystkiego, co uświadomiłam sobie po rozmowie z dziadkiem. Wreszcie odkryłam, czego brakowało mojemu obrazowi z drzewem. Serca. Lance przykuł się do drzewa przez wzgląd na to, co nosił w pamięci, ale to były jego wspomnienia, nie moje. Teraz wiedziałam, co dodać. Co pomogłoby mi określić. Dźwignęłam to wielkie płótno na sztalugi i po raz pierwszy od tygodni wysunęłam ze skrzynki malarskiej szufladę, żeby wybrać kilka kolorów. A potem na korze silnego, niewzruszonego pnia namalowałam twarz, zauważalną jedynie dla tych, którzy przyglądaliby się uważnie. Twarz dziadka.

Kiedy skończyłam, palce miałam w farbie. Dostała mi się nawet pod paznokcie. Uśmiechnęłam się i spróbowałam wytrzeć je w koszulę, najlepiej jak się dało. Obraz zostawiłam na sztalugach do wyschnięcia.

Zdecydowałam, że będę się ubiegać o udział w zimowych warsztatach niezależnie od tego, czy coś sprzedam. Bo właśnie tego chciałam. A teraz, patrząc w oczy dziadkowi na moim obrazie, uwierzyłam, że się na nie dostanę.

Rozdział 37

Dzień później siedziałam u siebie na łóżku, z komórką w garści. Mój palec wisiał nad klawiszem, który mógł mnie momentalnie połączyć z całym internetowym światem Coopera.

Wiedziałam, że to, co powiedziałam dziadkowi w ogrodzie, było prawdą. Tylko na siebie samych mieliśmy wpływ. Choćbym kochała Coopera jak najmocniej, tej miłości nie starczyłoby na nas dwoje. Musiałam odpuścić.

Mimo to pozwoliłam, by palec opadł. Na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie profilowe Coopera – nasz wspólny selfik z najgłupszymi z możliwych min. Zaparło mi dech. Kiedy ostatnio zaglądałam na jego profil, była tu fotka jego z Iris. Czyżby to oznaczało, że naprawdę z nią zerwał? Przewinęłam wpisy, ale to była ostatnia aktualizacja. Wszystkie były sprzed tygodni. Jego konto, podobnie jak moje, upiornie zamarło.

Przełączyłam komórkę w tryb uśpienia i rzuciłam na szafkę. Przy okazji sfrunął z niej na podłogę jakiś nieduży papier. Zmrużyłam oczy i go znalazłam. To była wizytówka. Pana Wade’a Barretta. Chwilę mi zajęło skojarzenie, skąd ją mam i o kogo chodzi. To był ten gość z wystawy, który był zainteresowany kupnem mojego obrazu z quadem – *Nieustraszonego*.

Mojego obrazu z quadem. Tego, który zamierzałam dać Cooperowi. Sięgnęłam po komórkę i wystukałam numer.

Głos, który usłyszałam, był donośny, a ton kategoryczny.

– Wade, słucham.

– Dzień dobry, panie Wade, przepraszam, panie Barrett. Z tej strony Abigail Turner. Poznaliśmy się w muzeum. Spodobał się panu mój obraz z quadem. Wspominał pan, że pana wnuk też nimi jeździ.

– Aha. Tak! Witam.

– Mogłabym zadać dziwne pytanie?

– Hm... Pewnie.

– Czy zna pan mojego tatę?

– A jak się tata nazywa?

– Paul Turner.

Pomrukiwał coś, jakby się zastanawiał.

– Nie wydaje mi się.

– Czy nadal jest pan zainteresowany tym obrazem?
– Namalowałam podobny?
– Nie, ale zdecydowałam się sprzedać ten, który pan oglądał, o ile pan chce.

– Tak, chcę.

Przeszliśmy do liczb i uzgodniliśmy cenę. Odłożyłam telefon.

Oto zaczęłam zarabiać malowaniem. Pierwszy raz w życiu sprzedałam własne dzieło, poczułam więc dreszcze.

– Poczta – zawołała mama.

– Wyszłaś do skrzynki, mam? – zapytałam, wypadając ze swojego pokoju.

– Wiem, że to nic wielkiego... – Urwała.

– To wielka sprawa. – Z każdym nawet najmniejszym wyjściem mama choć troszkę przekraczała siebie. Byłam z niej dumna, ale nie chciałam, żeby przesadziła. – Wiesz, że i tak bym cię kochała?

– Wiem, i to by mi wystarczało, gdybyś całe swoje życie miała spędzić w tym domu. A tak przecież nie będzie. Pewnego dnia ukończysz liceum, wyjdiesz za mąż albo doczekasz się dziecka. Chciałabym być wtedy przy tobie.

– Mam wybrać jedną możliwość?

– Słucham?

– Powiedziałaś „albo”.

Przewróciła oczami.

– Wiesz, o co mi chodziło.

– Wiem. – Pocałowałam ją w policzek. – Dzięki za pokonywanie trudności.

– Mam wokół siebie doskonale wzorce. – Umilkła. Potem powiedziała: – Widziałam twój obraz.

– Będziesz musiała sprecyzować. Trochę ich mam.

– Wiesz który. Chcę być dla ciebie taką osobą, taką, która sprawia ci radość.

– A ja dla ciebie, mam.

Ścisnęłam ją za rękę i już miałam sobie pójść, bo zaczęła przetrząsać pocztę. Zamarłam w pół kroku, potem zawróciłam, bo coś zobaczyłam.

– Podziemne ogrody. Chciałam je odwiedzić. – Wyciągnęłam ten folder z pliku korespondencji. – Jest nawet kupon. Dwa bilety w cenie jednego.

– Powinnaś zabrać chłopaka. – Mama puściła oko.
Podeszłam do drzwi frontowych i otworzyłam je na oścież.
– Adoratorzy? Gdzieście się wszyscy podziali?
– Jest tam Elliot?
– Bardzo śmieszne. – Zatrzasnęłam drzwi. – Już ci mówiłam, nic do Elliota nie czuję. Przynajmniej jeszcze nie. Na razie tylko się przyjaźnimy.
– Odwiedzanie podziemnego ogrodu z przyjacielem jest wbrew prawu?
– Wprawdzie w moim rozumieniu podziemne ogrody są najromantyczniejszym miejscem świata, ale masz rację, kogóż tam zabrać jak nie kumpla.

Wyglądałam się, ale folder z kuponem przypięłam do ściany, dodając do nielicznych rzeczy, które tam zostały, i przez następne trzy dni co rusz obok niego przechodziłam. Czwartego dnia zadzwoniłam do Elliota. Jako kolega po artystycznym fachu niewątpliwie powinien docenić takie doznanie.

– Ale tu pięknie – powiedziałam, gdy szliśmy dwa piętra w dół po drewnianych schodach. Z sufitu niczym stalaktyty zwisały jakieś pnącza, a powietrze było aż gęste od słodkiego zapachu kwiatów.

– Prawda? – przyznał Elliot. Zwiedzał już wcześniej ten ogród, ale kiedy zadzwoniłam, powiedział, że chętnie znów go zobaczy.

Przez szczeliny w suficie wpadało światło słońca. Temperatura tutaj była nieco niższa, za to wilgotność większa, jakbyśmy przebywali w naszym własnym tropikalnym lesie. Rośliny, które tu kwitły, według mnie też pochodziły z tropików – ogromne kolorowe kwiaty i krzaki o szerokich liściach. Po ścianie strużkami ściekała woda, jeszcze potęgując wilgoć. Czułam się tak, jakby przeniesiono mnie na jakąś wyspę.

– Jestem zachwycona – powiedziałam. Ogród składał się z wydrążonych w ziemi sal, które powoli przemierzaliśmy, jedną po drugiej.

Nie byliśmy tu sami. Co chwilę przebiegały obok nas dwa maluchy, odgłos uderzających w ziemię stópek odbijał się echem od ścian. Rodzice usiłowali nadążyć za dziećmi. Trafiła się też jakaś para, trzymała się za ręce. Oboje zatrzymywali się przy każdej atrakcji, więcej uwagi jednak poświęcali sobie niż kwiatom. Przypomniało mi się, jak powiedziałam Cooperowi, że to idealne miejsce na randkę. Zerknęłam na Elliota. Nie czułam się jak na randce. Z Elliotem bardziej przypominało to misję badawczą. I w pewnym sensie tak było. Oboje szukaliśmy inspiracji.

– Jesteś gotowa na powrót do szkoły? – zapytał.

– Nie za bardzo. – Ten rok zapowiadał się inaczej. Nie będzie w nim Coopera. Czy chociaż będzie Rachel? Justin? Od jakiegoś czasu nie mieliśmy okazji rozmawiać. Justinowi wysłałam kilka SMS-ów, ale z wyjaśnieniami wolałam poczekać na ich powrót. Miał nastąpić dokładnie za trzy dni.

Ekscytowało mnie, że znów ich zobaczę, denerwowało zaś, że będę musiała im powiedzieć o rozpadzie naszej grupki przyjaciół. Zrozumiem, jeśli opowiedzą się za Cooperem. W końcu to ja odpaliłam bombę.

– A ty jesteś gotowy? – zapytałam, żeby za wiele nie myśleć o tamtym.

– To ostatnia klasa... więc nie.

Szliśmy szerokim korytarzem w stronę następnej podziemnej sali.

– Na tych ścianach są płaskorzeźby – stwierdziłam, mając ochotę przesuwać dłoń po kształtach wyglądających spod krzaków i pnączy.

– Wiem. Wykonanie ich musiało zająć setki godzin.

Usłyszałam dobiegający skądś szum płynącej wody i zostawiając Elliota przypatrującego się szczególnie misternemu ornamentowi, zawędrowałam za tym odgłosem pod instalację wodną, zajmującą kąt jednej z sal. Była tam też ta para, którą widziałam wcześniej, trzymającą się za ręce. Wyminęłam ich, znikając w tym kącie. Woda spływała po piętujących się skałach, a potem podążała wydrążonym w podłożu korytem, znajdując swój cel w sadzawce. W tym oczku wodnym pływało kilka okazałych karpów koi. W myślach odżyły nieproszone sceny z tamtego dnia w łazience Coopera, gdy żegnaliśmy rybkę Amelii. Walnęłam się pięścią w łeb i zawróciłam.

W topornie wyciosanym wejściu do sali stał Cooper. W pierwszej chwili pomyślałam sobie, że przez to, że o nim myślałam, moja wyobraźnia dorobiła jego twarz komuś innemu. Wtedy przemówił:

– Abby, tylko się nie złość.

Potrząsnęłam głową. Nie czułam złości. Jeśli już, to na swój organizm, który nawet po tylu tygodniach od rozstania z tym chłopakiem jeszcze tak reagował na jego widok. Jak na deszcz po całych dniach na pustyni. Dziadek powiedziałby, że to uczta dla oczu. Te jasne włosy spadające na czoło tuż nad intensywnie niebieskimi oczami. Prawie zapomniałam, jaki jest wysoki i barczysty, wydawał się wypełniać sobą całe przejście.

– To ja przysłałem wam ten folder.

– Co takiego? Po co?

– Żeby cię tu ściągnąć. Mówiłaś, że to dla ciebie miejsce z marzeń. Od tamtej pory ciągle sprawdzałem na komórce i wreszcie przyszłaś.

– Wiedziałam, że trzeba było pozbyć się tej apki.

– Cieszę się, że tego nie zrobiłaś.

– No to jestem.

Podszedł bliżej. Kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam, że ci dwoje, który byli tu przedtem, poszli sobie. Skrzyżowałam ręce na piersi, mając nadzieję, że to uchroni mnie przed tym czymś, co zaraz usłyszę. Może przed kolejną przemową o tym, jacy to byli z nas przyjaciele? Bo nasza przyjaźń była niesamowita.

– Stęskniłem się za tobą – powiedział. Głos miał chrapliwy, naładowany emocjami. Teraz, gdy stał bliżej, widziałam ciemne kręgi pod jego oczami, jakby od jakiegoś czasu źle sypiał.

– Ja za tobą też, Cooper, ale...

Podniósł rękę, a ja umilkłam.

– Proszę, żadnych ale, dopóki nie skończę. Proszę.

Kiwnęłam głową.

– Nie widziałem cię od tygodni i w tym czasie odkryłem, co budzi we mnie największy lęk.

– Samotność? – zapytałam.

Zaśmiał się.

– Nie. Choć to też nie było fajne.

Nadal miał ten sam fantastyczny uśmiech. Ten, który rozświetlał całą jego twarz. Czemu mu się to nie zmieniło przez te kilka tygodni? Złapałam się na tym, że żałuję, iż nie wybił sobie zęba czy coś w tym stylu. Co odpowiem na koniec tego wywodu, gdy zapyta, czy znów możemy być przyjaciółmi? Nie dałabym rady. I tak już byłam cała roztrzęsiona.

– Najbardziej boję się przebywania z tobą.

– Co?

– Przez cały ten czas, Abby, właśnie tego się bałem. Tamtego wieczoru na plaży, przed rokiem, gdy wyznałaś mi miłość, byłem cały w strachu. Autentycznie przerażony. Wiedziałem, jak bardzo zależy mi na tobie jako przyjaciółce. Ale rozumiałem, że jeżeli pozwolę sobie na zakochanie się w tobie, to będzie, jakbym ci oddał serce. Cały się odsłonię. Dlatego kurczowo trzymałem je przy sobie. Zachowywałem dla siebie. I myślałem, że mi się to udało. Uznałem, że nie czuję do ciebie tego, co ty do mnie. A było tak tylko dlatego, że dotąd nie wiedziałem, jak to jest odczuwać miłość. Sądziłem, że to takie uczucie od pierwszego wejrzenia. Rozumiesz, z tych, co z czasem zawsze gasną. I właśnie w takim uczuciu próbowałem znaleźć swoje szczęście. Chodziłem z dziewczynami i myślałem sobie: Tak, to

właśnie jest miłość. Nie dawało mi to jednak szczęścia. To zawsze było jakieś puste. Dopiero kiedy odeszłaś, kiedy odebrałaś mi to, co naprawdę dawało mi szczęście, pojąłem, że to miłość. – Położył dłoń na piersi. – Ta głęboka, intensywna troska o dobro innej osoby. Pragnienie, by u tej osoby wszystko było okej, bez przejmowania się sobą samym. Uświadomienie sobie, że ty, Abby, już zabrałaś mi serce, a mnie całkiem z tym dobrze. Kocham cię.

Znałam Coopera na wylot. Przyjaźniliśmy się niemal od czterech lat. Wypatrywałam więc oznak tego, że kłamie – uciekania oczami, przestępowania z nogi na nogę, zagryzania warg. Nic z tych rzeczy. Patrzył śmiało, nawet nie drgnął.

– Wydaje mi się, że mylisz miłość z tęsknotą za mną – powiedziałam.

Jeszcze nie dokończyłam, a już kręcił głową.

– Wiedziałem, że tak sobie pomyślisz. Wiedziałem, że uznasz, że wygaduję takie rzeczy, bo się za tobą stęskniłem. Albo że chcę, żebyś znów była częścią mojego życia na tyle, na ile się da.

– Zgadza się. Tak właśnie myślę – nadal krzyżowałam ręce na piersi, a moje serce się tłukło, dopytując, czemu popycham go do kwestionowania jego wyznań.

– Rzeczywiście stęskniłem się za tobą, Abby. Ech, stęskniłem się na całego. – Chwycił w garść przód swojej koszulki. – I rzeczywiście chcę, żebyś znów była częścią mojego życia, ale przede wszystkim kocham cię z całej duszy i przepraszam, że tyle trwało, zanim to pojąłem.

Zamurowało mnie. Twarz mi odrętwiała i czułam w niej mrowienie.

I wtedy usłyszałam głos Elliota – jeszcze go nie widząc.

– Abby, widziałaś to wielkie drzewo przebijające się przez dach... – Umilkł, gdy tylko wyszedł z za rogu i ujrzał Coopera. – O-o. Hej, Cooper. –

Potem spotkał się ze mną wzrokiem, bezgłośnie pytając, czy u mnie wszystko okej.

Nie byłam pewna, jak to jest ze mną, ale okej zdecydowanie nie było. Cooper właśnie wyznał, że mnie kocha, moje serce szalało, w głowie też mi się kotłowało i nie wiedziałam, jak zareagować. Nie miałam pojęcia, czy powinnam chwycić go w ramiona i nigdy już nie puścić, czy wiać, zanim się rozmyśli i zniszczy mnie na dobre.

Cooperowi, gdy patrzył to na Elliota, to na mnie, mina zrzędła.

– Spóźniłem się? – zapytał. – Spóźniłem. – Na jego twarzy malował się ból. – Co mam zrobić? Pojedynekować się? – Przywołując ten nasz prywatny

żart, spojrział mi w oczy ze smętnym uśmiechem.

– Nie, Cooper – odparłam.

– To chyba muszę sobie pójść. Tym razem ja mam sobie ciebie odpuścić?

Nie odpowiedziałam i sama nie wiedziałam dlaczego. Możliwe, że chciałam, żeby przez chwilę dręczył się tą myślą. Cooper pokonał trzy dzielące nas kroki i zgniótł mnie w uścisku do reszty dławiącym mój gniew.

– Zaczekam, ile będzie trzeba – szepnął. I już go nie było.

– W końcu do tego doszedł? – zapytał Elliot.

Przytaknęłam.

– Przepraszam. Muszę lecieć.

– Rozumiem.

Pobiegłam.

Przemknęłam przez labirynt podziemnego ogrodu i po schodach w górę. Kiedy stamtąd wypadłam, bez tchu, na moment oślepiło mnie słońce. Jak tylko przejaśniło mi się w oczach, zobaczyłam na parkingu samochód Coopera. Podbiegłam, ale chłopaka nie było w środku. Obledziałam wszystko i nigdzie go nie wypatrzyłam, ani na ulicy, oddalającego się pieszo, ani w sklepiku z pamiątkami, gdzie sprzedawano też bilety wstępu. Nigdzie.

Zawróciłam i praktycznie zjechałam po schodach prowadzących do ogrodu. Gdy znalazłam się na dole, akurat z jednej z bocznych sal wytaczał się Cooper. Stałam jak wryta.

– To miejsce to jakiś labirynt. Człowiek nawet nie może odejść z godnością. – W oczach miał łzy, a moje serce nie mogło znieść ich widoku.

Wskazałam schody za mną.

– Zdążyłam polecieć na parking, ale ciebie tam nie było. Jedyne twój samochód.

– Trzeba by pomyśleć o sprzątaniu.

Zaśmiałam się.

– Twojego samochodu?

– Tak, już dzisiaj o tym myślałem. Ile trzeba będzie posprzątać.

– Na pewno rozmawiamy o twoim samochodzie?

– Abby, staram się nie wracać do tamtego.

Ruchem głowy wskazałam miejsce, gdzie zostawiłam Elliota.

– A ja tak. Nie skończyliśmy.

– Słucham? – spytał, wycierając dłonią oczy.

Ze współczucia mnie też zapiekło pod powiekami.

– Nie przypominam sobie, żebym widziała, jak płaczesz. No, jedynie

wtedy, gdy przypadkowo zjadłeś tamtą strasznie ostrą papryczkę.

Zakrztusił się śmiechem.

– Przypadkowo? To ty wsadziłaś mi ją do burgera.

– Pamiętam. Było śmiesznie.

– Jak komu.

– Ja też cię kocham. Nigdy nie przestałam – wyrzuciłam z siebie wreszcie.

– Co?

– Ja cię kocham, Cooper. Nigdy nie przestałam.

Znów wytarł oczy.

– Nie mówisz tego dlatego, że ci mnie żal?

Roześmiałam się.

– Rzeczywiście wyglądasz żałośnie.

Machnął głową w bok.

– Chodź, coś ci pokażę.

Poszedł przodem, w stronę, z której przyszliśmy, wyciągając rękę za siebie w poszukiwaniu mojej. Wsunęłam swoją dłoń w jego jak wielokrotnie przedtem i jak zawsze wtedy pomyślałam, że idealnie do siebie pasują.

– Natrafiłem na to, próbując stąd uciec – oznajmił.

Zaprowadził mnie do nieznaney mi jeszcze części ogrodu. W tej sali było ciemniej niż w pozostałych. Wywiercone w suficie otworki wpuszczały cienkie smużki światła, udając mrowie gwiazd. Kiedy oderwałam wzrok od sufitu, zobaczyłam, że Cooper wpatruje się we mnie.

– Zawsze uważałem, że jesteś niesamowita – stwierdził. Nadal trzymaliśmy się za ręce, toteż przyciągnął mnie do siebie. Jego oczy wciąż lśniły z emocji. – Do tego mądra, zabawna i piękna.

Serce podskoczyło mi do gardła. Po miesiącach wyczekiwania teraz to ja byłam przerażona. Wolną ręką przesunął mi po brodzie. Pocałował w policzek, niespiesznie. Pachniał Cooperem – wiśniową pomadką ochronną, miętową gumą do żucia, pomarańczami i wanilią. Objął mnie w talii tak powoli, jakby się bał, że może złamać. Potem przycisnął mnie do siebie. Czułam w sobie bicie jego serca, szybkie i mocne.

– Jest dziwnie? – zapytał.

Uśmiechnęłam się.

– Dziwne jest jedynie to, że nie wiem, co lubisz. Myślałam o wsunięciu palców w twoje włosy, ale uznałam, że mogłoby cię to drażnić.

– Mam to samo. Nie byłem pewien, czy ci się podoba, jak tu trzymam

rękę.

– Podoba mi się.

– To dziwne, że jednak nie wiemy o sobie wszystkiego.

– Odłożymy sobie ten pocałunek? – zapytałam.

Parsknął śmiechem.

– Od miesiący na niego czekałaś, boję się więc, czy nie będziesz rozczarowana.

– Rozumiem. A co, jeśli jesteśmy w tym kiepscy? Poza tym pożycz mi swoją pomadkę.

Opuścił rękę, śmiejąc się.

– Przyjaciele się nie całują. Nawet jeśli się kochają.

Mnie też ogarnął śmiech.

– Dawaj tę pomadkę, a potem całuj. – Sięgnęłam do tej kieszeni jego krótkich bojówek, w której ją trzymał, i sama wyjęłam. – Powinniśmy się postarać, żeby nasz pierwszy pocałunek wypadł tak fatalnie, żeby potem mogło być już tylko lepiej – stwierdziłam, smarując sobie usta.

– Co proponujesz?

– Sama nie wiem, robić strasznie ciasne dzióbki albo ciągle ruszać głowami. Albo okropnie się ślinić.

Miał trudności z opanowaniem śmiechu, toteż chwilę potrwało, zanim zdołał powiedzieć:

– Bardzo się za tobą stęskniłem. A ty teraz nie ułatwiasz.

– Nie, poważnie mówię. Chodź. – Przyciągnęłam go do siebie za kieszenie bojówek i ściągnęłam wargi w jak najciaśniejszy dzióbek, a potem skinęłam głową, żeby zrobił to samo.

– Więszego głupola nie widziałem – stwierdził.

Widząc, że się z tego nie wycofuje, westchnął i powiedział:

– Dobra, widocznie nasz pierwszy pocałunek jednak będzie okropny.

Musiałam jeszcze mocniej zacisnąć wargi, żeby się nie roześmiać. Położyłam mu dłonie na ramionach i wspierałam się na palce. Przewrócił oczami i napał swoim dzióbkiem na mój. Rzeczywiście było tak kiepsko, jak się spodziewałam.

Uśmiechnęłam się i odsunęłam.

– Widzisz, może być już tylko...

Przysunął rękę na mój kark i przycisnął mnie do siebie. Jego wargi, gdy odnalazły moje, tym razem okazały się miękkie. Pocałował mnie raz, potem drugi, później przejechał ustami wzdłuż moich ust.

– Lepiej – dokończył szeptem rozpoczęte przez mnie zdanie.

Już chciałam przytaknąć, ale znów się całowaliśmy, a nie mając czasu myśleć, co tym razem zrobić z rękoma, po prostu zagłębiłam palce w jego włosach. Dłonie Coopera przewędrowały na moje biodra, wywierając kciukami akurat taki nacisk, jakiego było trzeba, by mnie podtrzymać. Pogłębił pocałunek, nasze języki się spotkały. Smakował jeszcze lepiej, niż pachniał, miętą i cukrem. Oparł mnie o najbliższą ścianę i się nachylił. Brakowało mi powietrza, mimo to nie zamierzałam przerywać. Cooper tulił się do mnie, oddychał moim oddechem i rozpalał mi skórę. Był ciepły, tak doskonale znany i niesamowity. Bojąc się, że rozsadzi mi płuca, w końcu go odepchnęłam, żeby łapczywie chłonać powietrze.

– Nie jesteśmy w tym kiepscy – zauważył.

Przytaknęłam, wciąż jeszcze łapiąc oddech.

– Bardzo cię kocham.

Uśmiechnęłam się i odchyliłam głowę, patrząc na usiany gwiazdami pułap nieba.

– Ogromnie mnie to cieszy.

– Mnie też.

Zamknęłam oczy, ale on znów musnął moje usta pocałunkiem.

– Teraz – powiedział – musisz mi opowiedzieć wszystko, co się działo przez ostatnie tygodnie. Zaczynając od tego, co robiłaś w tamtym opuszczonym kościele.

Rozdział 38

Myślisz, że sernik będą chcieli, zanim nas ukatrupią, czy potem? – zapytałam, gdy siedzieliśmy w Cheesecake Factory, czekając na pojawienie się Rachel i Justina. Oboje wrócili w ciągu minionych dwóch dni. Najpierw Justin, przedwczoraj, a Rachel zeszłego wieczoru. Postanowiliśmy z Cooperem, że o naszych nowych relacjach powiadomimy ich bezpośrednio, nie SMS-em lub dzwoniąc. No i teraz na nich czekaliśmy. Lacey powiedziała jeszcze tamtego dnia, wieczorem. Ucieszyła się, ale z nią sprawa wyglądała inaczej. Wiedziała o moich uczuciach. Rachel i Justin nie.

– Pytanie powinno brzmieć, czy mamy zjeść sernik teraz, czy wierzyć, że jednak nas nie ukatrupią?

– Raczej teraz.

– Też tak sobie pomyślałem.

Uśmiechnęłam się.

Ścisnął mnie pod stołem za kolano.

– Wiesz, jakie jest jedno z moich ulubionych wspomnień z tego lata?

– Nie, jakie?

– Jazda quadem.

– Musiało ci się spodobać to, co mnie przerażało.

– Nie o to chodzi. Podobało mi się, że przywarłaś do mnie całą sobą.

Powinniśmy to powtórzyć.

– Jak chcesz, mogę to zrobić bez quada.

Uśmiechnął się porozumiewawczo.

Moja komórka zabręczała, więc ją wyciągnęłam, uznając, że to SMS od Justina lub Rachel o możliwym spóźnieniu. Było to jednak powiadomienie o nadejściu e-maila. Twarz mi stężała.

– Warsztaty zimowe – powiedziałam.

– Jakie? – zdziwił się Cooper.

– Z instytutu Wishstar.

– Wysłałaś zgłoszenie?

– Zapomniałam ci powiedzieć. Tak.

– Wow. Gratulacje.

– Jeszcze mi nie gratuluj. Nie wiem, czy mnie przyjęli.

– Gratulowałem zgłoszenia. Prawie na ostatnią chwilę.
Szturchnąłem go ramieniem.

– Bardzo śmieszne.

– No i? Otworzysz?

Kiwnęłam głową, ale się nie spieszyłam. To była ostatnia okazja, by cieszyć się niewiedzą. Potem pozostanie mi albo się cieszyć, albo złapać doła. I przyjdzie mi sobie poradzić z jednym albo z drugim. Kliknęłam pocztę.

– Gratulujemy – przeczytałam na głos. – Została pani przyjęta na nasze zimowe warsztaty w Instytucie Sztuk Wizualnych i Scenicznych Wishstar.

– To fantastycznie – oświadczył Cooper, całując mnie. – Wiedziałem, że ci się uda.

– Dzięki.

– Spóźniłam się? – Na głos Rachel poderwałam się z miejsca. Widziała nasz pocałunek? Nie wyglądało na to, bo kontynuowała: – Jak to możliwe, że oboje już tu jesteście? I że jeszcze nie zamówiliście sernika? – Z nietkniętego przez nas koszyka na stole wzięła kromkę pieczywa i oderwała kawałek. –

Konam z głodu. Spałam non stop osiemnaście godzin. Dzisiaj już nie zasnę. Różnica czasu. – Chwyciła mnie w ramiona. – Cześć!

– Cześć! – odpowiedziałam ze śmiechem. – Witaj w domu.

Cooper podniósł się i też ją uściskał.

– Miałam wrażenie, że nie ma mnie całe lata, a potem wracam i wszystko jest po staremu. Taka dziwna pętla czasu. Gdzie jest Justin?

Cooper skierował wzrok za ramię Rachel.

– Tutaj.

Justin podchodził do naszego stołu szeroko uśmiechnięty.

– Przyjaciele – powiedział. Uściskaliśmy go kolejno. – W przyszłym roku jedziemy razem. Za długo nie byliśmy razem.

– Też tak powiedziałam Abby miesiąc temu – odezwała się Rachel. – Tylko miesiąc? Że po skończeniu szkoły musimy razem przejechać się do Europy.

– Czemu na stole nie ma jeszcze sernika? – spytał Justin, rozglądając się za kelnerem.

– Nie byliśmy pewni, czy będziecie go chcieli, bo może nas ukatrupicie – odparł Cooper i parsknął śmiechem, a ja zrobiłam wielkie oczy. Nie całkiem tak to sobie zaplanowaliśmy. W planach mieliśmy spokojne wprowadzenie w temat, opowiadanie, jak po latach nasza przyjaźń przerodziła się

w ostatnich miesiącach w coś więcej. Wyszło inaczej.

– Czemu mielibyśmy was ukatrupić? – zdziwiła się Rachel, zajmując miejsce obok mnie. Justin też usiadł, zauważył pieczywo i urwał sobie kawałek.

– Wy coś w ogóle jedliście przez to lato? – zapytałam.

– Ja aż za dużo – stwierdziła Rachel. – W każdym mieście wszystko, co było dla mnie nowe. Było niesamowicie. Tyle że teraz mój organizm oczekuje dokarmiania co dwie godziny.

– Ja od dawna nie miałem w ustach amerykańskiego żarcia. No, poza ostatnią nocą, ale... Sami wiecie – powiedział Justin z pełnymi ustami.

– Abby ma wspaniałą nowinę – oznajmił Cooper. – Dostała się na te warsztaty plastyczne, do których się paliła.

– Rewelka! To fantastycznie! – zawołał Justin.

– Naprawdę fantastyczne. Gratulacje! To dlatego mielibyśmy was ukatrupić? Czemu z takiego powodu zabijać? – zdumiała się Rachel.

– Przyjaźnimy się już od dawna – zaczęłam, wracając na ustalone wcześniej tory.

Przy naszym stole pojawił się kelner.

– Widzę, że towarzystwo jest już w komplecie. Co podać?

– Zakochałem się w Abby – oznajmił niedbale Cooper. – Dopiero tego lata pojąłem, jaki ze mnie idiota, że jeszcze nie jesteśmy razem. – Przeniósł wzrok na kelnera. – Dla mnie sernik oreo i jakieś frytki.

– Chwila. Co takiego? – Ręka Rachel z kawałkiem pieczywa znieruchomiła w połowie drogi do jej ust.

– Mam wrócić później? – spytał kelner.

– Nie! – rzucił Justin. – Ja mam ochotę na sernik cytrynowy. Bez względu na taką nawet nowinę. Poza tym – zwrócił się do Coopera – to już najwyższa pora.

– Co takiego? – powtórzyła Rachel, patrząc tym razem na Justina. – Ty o tym wiedziałeś? To tylko mnie się nie mówi takich rzeczy?

– Nie powiedziałaś nic Rachel o tym lecie? – zapytał Cooper. – Myślałem, że akurat jej to nie zaskoczy.

– Nikomu nie powiedziałam.

– No właśnie – stwierdziła Rachel. – Wśród przyjaciół wszystkim dzieli się po równo albo wcale. Masz rację. Ja cię ukatrupię.

Już dawno temu powinnam jej opowiedzieć, co czuję do Coopera. Rozumiałam, że czuje się urażona.

– Przepraszam – powiedziałam cicho, tylko do niej.
– Jednak wrócę później – oświadczył kelner.
– Proszę zaczekać – powiedział Cooper. – Rachel, zamówienie. Potem porozmawiamy o twoich dziwnych regułach.
– Niech wam będzie – prychnęła. – Ja mam ochotę na czekoladę. Na wasz najbardziej czekoladowy sernik.
Kelner dopisał jej zamówienie, potem spojrzał na mnie. Racja, jeszcze nic nie zamówiłam.
– Z białą czekoladą i malinami – powiedziałam.
– Przynajmniej to się nie zmieniło – zauważyła Rachel, przewracając oczami.
Kelner czym prędzej się oddalił i zapadła cisza.
– Jak to się stało? – przerwała ją w końcu Rachel.
– Co znaczy: jak to się stało? – Justin rzucił w nią okrucieństwem chleba. – Zakochali się w sobie. Zostawiliśmy ich na lato samych i wreszcie to zrozumieli.
Odwróciła się do nas.
– I oboje uznaliście, że to dobry pomysł? Podłożyć tykającą bombę zegarową pod grupkę przyjaciół? Kiedy wybuchnie i rozniesie nas na strzępy, jak się będziecie czuli?
– Auć, Rach – odparł Cooper. – Miło, że tak w nas wierzysz.
– A możemy chociaż wybrać, przy kim zostaniemy po tym rozwodzie? – zapytała Rachel, a na jej twarzy wreszcie pojawił się ironiczny uśmiech. Dobrze jest. Wybacz mi, choć może nie od razu.
– Ja wybieram Abby – powiedzieli jednocześnie oboje z Justinem.
Roześmiałam się.
– Słucham? – oburzył się Cooper. – Dlaczego Abby?
– Jest zabawniejsza – wyjaśnił Justin. – I bardziej spoko.
– I chyba to jest powód numer pięć tysięcy, dla którego nie mogę jej sobie odpuścić.
– Oho – rzuciła Rachel. – Zaczynają już prawić sobie komplementy. Trochę potrwa, zanim do tego przywyknę.
– To tak jak ja – powiedziałam.
– Co miało znaczyć: to tak jak ty? – Cooper objął mnie i przyciągnął do siebie. – Może powinienem prawić ci więcej komplementów, wtedy szybciej byś się przyzwyczaiła. Wy wszyscy.
Odepchnęłam go ze śmiechem.

– Justin, ty sobie nic nie myśl – ostrzegła Rachel. – My zawsze będziemy tylko przyjaciółmi.

– Nic absolutnie sobie nie myślę – zapewnił.

Wrócił kelner z naszymi sernikami i koszyczkiem frytek dla Coopera. Rachel sięgnęła tam i zwinęła mu jedną. Walnął ją po ręce.

– Nie podzielisz się?

– Pod twoją nieobecność świat aż tak się nie zmienił.

– Jesteś pewien?

Cooper uśmiechnął się do mnie. Mój świat się zmienił. Odwzajemniłam uśmiech, potem podniosłam widelczyk i skosztowałam sernika.

– To rozumiem, że za rok nie będzie wyprawy czworga amigos? Bo zapowiadała się monumentalnie.

– Czemu miałabyś tak to rozumieć? – zdziwiłam się. – Ta wyprawa za rok zdecydowanie się odbędzie. Wykorzystamy ją na maksa.

Rachel szturchnęła mnie w ramię.

– Jestem wkurzona, że nic mi nie powiedziałaś, ale jeszcze trochę i będę się cieszyć. Serio.

– Koniec z tematem – oświadczył Cooper. – Musimy uczcić niesamowitą nowinę Abby, a potem dowiedzieć się wszystkiego o waszych wakacjach.

Nasz stół zajmowaliśmy jeszcze długo po tym, jak skończyło się jedzenie, a kelner zaczął marzyć, żebyśmy sobie poszli. Rachel i Justin podzielili się swoimi przeżyciami i chociaż coś się zmieniło, wszyscy czuliśmy się z tym dobrze.

Kiedy wychodziliśmy z restauracji, Cooper przytrzymał mnie za rękę, puszczając Rachel i Justina przodem.

– Udało się? – zapytał. – Potoczyło się tak, jak na to liczyłaś?

– Tak. Wyszło świetnie.

– Bo jesteś jakaś cicha.

– Cicha? – Przytrzymał mi drzwi i wyszliśmy na zewnątrz. Rachel wspięła się na fontannę przed nami i szła teraz po jej krawędzi, balansując rękoma.

– Chyba nie nabrałaś wątpliwości? – Na jego twarzy pojawił się niepokój.

– Co? Nie. – Objęłam go za szyję. – Kocham cię – powiedziałam cicho, a potem odrzuciłam głowę w tył i krzyknęłam: – Kocham Coopera Wellsa!

– Zachowuj się! – odkrzyknął Justin.

Zaśmiałam się, a Cooper znów się rozpromienił.

– To dobrze – przyznał. – Bo nie ma nic gorszego od nieodwzajemnionej miłości. Gdybym musiał wybrać, czy kochać bez wzajemności, czy w ogóle nie zaznać miłości, zdecydowanie wolałbym nie kochać.

Walnęłam go w pierś.

– A więc wtedy na imprezie wiedziałeś, o co chodziło Lacey. A ona myślała, że nic nie kumasz.

– Och, ta Lacey. Będziemy ją częściej widywać?

– Tak sędzę. Zdążyłam się z nią zaprzyjaźnić.

– Bardziej niż ze mną?

– Cooper, ty jesteś moim najlepszym przyjacielem. Niezastąpionym.

– Kocham cię. – Pocałował mnie, pozbawiając oddechu.

No, może nie aż tak trudno będzie do tego przywyknąć.

– Dziękuję ci, listo serca – powiedziałam niemal bezgłośnie.

– Przypisujesz tej liście to, że jesteśmy razem?

– Gotowa jestem przypisać to komu się da. Podbiłam serce Coopera Wellsa, zamknę je sobie w klatce i nigdy nie wypuszczę.

Zachichotał.

– Tylko obchodź się ze mną łagodnie.

Spowaźniałam.

– Obiecuję.

– Jeszcze jedno, Abby – powiedział. – Może trochę potrwało, zanim to zrozumiałem, ale to ja wygrałem.

Podziękowania

Do wszystkich, którzy marzą o czymś, co wydaje się poza zasięgiem, aby nie przestawali sięgać!

Dziękuję moim Czytelnikom!! Tak bardzo Was kocham! Cenię Wasze wsparcie i zachęty, Wasze dobre słowa, tweety, pytania zadawane na Goodreads, Wasze komentarze na Instagramie. Przeglądam je i ogromnie wiele dla mnie znaczą. Dziękuję za to, że czytacie moje książki! Dziękuję za to, że w ogóle czytacie! Uwielbiam ludzi czytających. Sama jestem przede wszystkim czytelniczką i naprawdę czuję się wśród Was jak wśród swoich.

Mojej agentce, Michelle Wolfson, dziękuję za to, że zawsze mnie wspiera, a czasem (może nawet częściej niż tylko czasem) służy mi za terapeutkę. Nie masz sobie równych. Bardzo się cieszę, że z Tobą pracuję. Dzięki Tobie moja praca staje się łatwiejsza i o wiele weselsza!

Mojej redaktorce, Catherine Wallace, która we mnie wierzy i pomaga ulepszyć moje opowieści, też mówię: dziękuję! Wielkie podziękowania kieruję także do Jona Howarda, Michelle Taorminy, Alison Klapthor, Stephanie Hoover, Bess Brasswell, Sabriny Abballe, Meghan Pettit, Jen Klonsky i całej ekipy z HarperTeen. Od początku stawialiście na mnie i zawsze będę Wam za to wdzięczna.

Nieustająco dziękuję także mojemu mężowi, Jaredowi Westowi. Poważnie, ten facet jest świetny. Wspiera mnie we wszystkim, co robię, nawet gdy przechodzę w tryb pustelniczy. Mam również bajeczne dzieci, które mnie dopingują: Hannah, Autumn, Abby i Donavana. To moi ukochani. Uwielbiam ich towarzystwo. W tym domu poziom radości przekracza normę i jestem za to wdzięczna. Kocham się śmiać. Śmiech to moja ulubiona czynność (ilekroć to powtarzam, przypomina mi się film *Elf*).

Mam też wspaniałe koleżanki po piórze, będące nie tylko fajnym, ale i niesamowicie utalentowanym towarzystwem. A zatem serdeczne pozdrowienia dla: Candice Kennington, Jenn Johansson, Renee Collins, Natalie Whipple, Bree Despain, Michelle Argyle, Sary Raasch, Shannon Messenger i Jessi Kirby.

I dla moich niepiszących przyjaciółek, które uwielbiam i dzięki którym czuję się szczęśliwa: Stephanie Ryan, Rachel Whiting, Elizabeth Minnick,

Claudii Wadsworth, Amy Burbidge, Misti Hamel, Brittney Swift, Mandy Hillmann, Emily Freeman, Megan Grant i Jamie Lawrence.

Na koniec, choć to nie mniej ważne, dziękuję mojej niesamowicie licznej rodzinie. Wymienię ich po kolei: Chris DeWoody, Heather Garza, Jared DeWoody, Spencer DeWoody, Stephanie Ryan, Dave Garza, Rachel DeWoody, Zita Konik, Kevin Ryan, Vance West, Karen West, Eric West, Michelle West, Sharlynn West, Rachel Braithwaite, Brian Braithwaite, Angie Stettler, Jim Stettler, Emily Hill, Rick Hill i dwadzieścioro pięcioro dzieci tego grona (plus kilkoro dzieci tych dzieci).